

Magda Szabo

Zamknięte drzwi

## Drzwi

Z rzadka coś mi się śni. A jeśli już, to zrywam się z łóżka i idę do łóżka. Wtedy na powrót padam na łóżko, czekam, aż uspokoi mi się serce, i zamyślam się nad nieodpartą, magiczną potęgą nocy. Jako dziecko, a także w młodości, nie miałam snów: ani dobrych, ani złych, dopiero starość wciąż na nowo wyrzuca ku mnie z namuliska przeszłości tę skoncentrowaną zmore, która dlatego tak mnie przeraża, że jest całkowicie irracjonalna, bo przecież nigdy naprawdę nie spotkało mnie to coś, co sprawia, że budzę się z krzykiem.

Moje sny to dokładnie takie same powracające wizje, ja zawsze śnię o jednym i tym samym. Stoję w naszej bramie, u podnóża schodów, przed drzwiami z nietłukącą się szybą (zbrojoną drucianą siatką) w żelaznej ramie i próbuję je otworzyć. Przed domem, na ulicy, karetka pogotowia, iryzujące przez szkło sylwetki pielęgniarzy są nienaturalnie duże, ich obrzmiałe twarze mają wokół świetlne kręgi, jak księżyc. Klucz się obraca, ale daremnie się zmagam, nie potrafię otworzyć drzwi, a przecież muszę wpuścić tych ludzi, bo inaczej przybędą do chorego za późno. Jednak zamek ani drgnie, brama jest jakby zespawana z żelazną futryną. Wołam o pomoc, ale spośród lokatorów trzech pięter nikt nie reaguje, nie może zareagować, przecież - stwierdzam - tylko bezgłośnie jak ryba otwieram usta. Szczytem tej sennej zgrozy jest narastająca we mnie świadomość, że nie tylko nie potrafię otworzyć bramy spieszącym z pomocą, lecz także oniemiałam. Podrywa mnie własny krzyk, zapalam światło, próbuję zwalczyć brak powietrza, który zawsze po tym śnie odczuwam, dokoła znajome meble naszej sypialni, nad łóżkiem rodzinny ikonostas, moi wszystko widzący, wszystko rozumiejący przodkowie w wysokich, sztywnych kołnierzykach, szamerowanych dolmanach (Dolman a. dołman, huzarka (węg. dolmany) - wywodzący się z Turcji

tradycyjny węgierski strój, dopasowana kurtka zdobiona szamerunkami [o ile nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od redakcji.] w stylu węgierskiego baroku lub biedermeiera, jedyni świadkowie moich zmagañ. Oni wiedzą, ileż to razy biegałam nocą otwierać bramę karetki, ile razy sobie wyobrażałam - gdy na oniemiałych ulicach wśród napływającej przez otwartą bramę nocy zamiast znajomych dziennych odgłosów szeleściły tylko poruszające się gałęzie i przemykające koty - co by było, gdybym kiedyś zmagala się z kluczem, a on by się nie obrócił.

Portrety wiedzą wszystko, najlepiej to, o czym najusilniej próbuję zapomnieć, a co nie jest już snem, mianowicie że kiedyś, jeden jedyny raz w moim życiu, nie wskutek niedokrwienia mózgu we śnie, lecz naprawdę, rozwarły się przede mną takie drzwi, których strzegąca za nimi swej samotności i bezsilnej nędzy właścicielka mieszkania nie otworzyłaby nawet, gdyby już trzeszczał nad jej głową płonący dach. Ten zamek tylko ja byłam władna poruszyć: ta, która wówczas przekręciła klucz, ufała mi bardziej niż Bogu i ja także w tej fatalnej minucie byłam przekonana, że jestem bogiem i mędrcom, że jestem rozważna, dobra i rozumna. Obydwie byłyśmy w błędzie: i ta, która we mnie wierzyła, i ja, przeświadczona o własnej doskonałości. Teraz to już właściwie nieważne, bo tego, co się stało, nie można naprawić. Niechże więc co pewien czas zjawiają się erynie w pielęgniarskich butach na koturnach i czapkach pogotowia nad tragicznymi maskami, niech się tłoczą wokół mojego łóżka, trzymając w rękach miecze o wyostrzonych moimi snami klingach. Gasząc co wieczór światło, już na nie czekam, liczę się z tym, że w moich śpiących uszach zaraz odezwie się dzwonek, na którego dźwięk bezimienna groza popchnie mnie ku nigdy nie otwierającej się bramie ze snu.

Moja religia nie zna indywidualnej spowiedzi, przez usta kapłana wyznajemy, że jesteśmy grzeszni i zasługujemy na potępienie, gdyż na wszelkie sposoby łamaliśmy przykazania. Otrzymujemy rozgrzeszenie w ten sposób, że Bóg nie żąda od nas ani wytłumaczenia, ani podawania szczegółów.

A jednak ja teraz je podam.

Ta książka nie powstała dla Boga, który zna moje wnętrze, ani dla cieni mych bliskich, które są świadkami wszystkiego i śledzą godziny mojej przytomności i snu, lecz dla ludzi. Żyłam dotąd odważnie i mam nadzieję, że tak samo umrę, odważnie i bez kłamstwa, ale pod warunkiem, że to wypowiem: to ja zabiłam Emerenc. I nie ma tu nic do rzeczy to, że nie chciałam jej zniszczyć, lecz ją uratować.

## Chustka

Kiedy rozmawialiśmy ze sobą po raz pierwszy, miałam ochotę spojrzeć jej w twarz i peszyło mnie, że nie dała mi szansy. Stała przede mną niczym posąg, nieruchomo, ale nie na baczność, tylko raczej odrobinę pochylona, widziałam zaledwie kawałeczek jej czoła. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że dopiero na łożu śmierci zobaczę ją bez chustki, przedtem zawsze chodziła osłonięta, jak bardzo religijna katoliczka lub Żydówka w szabas, której wiara zakazuje zbliżyć się do Pana z odkrytą głową. Był letni dzień, taki, który nie uzasadniał, nie wymagał żadnej osłony, stałyśmy w ogrodzie pod przedwieczornym, przechodzącym w fiolet niebem i ona nie pasowała do róż. Człowiek wyczuwa, kto byłby jakim kwiatem, gdyby urodził się rośliną, a jej gatunkiem na pewno nie byłaby róża z tym swoim niemal bezwstydnym karminowym kwitnieniem, róża to nie jest niewinny kwiat. Od razu przeczułam, że Emerenc nie byłaby różą, ale wtedy nic jeszcze o niej nie wiedziałam, a już najmniej, czym by zatem mogła być.

Chustka okrywała jej głowę w ten sposób, że rzucała cień na oczy. Później zauważyłam, że ma niebieskie tęczęwki. Miałam ochotę dowiedzieć się, jakie ma włosy, ale zawsze je zasłaniała, dopóki była sobą. Ważne minuty przeżyłyśmy tego wczesnego wieczoru, obydwie musiałyśmy rozważyć, czy możemy się na siebie zdecydować. Od paru tygodni mieszkaliśmy w nowym mieszkaniu, znacznie większym niż dawne, jednopokojowe, do którego utrzymania w porządku niepotrzebna była mi pomoc, już choćby dlatego, że moja zamrożona na dziesięć lat kariera zaledwie ruszała z miejsca i dopiero tu, w nowym mieszkaniu, stałam się przede wszystkim pisarką o zwiększonych możliwościach i rozlicznych zobowiązaniach, które bądź to przykuwały mnie do biurka, bądź wyganiały z domu. Stałam więc w ogrodzie

naprzeciw milczącej starej kobiety, bo wtedy było już oczywiste, że jeśli ktoś nie wyręczy mnie w domowych obowiązkach, to nie zdołam wydać tego, co powstało w latach milczenia, ani ubrać w formę tego, co jeszcze chciałabym powiedzieć. Kiedy zakończyliśmy przeprowadzkę z księgozbiorem, którego starczyłoby na sporą bibliotekę, i żalonymi, rozchwianymi meblami, natychmiast zaczęłam szukać pomocy domowej. Wypytywałam wszystkich okolicznych znajomych, w końcu problem rozwiązała moja dawna koleżanka szkolna, która powiedziała mi, że od niepamiętnych czasów sprząta u jej brata pewna stara kobieta, warta więcej od wszystkich młodych, byle tylko wykroiła dla nas trochę czasu. Koleżanka gwarantowała, że ta osoba nie podpali papierosem domu, nie będzie sprowadzała kawalerów i nic nie wyniesie, najwyżej przyniesie, jeśli nas polubi, gdyż uwielbia dawać prezenty. Nigdy nie miała męża ani dziecka, odwiedza ją regularnie jakiś kuzyn i pewien oficer policji, i wszyscy w okolicy ją lubią. Mówiła o niej ciepło, z szacunkiem, poinformowała mnie, że Emerenc jest też dozorczynią, czyli osobą niemal urzędową, i wyraziła nadzieję, że nas zaakceptuje, bo jeśli nie zdobędziemy jej uznania, to nie ma takich pieniędzy, za jakie podjęłaby się pracy u nas.

Nie wyglądało to zachęcająco, sama Emerenc też nie była przyjacielska, kiedy ją poprosiłam, by przy okazji pofatygowała się do nas na rozmowę. Zastałam ją na podwórzu domu, gdzie była dozorczynią - mieszkała blisko nas, tak blisko, że mogłam widzieć ten dom z balkonu. Robiła akurat wielkie pranie w sposób całkowicie staroświecki; gotowała bieliznę w kotle na otwartym ogniu, w i tak już dokuczliwym upale, i wyciągała prześcieradła ogromną drewnianą warząchwią. Opromieniał ją ogień, była wysoka, koścista, nawet jak na starą kobietę jakoś potężna, nie tęga,

lecz muskularna niczym Walkiria, i nawet chustka na jej głowie sprawiała wrażenie szyszaka. Zgodziła się do nas przyjść i dlatego mogliśmy wtedy o zmierzchu stać razem w ogrodzie. Słuchała w milczeniu, jak opowiadam, co miałyby u nas do roboty, i nagle przyszło mi na myśl, że nigdy nie wierzyłam pisarzowi, który w jakimś ubiegłowiecznym arcydziele odnotował, że ktoś ma twarz jak jezioro. Zawstydziałam się, jak zawsze, gdy ośmielałam się zwątpić w klasyków; twarzy Emerenc po prostu nie można było przyrównać do niczego poza gładkim, nieruchomym zwierciadłem wody o świcie. Nie wiedziałam, w jakim stopniu interesuje ją moja propozycja, widać było po niej, że nie potrzebuje ani posady, ani pieniędzy, dla mnie byłoby znakomicie, gdyby się zgodziła, ale ta twarz będąca zwierciadłem jeziora, ocieniona chustką, przywodzącą na myśl teatralny rekwizyt, długo nic nie zdradzała. Emerenc nie podniosła głowy nawet wtedy, gdy wreszcie odpowiedziała: możliwe, że będziemy mogły wrócić do sprawy, bo jeden dom, gdzie pracuje, stał się miejscem nieodpowiednim, mąż i żona piją, dorosły syn się stacza, więc u nich nie zostanie. Jeśli ktoś udzieli nam referencji i przekona ją, że żadne z nas nie jest awanturnikiem ani pijakiem, możemy porozmawiać. Słuchałam osłupiała, po raz pierwszy zdarzyło się, że ktoś żądał o nas referencji. „Byle komu nie pioreę brudów” - oświadczyła Emerenc.

Miała czysty, poważny sopran. Musiała mieszkać w stolicy od dawna, bo gdybym w przeszłości nie studiowała językoznawstwa, nie zorientowałabym się, że zapewne przywędrowała z moich stron.

Zapytałam, czy pochodzi z Hajducczyzny (Neologizm utworzony (prawdopodobnie per analogiam do Huculszczyzny) dla oznaczenia regionu Hajdusag, ojczyzny węgierskich hajduków, kulturowo i etnicznie różniącego się

od pozostałych regionów Węgier.), i myślałam, że tym pytaniem sprawię jej przyjemność, ale pokiwała tylko głową i przyznała, że przyjechała do Budapesztu z Nadori, a właściwie z Csabadul, i od razu zmieniła temat, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że nie życzy sobie o tym rozmawiać. Również ta sprawa, jak wiele innych, wyjaśniła się dopiero po latach: Emerenc uznała moje pytanie za nietaktowne i natrętne, nie miała zamiaru zajmować się wspomnieniami. Nie studiowała Heraklita, a jednak wiedziała więcej niż ja, która, gdy tylko było to możliwe, wciąż powracałam do opuszczonego przeze mnie niegdyś miasta, szukając tego, co zaginęło bezpowrotnie - cieni domów, cieni, które kiedyś padały mi na twarz, utraconego niegdyś domu - i, rzecz jasna, nic nie odnajdowałam, bo gdzież się teraz wylała ta rzeka, która uniosła skorupy mojego życia? Emerenc była za mądra, by próbować czegoś, co niemożliwe, swoją energię zachowywała na to, co można by jeszcze uczynić w przyszłości dla przeszłości, ale ja oczywiście dopiero miałam to zrozumieć.

Tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy usłyszałam nazwy dwóch wsi: Nadori i Csabadul, wyczułam tylko, że nie powinnam ich zbyt często wspominać, bo te dwa słowa z jakiegoś powodu stanowią tabu. Skoro tak, to pomówmy o konkretach. Myślałam, że umówimy się na zapłatę za godzinę, byłoby to dla niej korzystniejsze, ale na razie nie chciała się umawiać: powie, ile mamy jej płacić, kiedy będzie już o nas coś wiedziała i zorientuje się, na ile jesteśmy niedbali i nieporządni, to znaczy, jak dużo będzie miała z nami roboty. Postara się zebrać o nas informacje - nie od mojej koleżanki, bo ta nie będzie obiektywna - a jak już je zbierze, to się odezwie, nawet gdyby odpowiedź miała być negatywna. Patrzyłam za nią, gdy powoli szła do wyjścia, i w pewnej chwili przeszło mi przez myśl, że ta stara kobieta jest tak



niezwyczajna, iż byłoby chyba dla wszystkich lepiej, gdyby nie podjęła się pracy u nas. Jeszcze nic straconego, zawołałam ją i sprawa przestanie być aktualna. Nie zawołałam. Emerenc wróciła dwa tygodnie później. Rzecz jasna, przez ten czas także często spotykałam ją na ulicy, ale tylko mnie pozdrawiała i szybko szła dalej, jak ktoś, kto nie chce podejmować pochopnej decyzji ani też niepotrzebnie zatrząskiwac jeszcze nieotwartych drzwi. Kiedy rozległ się dzwonek, zauważyłam, że jest odświętnie ubrana, i natychmiast pojęłam, co oznacza ten strój. Zakłopotana, szłam obok niej w skąpym opalaczu. Była w czerni, w porządnej wełnianej sukni z długimi rękawami i w lakierkach na pasek. Jakbyśmy w ogóle nie przerwały naszej poprzedniej rozmowy, poinformowała, że nazajutrz rozpoczyna pracę, a pod koniec miesiąca powie, ile ma wynosić jej pensja. Patrzyła przy tym sztywno na moje nagie ramiona i byłam zadowolona, że przynajmniej mojemu mężowi nie będzie miała nic do zarzucenia: w trzydziestostopniowym upale siedział w marynarce i krawacie, nawet w najgorętsze dni nie zmieniał zwyczajów nabranych w przedwojennej Anglii. Oni oboje wyglądali przy mnie tak, jakby chcieli dać przykład jakiejś pierwotnej, tylko przez nich postrzegalnej społeczności, do której ja też należałam, i wzbudzić we mnie poszanowanie zewnętrznych form wyrażających szacunek dla ludzkiej godności. Jeśli kiedykolwiek ktokolwiek przypominał Emerenc pod względem pewnych norm, to był to mój mąż, i pewnie dlatego długo nie potrafili się do siebie naprawdę zbliżyć.

Stara kobieta podała nam obojgu rękę. Nawiasem mówiąc, gdy tylko mogła tego uniknąć, nie dotykała mnie, a gdy ja próbowałam, odsuwała moje palce, jakby odganiała muchę. Ale Emerenc tamtego wieczoru nie przyszła na służbę, to nie byłoby ani godne, ani na miejscu: Emerenc nastąpiła. Na

pożegnanie powiedziała do mojego męża: „Życzę gospodarzowi dobrej nocy”. Ten tylko patrzył za nią, nie było na świecie drugiego człowieka, do którego to słowo tak bardzo by nie pasowało. Emerenc zwracała się tak do niego aż do śmierci i trzeba było czasu, by do tego przywykł i reagował.

Umowa nie określała czasu, jaki Emerenc miała spędzać w naszym domu, podobnie jak pory, o której powinna przychodzić. Można było sobie wyobrazić, że nie zobaczymy jej przez cały dzień, za to zjawi się o jedenastej wieczorem i wprowadzie do nas nie zajrzy, lecz do świtu będzie sprzątać kuchnię i spiżarnię, a może się też zdarzyć, że przez półtora dnia nie będziemy mogli korzystać z łazienki, gdzie namoczy w wannie dywaniki. Ten nieuregulowany czas pracy szedł w parze z zadziwiającymi rezultatami, Emerenc była jak robot, nie oszczędzając się, dźwigała meble, które nie nadawały się do dźwigania. W jej pracowitości i sile było coś nadludzkiego, niemal groźnego, tym bardziej, że właściwie nie było potrzeby, żeby tak harowała. Wyraźnie wyżywała się w pracy, nie wiedząc, co począć z wolnym czasem. Wszystko, co robiła, robiła bez zarzutu, przeważnie krzątała się po domu w milczeniu, nie była ani poufała, ani ciekawska, i w ogóle unikała zbędnych słów. Zażądała dużo, więcej niż się spodziewałam, ale i dużo dawała. Gdy zapowiadali się goście lub wpadał ktoś niespodziewany, pytała, czy sobie życzę, by mi pomogła. Przeważnie odrzucałam wtedy jej propozycję. Nie chciałam, by nasi przyjaciele wiedzieli, że jestem nikim we własnym domu. Emerenc wymyśliła miano tylko dla mojego męża, ja nie byłam ani „pisarką”, ani „panią”, w ogóle mnie nie nazywała, dopóki ostatecznie nie umiejscowiła mnie w swoim życiu, dopóki nie doszła do tego, kim dla niej jestem i jak brzmi ta nazwa, która mi się należy. Rzecz jasna i tu

miała rację, bo definicja, której nie towarzyszy żadna emocja, jest niedokładna.

Emerenc, niestety, była pod każdym względem doskonała, niekiedy aż przygnębiająco doskonała. Na moje nieśmiałe słowa uznania nie tała, że nie życzy sobie ciągłych komplementów: nie chwalmy jej, ona sama dobrze wie, ile jest warta. Ubierała się zawsze na szaro, tylko w święta czy przy szczególnych okazjach w czerń, suknię osłaniał codziennie zmieniany fartuch na szelkach, papierowymi chusteczkami pogardzała, używała za to śnieżnobiałych, wykrochmalonych płóciennych chustek. Naprawdę uszczęśliwiło mnie odkrycie, że jednak ma także swoje dziwactwa, na przykład czasami bez żadnego powodu milczała przez pół dnia, nie reagując na żadne moje pytania, gdy zaś błyskało i grzmiało, zauważyłam, że boi się burzy. Gdy zbliżała się burza, ciskała, co miała w ręce, i bez słowa wyjaśnienia biegła do domu. „Stara panna musi mieć jakiegoś bzika” - powiedziałam do męża, a on pokręcił głową. Ten strach to i więcej, i mniej niż bzik, orzekł. Na pewno jest czymś spowodowany, tyle że według niej to do nas nie należy. Ale czy ona kiedykolwiek powiedziała nam o sobie coś naprawdę istotnego? Niechże sobie przypomnę: nigdy. Emerenc nie jest gadatliwa.

Pracowała już u nas od ponad roku, kiedy chciałam ją poprosić, by odebrała awizowaną na to popołudnie paczkę - mój mąż egzaminował na uczelni, a mnie tylko tego jednego dnia mógł przyjąć dentysta. Przypięłam do naszych drzwi karteczkę, gdzie i kogo ma szukać posłaniec podczas naszej nieobecności, i pobiegłam do Emerenc, której zapomniałam powiedzieć podczas sprzątania, co ma za mnie załatwić. Dopiero co u nas skończyła i mogła być u siebie najwyżej od paru minut. Jej drzwi ani drgnęły na moje stukanie, ale słyszałam, że krząta się po mieszkaniu. To, że nie nacisnęła klamki, nie było niczym nadzwyczajnym: jeszcze nikt nie

widział otwartych drzwi Emerenc, nawet jeśli z wielkim trudem udało się ją ubłagać, by wyszła, kiedy już bowiem raz wróciła do domu, nie otwierała drzwi, i przywykła do tego cała okolica. Zawołałam, żeby się pospieszyła, bo muszę iść i mam dla niej pewne polecenie. Na początku moje słowa przyjęła niezmienna cisza, ale kiedy zaczęłam szarpać klamkę, Emerenc wypadła z takim impetem, że zląkłam się, by mnie nie uderzyła. Zatrzasnęła za sobą drzwi i krzyknęła, abym jej nie nachodziła po pracy, bo jej za to nie płacę. Stałam zawstydzona, czerwona po uszy przez ten jej krzyk, który niczym nie był uzasadniony, bo przecież jeśli z jakiejś nieodgadnionej przyczyny uważa, że naruszenie przeze mnie jej wód terytorialnych uwłacza jej godności, mogłaby to powiedzieć ciszej. Kiedy wyjąkałam, jaką mam do niej prośbę, nawet nie odpowiedziała, tylko stała naprzeciw mnie i tak na mnie patrzyła, jakbym jej wbiła nóż w serce. W porządku. Pożegnałam się grzecznie, wróciłam do domu, odwołałam telefonicznie dentystę, bo mąż już wyszedł i tylko ja mogłam czekać na paczkę. Nie chciało mi się nawet czytać, snułam się po mieszkaniu i zastanawiałam się, jaką to niezręczność mogłam popełnić, skąd ta wyraźnie obraźliwa w intencji odprawa, która na dodatek wcale nie była typowa dla Emerenc, czasami aż żenująco gorliwie przestrzegającej form.

Długo byłam sama. Żeby ten dzień był do reszty zepsuty, paczka nie nadeszła, daremnie czekałam, mąż też nie wrócił o zwykłej porze, po egzaminach został jeszcze ze studentami. Przeglądałam właśnie album z reprodukcjami, kiedy usłyszałam szcęk klucza w drzwiach. Nie dobiegło mnie słowo, którym zwykliśmy się witać, wiedziałam więc, że to nie mąż wrócił do domu, tylko przyszła Emerenc, której w ten paskudny wieczór nie życzyłam sobie oglądać. Do tej pory na pewno już jej przeszło - pomyślałam - i chce mnie przeprosić. Ale Emerenc nawet się nie pokazała, nie powiedziała ani

słowa, słyszałam, jak coś robi w kuchni, i wkrótce szczęknął zamek. Odeszła. Kiedy zjawił się mój mąż i wybiegłam po naszą zwykłą kolację, dwie szklanki kefiru, znalazłam w lodówce rumiane piersi kurczęcia, które ktoś najpierw pokroił w plastry, a potem, ze zręcznością chirurga, ponownie złożył w całość. Kiedy nazajutrz podziękowałam Emerenc za tę kolację, która miała mnie udobruchać, i chciałam jej zwrócić umyty półmisek, nie tylko nie powiedziała, żeby nam poszło na zdrowie, ale w ogóle wyparła się kurczaka, a nawet półmiska, nie przyjęła go ode mnie i mam go do dziś. Kiedy później zatelefonowałam na pocztę i zaczęłam wypytywać o niedoreczoną paczkę, okazało się, że niepotrzebnie całe popołudnie sterczałam w domu. Paczka była w spiżarni pod dolną półką, przyniesiona razem z kurczakiem. Emerenc warowała przed bramą, powtórzyła doręczycielowi słowo w słowo to, co jej powiedziałam, odebrała przesyłkę, nie informując mnie o tym, i znikła w swoim mieszkaniu. To był ważny epizod w naszym życiu, bo od tej chwili długo mi się wydawało, że staruszka jest nieco pomyłona i w związku z tym musimy mieć na uwadze jej specyficznie pracujący umysł.

Wiele utwierdzało mnie w tym przekonaniu, zwłaszcza zaś informacja, która do mnie dotarła dzięki mieszkającemu w tej samej co Emerenc willi poborcy czynszu, który w wolnych chwilach wciąż majstrował i dlatego znany był w okolicy jako majster - klepka, a mianowicie, że odkąd Emerenc tam mieszka, to znaczy od tysiąca lat, nikt z lokatorów nie był w jej mieszkaniu dalej niż w sieni, bo nigdy nie wpuszcza gości do pokoju i ma za złe, gdy ktoś ją niespodziewanie wywołuje. Trzyma w domu kota, któremu nie pozwala wychodzić, i czasami tylko słyhać, jak miauczy, ale zajrzeć przez okna nie można, bo zasłaniają je drewniane okiennice. Nikt nie wie, co ona tam ma poza kotem, ale jeśli jakieś drogie rzeczy, to

źle robi, że się tak barykaduje, bo jeszcze ktoś pomyśli, że ukrywa skarby, i da jej w łeb. Nigdzie nie wyjeżdża, najwyżej gdy chowają kogoś z jej znajomych, odprowadza go w ostatnią drogę, ale zawsze tak jej pilno do domu, jakby się bała jakiegoś nieszczęścia. Mam się nie obrażać, gdyby mnie ewentualnie nie wpuściła, ona nawet własnego krewniaka, syna swego młodszego brata Józsięgo, a także podpułkownika przyjmuje w sieni, latem i zimą, oni już dawno przyjęli do wiadomości, że im także wstęp wzbroniony, i tylko się z tego śmieją, przywykli.

Z tych słów wyłonił się przede mną dość przerażający portret i przez to zaniepokoiłam się jeszcze bardziej. Jak można żyć w takiej izolacji? I dlaczego nie wypuszcza kota, skoro go chowa, przecież ma przy domu ogrodzony kawałek gruntu. Właściwie uważałam ją za niespełna rozumu, dopóki z epickiej, rozwlekłej opowieści wdowy po laborancie, Adelki, która była jej wielbicielką, nie dowiedziałam się, że niegdysiejszy, pierwszy kot Emerenc był wielkim myśliwym i wciąż dziesiątkował hodowlę gołębi pewnego lokatora, który sprowadził się do willi jeszcze podczas wojny. Sąsiad radykalnie załatwił sprawę, bo kiedy Emerenc wyjaśniła mu, że kot to nie profesor uniwersytetu, żeby można go było przekonać słowem, i taka już jego natura, że nawet dla zabawy lubi zabijać, nie poprosił jej, by trzymała bydlaka w domu pod kluczem, lecz złapał i powiesił chwackiego myśliwego na jej kłamce. Kiedy Emerenc, wróciwszy do domu, stanęła przed zimnym już kocim trupkiem, jeszcze jej elegancko wyłuszczył, że niestety zmuszony jest własnymi metodami bronić jedyne pewnego źródła dochodów i pożywienia swej rodziny.

Emerenc nie powiedziała ani słowa, odwiązała kota z drutu, bo oprawca nie użył sznurka, lecz drutu, i kocur z przeciętą krtanią wyglądał wręcz koszmarnie, a potem

pochowała go w ogrodzie, w grobie pana Szloki, który nie był wtedy jeszcze ekshumowany, i ciągal ją za to, bo koci oprawca sprowadził policję, na szczęście sprawa ucichła. Nawiasem mówiąc, gołębiarz nie miał z tego wszystkiego żadnej pociechy, nie mógł się nawet pokłócić z Emerenc, która traktowała go jak powietrze i jeśli miała jakąś urzędową sprawę, rozmawiała z nim przez pośrednika, którym był majster - klepka, a ponadto, jakby łączyła świat zwierzęcy jakąś fatalną solidarność, jeden po drugim padały mu gołębie. Wtedy znów zjawiała się policja. Podpułkownik, który odwiedza Emerenc, był wówczas zaledwie podporucznikiem. Gołębiarz oskarżył Emerenc, że mu wytruła ptaki, ale w żołądkach pokrojonych gołębi nie znaleziono trucizny, weterynarz rejonowy stwierdził, że wykończyła je jakaś spowodowana nieznanym wirusem ptasia zaraza, innym też padły gołębie i nie należy z takiego powodu niepokoić ani sąsiadów, ani władz.

Wtedy dom zjednoczył się przeciwko kociemu mordercy, najszacowniejsze małżeństwo, państwo Brodaricsowie, napisali list do rady, że budzi ich o świcie ciągłe gruchanie, majster - klepka oznajmił, że gołębie wciąż mu paskudzą na balkon, a pani inżynierowa złożyła skargę, że z powodu gołębi dostała alergii. Rada nie nakazała wprowadzić gołębiarzowi, by zlikwidował hodowlę, ale zwróciła mu uwagę. Lokatorzy byli rozczarowani, bo chcieli zemsty za powieszzonego kota Emerenc, chcieli prawdziwej kary.

No i został ukarany: oprawca znów poniósł stratę, nowo nabyte stado gołębi wyzdychało w sposób równie tajemniczy jak poprzednie. Jeszcze raz próbował donosu, ale podporucznik już nie zlecił sekcji, tylko sklął od ostatnich gołębiarza za ustawiczne zawracanie głowy przepracowanej policji, z czego ten wreszcie wyciągnął właściwe wnioski, wrzaskliwie przeklął w sieni Emerenc, której, czego niestety

nie udało się udowodnić, wykończył na pożegnanie nowego kota, i wyprowadził się na przedmieście. Jeszcze po przeprowadzce wciąż nękał władze donosami na dozorczynię. Emerenc znosiła tę nagonkę z taką pogodą i tak filozoficznym humorem, że polubili ją zarówno w radzie, jak i na policji, żadna skarga na nią nie miała następstw, władze przywykły, że osoba staruszki przyciąga anonimowe podejrzenia jak góra magnetyczna pioruny. Na policji założono Emerenc osobne dossier, gdzie odkładano urozmaicony materiał, i tylko machano ręką, gdy nadchodziły listy, nawet początkujący policjanci rozpoznawali słownictwo gołębiarza, jego barokowo rozwlekły styl.

Co jakiś czas któryś z policjantów wpadał do Emerenc, ale tylko tak, żeby z nią pogadać, napić się kawy, regularnie awansujący były podporucznik przyzwyczał się ją odwiedzać, a gdy zjawiał się nowy chłopak, przedstawiali go jej, Emerenc podawała na stół kiełbasę, pogacze, naleśniki, częstując każdego tym, na co miał apetyt. Każdemu z tych przybyłych ze wsi policjantów przypominała jego rodzinny dom, własną babkę, więc nawet jej nie mówili, że oskarża się ją o mordowanie i okradanie Żydów podczas wojny, o szpiegostwo na rzecz Ameryki, o obsługę tajnej radiostacji, a także o to, że trudni się paserstwem i przechowuje w mieszkaniu skarby. Właściwie uspokoiłam się naprawdę dopiero po tej opowieści Adelki, a do reszty wtedy, gdy z powodu zgubionego dowodu osobistego musiałam iść na policję. Właśnie kiedy dyktowałam moje dane personalne, przechodził przez salę podpułkownik, usłyszał moje nazwisko i zaprosił mnie do swego gabinetu na czas, gdy wystawiano mi nowy dokument. Byłam przekonana, że zna moje książki i stąd ta uprzejmość, okazało się jednak, że byłam w błędzie. Nie interesowało go nic poza tym, jak się miewa i co porabia Emerenc, wiedział od niej, że u nas pracuje, i był ciekawy, czy



córka syna Józsiego wyszła już ze szpitala. Nawet nie wiedziałam, że takie dziecko jest na świecie. Wydaje mi się, że na początku bałam się Emerenc.

Dbiała o nas przez ponad dwadzieścia lat, ale przez pierwsze pięć nasze stosunki były, mówiąc oględnie, mocno ograniczone. Ja jestem kontaktowa, chętnie rozmawiam nawet z obcymi, Emerenc decydowała się jedynie na mówienie o rzeczach najważniejszych, spieszyła się ze starannie wykonywaną pracą, bo zawsze miała jeszcze niezliczone czynności przed sobą. Życie bez reszty wypełniało jej dwadzieścia cztery godziny doby i choć nie wpuszczała nikogo do mieszkania, to właśnie u niej zbiegały się wiadomości, jej sień była niczym hala teleksów, wszyscy o wszystkim jej donosili, o śmierci, skandalu, radości i katastrofie. Pielęgnacja chorych sprawiała jej przyjemność, niemal codziennie spotykałam ją na ulicy z wazą przykrytą tacą, niosła obfity posiłek każdemu, o kim uliczna wieść głosiła, że przydałoby mu się coś pożywnego do zjedzenia. Emerenc zawsze wiedziała, gdzie jest potrzebna, jej osobowość sprawiała, że ludzie bez najmniejszej nadziei odwzajemnienia ich zaufania otwierali się, choć wiedzieli, że w rewanżu dostaną od niej jedynie komunały lub powszechnie znane fakty. Polityka jej nie interesowała, sztuka w ogóle nie, na sporcie się nie znała, słuchała o zdradach małżeńskich, ale nie ferowała wyroków, najchętniej zastanawiała się nad pogodą, bo na jej ewentualne cmentarne wycieczki mogła wpłynąć zapowiedź burzy, której, jak już wspomniałam, bardzo się bała. Prawdę mówiąc, pogoda determinowała nie tylko okazje towarzyskie, lecz także zwykłe jesienne i zimowe dni Emerenc; kiedy przychodziła ostra zima, tyranem dla niej stawały się opady. To ona odmiatała śnieg sprzed niemal wszystkich większych domów w okolicy, nie miała nawet czasu słuchać radia, najwyżej nocą lub o świcie. Gdy była na

ulicy, orientowała się po gwiazdach, co przyniesie jutro, знаła te ich nazwy, które nadawali ciałom niebieskim jej dziadowie, ostrość lub zblednięcie ich blasku zdradzały jej zawczasu zmianę pogody nawet wtedy, gdy nie mówiły o tym jeszcze komunikaty. Podjęła się uprzątnięcia śniegu w jedenastu domach, podczas zamieci zmieniała się nie do poznania, wyglądała jak wielka szmaciana lalka, zamiast wyglansowanych trzewików nosiła gumki. Można było myśleć, że w ostre zimy Emerenc nigdy nie przebywa w domu, tylko na dworze, i nawet się nie kładzie spać jak inni śmiertelnicy. I właściwie tak było: Emerenc nigdy się nie kładła, tylko myła się, zmieniała odzież i drzemała na małej kanapie zwanej loveseat, krzesłem kochanków. Wśród jej mebli brakowało łóżka, twierdziła, że kiedy się kładzie, nachodzi ją jakaś słabość, tylko w pozycji siedzącej ma właściwe podparcie dla bolącego krzyża, a jak leży, kręci się jej w głowie, więc niepotrzebne jej łóżko.

W wielkie śnieżyce, rzecz jasna, nie odpoczywała nawet na kanapie, bo zaledwie skończyła przed czwartym domem, na chodniku przed pierwszym był już nowy śnieg, biegała więc Emerenc od domu do domu w wielkich gumkach i z jeszcze większą miotłą. Przywykliśmy, że w te białe dni nawet do nas nie zajrzy, nie robiłam na ten temat żadnych uwag, bo i po co, niewypowiedziana argumentacja Emerenc była nie do odparcia: mamy dach nad głową, a ona na ogół porządnie sprząta, więc zaczekajmy, aż znów będzie miała czas, wtedy wszystko odrobi, zresztą mnie też nie zaszkodzi trochę ruchu. Kiedy wreszcie śnieg dawał za wygraną, Emerenc znów się zjawiała, w zadziwiający sposób doprowadzała mieszkanie do ładu i bez słowa wyjaśnienia zostawiała na kuchennym stole jakieś pieczone mięso lub brytfannę pierniczeków. Rozumiałam, że podrzucony dar niósł to samo przesłanie co plastry kurczęcia po pierwszym niedorzecznym grubiaństwie:

byliście grzeczni - mówił półmisek, jakbyśmy wciąż byli uczniakami, a nie ludźmi na diecie - a dobrym, cierpliwym dzieciom należy się nagroda.

Nie wiem, jak to wszystko mieściło się w jednym życiu, ale Emerenc prawie nigdy nie siedziała. Kiedy nie miała w ręku miotły, na pewno spieszyła gdzieś z wazą lub szukała właściciela jakiegoś zabłąkanego zwierzęcia, a gdy nie udało się go odnaleźć, starała się komuś wcisnąć znajdkę, przeważnie z powodzeniem, jeśli zaś nie, to pies czy kot znikał nagle z okolicy, jakby nigdy nie snuł się wygłodniały wokół śmietników. Pracowała dużo, w wielu miejscach, dużo też zarabiała, napiwków natomiast nie przyjmowała nigdy i w żadnej formie. To mogłam jeszcze jakoś zrozumieć, ale nigdy nie wpadłam na to, dlaczego odmawiała przyjmowania prezentów. Stara kobieta lubiła tylko dawać, a gdy ją chciano czymś obdarować, nie uśmiechała się, lecz chmurzyła. Przez całe lata wciąż próbowałam w nadziei, że może wreszcie przyjmie ode mnie to, co chciałam jej podarować, ale informowała mnie szorstko, że nie przysługuje jej osobna zapłata za to, co robi, śmiertelnie obrażona odkładałam kopertę, a mąż śmiał się ze mnie, mówiąc, żebym się nie podlizywała Emerenc i nie starała się zmienić istniejącej sytuacji, bo jemu bardzo odpowiada ten znikający cień, który wszystko u nas robi, mimo że o nieprawdopodobnych porach, i wbrew wszelkim regułom nie przyjmuje nawet filiżanki kawy. Emerenc to idealna pomoc, mogę więc mieć pretensje jedynie do siebie, skoro tego mi za mało, skoro z każdym chcę się zaprzyjaźnić. Niełatwo mi było przyznać, że Emerenc także o nas, jak i o wszystkich innych, miała swoje zdanie - nasza bliskość też nie była jej potrzebna.

## Chrystusowe rodzeństwo

Naprawdę latami nie byliśmy jej potrzebni, a potem nagle - tak, kiedy mój mąż śmiertelnie zachorował. Ponieważ najwyraźniej nie obchodziło jej nic, co się u nas dzieje, byłam przekonana, że gdybym opowiedziała jej mało efektowną prawdę, zdobyłaby się najwyżej na wazę z pożywnym posiłkiem. Nie mówiłam jej więc o niczym i odprowadziłam mojego męża na operację ropnia płuc w ten sposób, że nie tylko nikt w domu czy okolicy, ale i ona nie wiedziała, dokąd się wybieramy.

O niczym nie miała pojęcia, nawet o badaniach poprzedzających operację, i kiedy wreszcie dotarłam do domu, Emerenc siedziała w fotelu i czyściła srebrne łyżeczki. Operacja trwała niemal sześć godzin i jeśli ktoś kiedyś już patrzył na palącą się nad drzwiami sali operacyjnej lampkę, licząc się z tym, że człowiek, którego operują, może już nigdy nie wstanie, bez żadnych wyjaśnień potrafi sobie wyobrazić, w jakim stanie weszłam do mieszkania. Emerenc po raz pierwszy doświadczyła, że wykluczyłam ją z najważniejszego momentu mojego życia. Nie wdając się w szczegóły, poinformowałam ją o aktualnej sytuacji. Stara kobieta spojrzała na mnie: jak obcą wyeliminowałam ją z mojego strachu przed operacją, która mogła się zakończyć tragedią. Powiedziała to bez obrazy, wzburzona, na co odparłam, że przecież nigdy nie obchodziło jej nasze życie, skąd mogłam wiedzieć, że przejmie się tym, co nas spotkało, nawiasem mówiąc, jeśli nie weźmie mi tego za złe, chciałabym zostać sama i wcześniej się położyć, to nie był łatwy dzień i nic jeszcze nie jest przesądzone. Emerenc natychmiast wyszła. Pomyślałam, że się obraziła i już nie wróci, ale mniej więcej po półgodzinie ocknęłam się z lekkiego, niespokojnego snu na odgłos jej krzątania w mieszkaniu, potem zaś pojawiła się z parującym pucharkiem w ręku.

Na blaszanej tacy przyniosła dzieło sztuki: kielich z grubego szkła w kolorze królewskiego błękitu, z rzeźbionym zdobieniem: wypukły, owalny wieniec, a w nim dwie dłonie, na przegubie kobiecym - bransoleta, męskim - koronkowy mankiet, te dłonie trzymały z dwóch stron złotą tabliczkę, na której widniały niebieskie emaliowane litery TOUJOURS. Wzięłam kielich za podstawę i uniosłam go pod światło. Parował w nim ciemny płyn pachnący goździkami. „Wypić!” - rozkazała Emerenc. Nie chciałam pić, nie chciałam niczego poza ciszą.

„Wypić!” - powtórzyła, jak do niegrzecznego, niepojętnego dziecka, po czym, gdy zobaczyła, że odstawiam kielich i nie otwieram ust, chwyciła go tak gwałtownie, że aż krzyknęłam, bo na dekolt kapnęło mi grzane wino. Ujęła mnie za rękę, przysunęła kielich do moich zębów i, chcąc nie chcąc, wypijałam jego zawartość, żeby jej na mnie nie wylała. To był najlepszy napój świata, choć straszliwie gorący, po pięciu minutach przeszło mi dygotanie. Emerenc po raz pierwszy w życiu usiadła przy mnie na kanapie, wyjęła mi z ręki pusty kielich, a potem już tylko siedziała, jakby w oczekiwaniu na to, że się odezwę i wyrzucę z siebie nieznane jej sześć godzin i to, co było potem. Nie potrafiłam mówić, opowiedzieć, co się stało, ani wytłumaczyć jej zgrozy poprzednich dni, wypity jednym haustem trunek też nie pozostał bez skutku. Wiem, że zasnęłam, bo nagle się przebudziłam, lampa paliła się tak samo jak wtedy, gdy wróciłam do domu, tylko zegar wskazywał drugą po północy. Musiała otworzyć mój tapczan, bo leżałam na kanapie przykryta lekkim kocem, a ten mogła wyjąć tylko z pojemnika na pościel. Swoim zwykłym, obojętnym głosem powiedziała, że nie ma co spędzać nocy wśród złych myśli, mam się odprężyć, bo nie dzieje się nic złego, że ona zawsze przeczuwa śmierć, a zresztą nie był żaden okoliczny pies i nie pękła też żadna szklanka ani u niej,

ani w naszej kuchni, oczywiście, jeśli jej nie wierzę, do czego mam prawo, mogę się ewentualnie zwrócić do Boga, ona przyniesie mi Biblię, nie mam obowiązku z nią rozmawiać.

Nie myślałam już wtedy o grzonym winie ani o tym, że w końcu siedział tu przy mnie nocą, tylko wychwyciłam ironię; znów mi przycięła. Nie dość, że - aby uniknąć jej uwag - chodzę w niedzielę do zboru okreśną drogą. Jak mam jej wytłumaczyć, skoro nic nie chce zrozumieć, co dla mnie oznacza nabożeństwo, ilu tam w ławkach wokół mnie siedzi niewidzialnych, którzy z upływem wieków modlili się tak samo i o to samo co ja, że te sześćdziesiąt minut obrządku to jest ta jedyna godzina, kiedy na pewno spotkam mych drogich zmarłych, ojca i matkę? Emerenc niczego nie zrozumie i nie zaakceptuje, jak wódz jakiegoś pierwotnego szczepu przeciw chorągwi z Barankiem powiewać będzie wieczorową suknią z pajetkami niczym flagą wojenną.

Stara kobieta z jakimś fanatycznym zarem przeciwstawiała się Kościołowi, nie tylko duchownym, lecz także Bogu i wszystkim biblijnym postaciom, z wyjątkiem świętego Józefa, którego szanowała ze względu na jego zawód - ojciec Emerenc również był cieślą. Gdy ujrzałam jej dom rodzinny, który z godnością wyzierał zza żywoplotu i z podwójnie ściętym dachem nad masywnymi kolumnkami ganku sprawiał po części wrażenie chaty w stylu chłopskiego baroku, po części zaś dalekowschodniej pagody, wyczułam coś ze smaku i osobowości świętej pamięci Józsefa Szeredasa, który własnoręcznie rzucił na papier szkic budynku. Krowie drzewa, jak nazywała Emerenc otaczające dom platan, potężnie się rozrosły, a wokół domu kwitły kwiaty; kiedy tam pojechałam, nadal był to najpiękniejszy dom w Nadori, obecnie warsztat ciesielsko - stolarski spółdzielni produkcyjnej. Nawiasem mówiąc, wolterianizm Emerenc był nielogiczny, długo nie rozumiałam jego przyczyny, peszył

mnie, aż wreszcie - tym razem z pomocą innej jej wielbicielki, zieleniarki Sutu - złożyłam w całość fragmenty i wyszedł mi pełny obraz.

Konflikt z Kościołem nie był wynikiem przeżytego obłączenia, ostatnich wydarzeń wojny i pierwszych dni pokoju, nie był wynikiem filozofii ukształtowanej przez zgliszczą zburzonego świata, lecz prymitywną, pierwotną zemstą za pewne szwedzkie dary. Współwierni Emerenc otrzymali przesyłkę od pewnego skandynawskiego Kościoła. Dotąd nikt nie wypytywał Emerenc o jej wyznanie, nie widywano jej też w zborze, przecież wciąż pracowała, zwłaszcza w początkowym okresie, kiedy jeszcze regularnie podejmowała się prania i najwięcej bielizny prała właśnie w niedziele. Podczas gdy inni spieszyli do zboru, ona rozpaliała pod małym kotłem i brała się do roboty. Wieść, że dalecy współwyznawcy przesłali ich wspólnocie dary, naturalnie dotarła i do Emerenc, z tą nowiną przybiegła do niej jej przyjaciółka Polett i kiedy w sali modlitewnej zaczęło się dzielenie rzeczy, Emerenc, która nigdy nie pokazywała się w zborze, zjawiała się nagle w odświętnej czerni i czekała, by ją wezwano. Znali ją wszyscy z okolicznych domów, ale nikomu nie wpadło na myśl, aby ją brać pod uwagę, panie, zajmujące się rozdziałem darów i jednocześnie służące członkom szwedzkiej misji za tłumaczki, spoglądały zakłopotane na chudą, wyczekującą postać o nieruchomej twarzy. Natychmiast połapały się, że jeśli nawet nie uczęszcza do zboru, to na pewno jest członkiem wspólnoty, ale rozdzieliły już wszystkie ciepłe wełniane rzeczy i na dnie koszy zostały tylko wieczorowe suknie, przysłane przez dobroczynne Szwedki, które nie znały widocznie tutejszej sytuacji i chciały się pozbyć niepotrzebnej odzieży. Nie można było jednak wypuścić jej z pustymi rękami. Jak się potem okazało, panie miały nadzieję, że może uda jej się sprzedać dar w jakimś teatrze czy domu kultury,

względnie wymienić go na żywność - w żadnym wypadku nie chciały z niej zakpić, jak to oceniła Emerenc, która cisnęła wieczorową suknię pod nogi prezesce dobroczynnych dam i odtąd już nie z powodu pracy, lecz własnego ślubowania nie chodziła do zboru nawet wtedy, gdy przypadkiem trafiła się jej wolna godzina. Panie z dobroczynności utożsały się w jej głowie z Bogiem i Kościołem i nie przepuszczała żadnej okazji, żeby się przyczepić do wierzących, mnie też nie oszczędzała, widząc jak w święto dokładnie na pół godziny przed rozpoczęciem nabożeństwa wychodzę z bramy z psalterzem w ręku.

Kiedy spotkałam ją przed bramą po raz pierwszy, jeszcze nie znałam historii z wieczorową suknią i niewinnie zapytałam, czyby ze mną nie poszła. Poinformowała mnie, że nie jest jaśnie panią, która wymalowana na niebiesko i zielono pędzi się pokazać w zborze, nawet gdyby nie trzeba było sprzątać przed domem, też by nie poszła. Patrzyłam na nią osłupiała, bo od początku było dla mnie jasne, że Emerenc jest „krewniaczką” biblijnej Marty, przecież jej życie to bezustanna pomoc i praca, jakże więc mogła aż tak bardzo poróżnić się z Panem na Wysokościach? Kiedy poznałam powód, oburzyłam się i chciałam, by mi wytłumaczyła swoją postawę, ale roześmiała mi się w nos, a to do niej nie pasowało: ani łzy, ani pogodny śmiech nie były odpowiednie dla Emerenc.

Powiedziała, że nie potrzebuje ani pastora, ani zboru, nie płaci nawet składek. Owocną działalność Boga poznała podczas wojny, nic nie ma do cieśli i jego syna, bo to byli robotnicy, tyle że łgarstwa polityków tak chłopakowi zamąciły w głowie, że trzeba go było w coś wmieszać, aby go wykończyć, kiedy stał się już niewygodny dla przywódców. Najbardziej żał jej matki, bo ta nie miała chyba jednego dobrego dnia, choć jednak to dziwne, że biedaczka na pewno



po raz pierwszy spała spokojnie w Wielki Piątek, bo przedtem wciąż tylko musiała się bać o syna. Myślałam, że strzeli grom z jasnego nieba, gdy w wypowiedzi Emerenc Chrystus jako ofiara machinacji politycznych, niczym przegrany bohater sfingowanego procesu, przestaje wreszcie denerwować znekana niepokojem o Syna Marię. Emerenc zauważyła, że sprawiła mi przykrość, i to ją ucieszyło, patrzyła za mną niegodziwie, kiedy z podniesioną głową wyruszyłam do zboru. Wtedy przyszło mi na myśl, że ta osobliwa istota, która podobno nigdy nie politykuje, musiała jednak przez tajemnicze naczynia włosowate dni powszednich coś w siebie wchłonąć z tego, co się u nas działo w tamtych powojennych latach, i jeszcze, że powinno się znaleźć takiego pastora, który by na nowo rozbudził w Emerenc to coś, co na pewno było, ale zaraz zrozumiałam, że tylko by go obraziła. Emerenc jest chrześcijanką, ale nie ma takiego pastora, który potrafiłby ją o tym przekonać. Po tamtej wieczorowej sukni nie ma już śladu, ale migoczące pajetki głęboko zapadły w jej świadomość.

Oczywiście tamtej nocy chciała mnie tylko rozdrażnić. Nie wiedzieć czemu, uspokoiło mnie to, pomyślałam, że gdyby przeczuwała nieszczęście, nie dokuczałyby mi, ale dzięki Bogu żartuje, śmieje się ze mnie. Chciałam wstać, nie pozwoliła, powiedziała, że jeśli będę grzeczna, coś mi opowie, mam tylko leżeć spokojnie i zamknąć oczy. Ułożyłam się wygodnie, Emerenc stała, opierając się o piec. Mało o niej wiedziałam, tyle co z ułamków danych zdołałam złożyć w iluzję, prawie nic. Tej nierealnej nocy, gdy życie i śmierć, trzymając się za ręce, stały w zimowym brzasku, Emerenc, aby odpędzić mój strach, przedstawiła mi się.

- Jesteście rodzeństwem Chrystusa, zwykła mawiać nasza matka - zaczęła swą opowieść Emerenc - bo nasz ojciec był cieślą i stolarzem meblowym, a jego młodszy brat, mój chrzestny, majstrem murarskim i ciesielskim, ale ten szybko

zmarł, zaraz potem jak mnie ochrzcili. Miał zręczne ręce, jak każdy Szeredas. Nasz ojciec też dużo umiał i był postawnym mężczyzną, matka zaś była jak rusałka z bajki. Miała złote włosy do ziemi i dziadek był z niej bardzo dumny, więc jej nie dał za chłopca, a i za rzemieślnika niezbyt chętnie. Kształcił ją w szkole wydziałowej i kazał ojcu dać słowo, że jej nie zagna do roboty. No więc jej nie gnał. Dopóki ojciec żył, matka tylko czytała, ale niedługo to trwało, bo przecież miałam zaledwie trzy lata, kiedy się biedakowi zmarło, ciekawe, dziadek znienawidził go za to, że ośmielił się umrzeć, jakby to on sam zapragnął własnego końca, dziadkowi na złość, zresztą i tak, żeby było jeszcze ciężiej, przyszła wojna. Nie wydaje mi się, żeby matka od początku kochała pierwszego czeladnika, ale nie dawała sobie rady z warsztatem, więc za niego wyszła. Ojczym nie lubił książek, ale nie to było najgorsze, tylko ten jego strach, że skoro wszystkich biorą do wojska, to i na niego przyjdzie kolej, a tak mu było dobrze przy naszej matce, bo nas też polubił. To nie był zły człowiek, choć mnie odebrał ze szkoły, czego żałował nawet kierownik, no ale przecież ktoś musiał gotować dla tych pijaków żniwiarzy, matka by nie nadażyła i bliźniaki też trzeba było niańczyć. To były bardzo piękne dzieci, wypisz, wymaluj nasza matka, jak z bajki, nic dziwnego, że ojczym nigdy ich nie bił, mój młodszy brat Józsi, którego syna pani zna, bo tu do mnie przychodzi, nie był podobny do nikogo i rzadko go widywałam, bo po śmierci naszego ojca wziął go do siebie dziadek Divek i więcej przebywał w Csabadul niż z nami w Nadori. Do dziś żyją tam jeszcze krewni mojej matki. Pan kierownik szkoły, kiedy mnie ojczym odebrał, wykrzykiwał, że to wielka strata, ale mu ojczym wytłumaczył, że tylko łajdak pcha nos w cudze sprawy, więc niech mnie nie buntuje, bo może oberwać, on sam wziął sobie na kark babę z czwórką dzieci, poza tym w każdej chwili mogą go powołać do wojska, a żona nie radzi

sobie z robotą, ale niech sobie kierownik nie wyobraża, że to dla niego przyjemność zaprzęgać mnie do pracy, on jednak nic na to nie poradzi, nie ma żadnego chłopca do pomocy ani w warsztacie, ani w polu, wciąż tylko się od niego żąda plonów, choć rodzi się za mało, nawet dla bydła, słowem, pan kierownik dostał za swoje, a mnie ojczym zagnał do pomocy w gospodarstwie. On naprawdę nie był zły, niech pani sobie nie wyobraża, tylko się bał, sama pani wie, do czego jest zdolny człowiek, który się boi. Nie mam do niego żalu za to, że mnie bił, jak mi się z początku coś nie udawało, zwłaszcza w polu, bo przedtem wychodziłam w pole, żeby się bawić, a nie pracować. Powołania do wojska sfruwały do wsi jak ptaki, więc ojczym wciąż się bał i przeklinał. Pewnego wieczoru, kiedy w domu zrobiło się wreszcie cicho, bo położyłam bliźniaki, a Józsi nie mieszkał już z nami, tylko z dziadkiem, matka powiedziała do ojczyma, żeby przestał wciąż mówić o tym, czego się boi, bo wywoła wilka z lasu, na co on jej wyjaśnił, że spodziewa się najgorszego, bo miał sen, że jeśli go powołają, to już nas więcej nie zobaczy. No i nie zobaczył, poległ jako pierwszy z Nadori. Matka nie wiedziała, co ma zrobić z warsztatem, bo wprowadzono reglamentację na drewno, zresztą nikt się nie budował, a gdyby nawet, to i tak nie miała ludzi, ale z początku wydawało się jej, że jakoś sobie poradzimy bez mężczyzny. Była gospodarską córką, myślała, że zna się na ziemi i da sobie sama radę. Żeby pani widziała, jak ona się męczyła, byłam niegłupim dzieckiem, pomagałam jej, jak mogłam, ale i tak nic nam z tego nie wyszło. Mając dziewięć lat, niańczyłam bliźniaki i gotowałam. Kiedy przyszła wiadomość o śmierci ojczyma, okazało się, że matka zdążyła go już pokochać i teraz opłakiwała dwóch, ojca i jego, tyle że ojczym nie miał nawet grobu, i matka coraz trudniej zносиła to wszystko, niech pani nie myśli, że tylko takie jak pani mają nerwy. Była młoda,

słaba i bezradna. Pewnego dnia, kiedy bliźniaki były niezdolne i także we mnie coś wstąpiło, bo w końcu ja też byłam jeszcze dzieckiem, uderzyła mnie za to, że się bawiłam zamiast robić to, co mi kazała, i wtedy pomyślałam, że ucieknę, pójdę za Józsim do Csabadul, bo dziadek jest zawsze dla niego dobry i jeśli nawet daje mu coś do roboty, to nie za dużo. Postanowiłam, że zabiorę ze sobą bliźniaki i niech sobie matka potem robi, co chce, my pójdziemy, wiem, gdzie to jest, przecież Csabadul sąsiaduje z Nadori i możemy nawet iść na piechotę. Wyruszyliśmy w trójkę wczesnym rankiem, niosłam na rękach dwoje jasnowłosych dzieci, ale dotarliśmy tylko do ścierniska, bo zaraz chciały usiąść i jeść, a potem zachciało im się wody, więc pobiegłam do studni na pastwisku z blaszanym garnuszkiem, który zawsze nosiłam przewieszony na sznurku na szyi, bowiem nauczyłam się, że małe dzieci ciągle chcą pić, i nawet po domu chodziłam z tym garnuszkiem. Studnia była niby blisko, a jednak daleko, zresztą takie dziecko nie wie, co to jest blisko, a co daleko. Właśnie dobiegłam do studni, kiedy zerwała się burza, nigdy nie widziałam tak szybko nadchodzącej burzy. W całej okolicy nie pamiętano takich piorunów. Niebo zmieniło się w jednej chwili, nie było czarne jak zwykle, lecz fioletowe, i całe płonęło, jakby rozpalono ogień wśród chmur, dudnił, toczył się po niebie grzmot, omal nie popękały mi bębenki, ale potem cisnęłam garnuszek i pobiegłam z powrotem, bo kiedy się obejrzałam na bliźnięta, już ich nie zobaczyłam, tylko to, że piorun strzelił w drzewo nad nimi. Wszędzie był dym i kiedy tam dobiegłam, były już martwe, a ja nie mogłam uwierzyć, że te dzieci przede mną to one, bo w ogóle nie były podobne do ludzi. Wtedy już lało, deszcz spływał po mnie jak pot, a ja tylko stałam nad bratem i siostrą i patrzyłam na te dwie czarne, zwęglone szczapki, stałam jak głupia, obracałam głowę na wszystkie strony, gdzie też się podziały blondaski, przecież to nie może być moje

rodzeństwo. Dziwi się pani, że moja matka skoczyła do tej studni na pastwisku? Już tylko tego jej było trzeba, tego widoku i mnie wrzeszczącej histerycznie, tak wrzeszczącej, że po burzy słychać mnie było aż do gościńca, aż do naszego domu. Matka wybiegła boso i w koszuli, rzuciła się na mnie, zaczęła mnie okładać, a przecież nie wiedziała, że chciałam uciec przed jej łzami, złym humorem, wiecznymi kłopotami i narzekaniem, ona wcale nie wiedziała, co robi, chciała tylko w rozpaczynie niszczyć, bić, kogo popadnie, potem, kiedy pojęła, dlaczego ją wołam, i zobaczyła dzieci, twarz jej stanęła nagle w płomieniach i matka jak strzała odbiegła ode mnie w deszczu, rozpuszczone włosy ciągnęły się za nią po ziemi, a ona tylko biegła i krzyczała, ptaki zwykły tak krzyczeć. Widziałam, jak skacze do studni, ale nie mogłam się poruszyć, stałam przy drzewie i trupkach dzieci, już nie grzmiało, nie błyskało się, gdybym wtedy pobiegła po pomoc, jeszcze by ją uratowali, nasz dom był przy gościńcu, ściernisko tuż za naszym ogrodem, ale ja tylko stałam jak zaklęta i nie miałam w głowie żadnej myśli, całkiem zdrętwiał mi mózg. Człowiek nie potrafi tak kochać, jak ja kochałam te maleństwa, i tylko patrzyłam na te czarne szczapki i nie mogłam uwierzyć, że to one, nie wzywałam pomocy, tylko się gapiłam i tak całkiem mimochodem zastanowiłam się, co też matka robi tak długo na dnie studni. Teraz wiem, co robiła, uciekła biedaczka ode mnie, uciekła przed tym widokiem i swoim losem, wszystkiego miała już dość, bywa, że człowiek nagle zapragnie skończyć z życiem. Przez pewien czas stałam i patrzyłam, potem poszłam, dom był pusty, po co miałabym wchodzić, stanęłam na gościńcu i poprosiłam pierwszego napotkanego człowieka, żeby porozmawiał z moją matką, bo weszła do studni, a blondaski, czyli moje rodzeństwo, znikły spod drzewa i w miejscu, gdzie były, jest coś czarnego. Sąsiad, bo to jego zaczepiłam na gościńcu, pobiegł i w końcu

to on wszystko załatwił, zostawili mnie u kierownika szkoły, nim poszli po dziadka, żeby mnie zabrał, ale dziadek mnie u siebie nie zatrzymał jak brata Józsięgo i kiedy przyjechali z Pesztu państwo po służącą, oddał mnie bez słowa. Wzięli mnie zaraz po pogrzebie. Nic nie zrozumiałam z pogrzebu, choć ich widziałam, obie trumny były przecież otwarte, bliźnięta w jednej, matka w drugiej, i matka wyglądała równie niedorzecznie jak blondaski, którym jakoś roztopiły się włosy i nic nie miały na główkach, prawdę mówiąc, główek też nie miały, były tak niepodobne do dzieci, że nie potrafiłam nawet zapłakać, opłakiwać ich. To, co mnie spotkało, to było już za dużo, nie mieściło się w głowie. Wie pani, na co zbieram pieniądze? Na kryptę. Będzie wielka jak świat i piękna jak żadna inna, każde okno ze szkła w innym kolorze i będą w niej półki, a na każdej półce trumna. Ojciec, matka, bliźnięta i ja, a jeśli syn brata Józsięgo zostanie taki, jak jest, dwa pozostałe miejsca mogą być dla nich. Zaczęłam zbierać pieniądze jeszcze przed wojną, ale potem były potrzebne na co innego, poproszono mnie, więc dałam i nie żałuję. Znow zbierałam. Wtedy mnie okradli, ale znow zaoszczędziłam, bo ktoś mi regularnie przysyła z zagranicy i nawet przez jeden dzień w życiu nie byłam bez pracy. Mam już całą sumę i teraz, jak chodzę na pogrzeby, to zawsze patrzę, czy jest taka krypta, jaką zaprojektowałam, ale takiej nie widziałam, moja będzie inna niż wszystkie. Zobaczysz pani, jakie piękne smugi będzie rzucało słońce na trumny przez kolorowe szyby. Mój spadkobierca każe wybudować taką kryptę, że każdy się przed nią zatrzyma. Wierzy mi pani?

Viola

Zawsze zależało mi na tym, by ludzie, z którymi się bliżej zetknęłam, okazywali zadowolenie czy radość z ponownego spotkania. Kompletna obojętność Emerenc następnego ranka po tej nierealnej nocy, kiedy ze mną została i przedstawiła mi dawną siebie - dziecko, uraziła nie moją próżność, lecz tę właśnie cechę mojego charakteru. Zasnęłam wtedy o świcie bez niepokoju i lęku, czułam, że świat jest jednak okrągły, i ani przez minutę nie wątpiłam w pomyślność operacji, bo opowiadanie Emerenc rozładowało we mnie strach. Dotąd wszystkie ważne szczegóły jej istoty przesłaniała chustka, teraz Emerenc stała się centralną postacią dzikiego, wiejskiego krajobrazu, za nią płonący firmament, przed nią zwęglone trupy, błyskawica nad żurawiem studni. Naprawdę wierzyłam, że coś definitywnie przełamało się w naszych relacjach, że Emerenc nie jest już osobą obcą, lecz przyjaciółką, moją przyjaciółką.

Kiedy się obudziłam, nie było jej w mieszkaniu, nie widziałam jej też na ulicy, gdy szłam do szpitala, ale o pracy jej rąk świadczył odśnieżony do czysta skrawek chodnika przed bramą. Emerenc na pewno obchodzi inne swoje domy, tłumaczyłam sobie po drodze. Nie bałam się, nie kłuło mnie w sercu, czułam, że w szpitalu oczekują mnie same dobre nowiny, i tak też było. Zostałam tam do obiadu, wróciłam głodna i przekonana, że Emerenc siedzi w mieszkaniu ciekawa, z czym przybywam, ale pomyliłam się. Dała mi do zrozumienia, że nikogo nie obchodzi, z jaką to radosną czy tragiczną nowiną wraca człowiek do domu. Nasz neandertalski przodek pewnie właśnie w takiej chwili nauczył się płakać: kiedy po raz pierwszy doświadczył samotności w swoim triumfie nad przywleczonym do domu zwierzem, bo nie miał z kim podzielić przeżyć tej walki, nie miał też komu pokazać ani łupu, ani swych ran. Mieszkanie było puste,

obeszłam je, wołałam ją, nie chciało mi się wierzyć, że może być gdzie indziej tego dnia, nie wiedząc nawet, czy mój chory żyje. Śnieg przestał padać, więc na pewno nic jej nie zatrzymało na ulicy. Jednak nigdzie jej nie było. Weszłam do kuchni i znów bez apetytu zabrałam się do odgrzewania obiadu. Logicznie myśląc, wiedziałam, że nie mam prawa do tego, czego życzyłabym sobie od tej starej kobiety, ale przecież nawet kierując się logiką, nie można w ogóle nie zwracać uwagi na emocje, nagłe poczucie braku czy rozczarowanie. Emerenc tego dnia w ogóle nie sprzątała, koc leżał na kanapie tak samo, jak go rano odrzuciłam, zrobiłam więc trochę porządku, pozmywałam i znów poszłam do szpitala po jeszcze lepsze wieści. Powracające poczucie bezpieczeństwa zahartowało mnie, postanowiłam, że gdy ją znów zobaczę, nie wspomnę ani słowem o tym, co powiedzieli lekarze, nie będę jej nudziła moimi sprawami. Pewnie i tak jej to nie obchodzi, jaka gwarancja, że mówiła prawdę w tę noc z grzany winem, przecież opowiadała niestworzone rzeczy, ludową balladę prozą, i w ogóle po co ja się tak przejmuję tą Emerenc, czy ja zwariowałam? Zajrzała tego dnia dopiero późnym wieczorem, poinformowała mnie, że znów zapowiadają śnieg, możliwe, że jutro też nie będzie miała czasu posprzątać, ale nadrobi, jak tylko będzie mogła, i prawda, że gospodarz ma się lepiej? Nie interesowało mnie ani jej oświadczenie, ani pytanie, demonstracyjnie przewracałam kartki jakiejś książki, powiedziałam, że mąż żyje i ona, Emerenc, może sobie spokojnie iść. Wyszła natychmiast, życzyła mi dobrej, spokojnej nocy i nie zrobiła nawet tyle, żeby sprzątnąć z kuchennego stołu pojemniczek po kefirze, skoro już ja o tym zapomniałam. Nie zatroszczyła się też o ogień, tej nocy już nie wróciła, nie było ani grzanego wina, ani opowieści. Zgłosiła się dopiero po dwóch dniach, wówczas dokładnie posprzątała i już nawet nie zapytała o



gospodarza, pewnie własny instynkt powiedział jej, że jego stan się polepsza. Nie lubiła zbędnej gadaniny.

Później bywała u nas jeszcze mniej niż do tej pory, życie nas obu było czymś zdeterminowane, moje - szpitalem, jej - opadami. Nie przyjmowałam gości i niewiele czasu spędzałam w domu, gdzieś koło Gwiazdki dostałam z powrotem męża, Emerenc powitała go uprzejmie, życzyła mu pełnego powrotu do zdrowia i, jak nakazywała jej własna, prywatna konstytucja, u nas także zjawiała się z odpowiednim dla rekonwalescenta posiłkiem. Teraz dokładnie obejrzałam naczynie, kiedy się spotkałyśmy na ulicy, nie mogłam przecież wyjąć jej go z rąk. Waza, jak i tamten kielich, była arcydziełem, miała dwa ucha, była kulista, stała na małej, okrągłej podstawce, na porcelanowej pokrywie zaś widniał węgierski sztandar z portretem i nazwiskiem Kossutha (Lajos Kossuth (1802 - 1894) - przywódca walki o niepodległość Węgier w czasie Wiosny Ludów i rewolucji węgierskiej; uważany przez Węgrów za bohatera narodowego i symbol wolności.). Przyniosła aromatyczny rosół z kury, a widząc, że interesuje mnie przede wszystkim waza, powiedziała, że to bardzo przydatna rzecz, dostała ją od jednej ze swych pań, Grossmannowej, gdy wydano ustawę antyżydowską, ale, rzecz jasna, tamta nie używała jej do noszenia chorym posiłków, tylko trzymała w niej doniczkę z kwiatami, choć szkoda tego marnować na doniczkę. Grossmannowa miała mnóstwo pięknej porcelany i to szklane coś, w czym przyniosła ona, Emerenc, grzane wino, też jest spuścizną po niej.

Ładna mi spuścizna, pomyślałam ze wstrętem, rozdrażniona, że znów przybrała dawną pozę, i już naprawdę brakowało mi tylko obrazu Emerenc pakującej sprzęty w splądrowanym domu, który utracił swych gospodarzy. Lata poprzedzające drugą wojnę światową przeżyłam w bardzo szczęśliwych warunkach politycznych, wśród cudzoziemców,

którzy byli znacznie lepiej zorientowani niż moje węgierskie środowisko. Jeśli kiedyś spiszę historię tego okresu mojego życia, o którym niemal nigdy nie wspominam, to opowiadanie o tej mojej najmłodszej młodości nie będzie nudne, ja mianowicie wiedziałam, co wiozą wagony, dokąd i w jakim celu. Najchętniej oddałabym Emerenc wazę, ale to nie odbyłoby się bez wyjaśnienia, a nie mogłam denerwować męża, do którego dopuszczałam na razie tylko przefiltrowany świat i który nawet wpółżywy wyskoczyłby z łóżka na samą myśl, że przynosi mu się jedzenie w wazie pozostawionej przez wysłaną do gazu nieznajomą, bo Emerenc zapewne rozumowała w swoim czasie jak wielu innych, że jeśli ona nie weźmie, i tak trafi się chętny. Pozwoliłam więc, by do ostatniej kropli zjadł rosół, i zemściłam się tylko w ten sposób, że nie powiedziałam jej: po raz pierwszy zjadł coś z prawdziwym apetytem, a przecież Emerenc jeszcze długo coś robiła w kuchni i choć nigdy nie żądała uznania, czułam, że tym razem wyjątkowo jej na nim zależy. Nawet nie podziękowałam, postawiłam przed nią pustą wazę i wróciłam do sypialni. Czułam jej spojrzenie na plecach i cieszyłam się, że teraz ona nie rozumie, o co mi chodzi. Byłam triumfująca, dumna, nieco pogardliwa i wydawało mi się, że znalazłam wytłumaczenie zakazu wstępu do jej mieszkania. Majster - klepka słusznie podejrzewa, że za wiecznie zamkniętymi drzwiami muszą kryć się cenne przedmioty, skarby wywiezionych skazańców, nie należy niczego pokazywać, ktoś mógłby coś rozpoznać i miałyby Emerenc za swoje, na darmo tak starannie pakowała swego czasu łup, teraz bez ryzyka nie może go nawet sprzedać. Co za typ, biedni Grossmannowie nie mają nawet grobu, a ta zbiera na Tadź Mahal! Że niby trzyma w domu kota i dlatego nie otwiera drzwi! Więzi zwierzaka, żeby mieć alibi, i to nawet jest niezły

pretekst, tyle że dziurawy, bo nie ma w tej legendzie ani słowa o posagu Grossmannowej.

Była dumniejsza ode mnie. Jeśli ją nawet zaskoczyłam, nigdy nie zapytała o przyczynę tego nagłego oziębienia atmosfery. Mój mąż nie był z natury przyjacielski, zwłaszcza nie był taki wobec niej. Wspominałam już, że choć nigdy o tym nie mówił, całymi latami krępowała go obecność starej kobiety: Emerenc była nowym elementem, który mógł wyrzucić na nas zarówno dobry, jak i zły wpływ, jej nie można było tak zwyczajnie wyeliminować z naszego dwuosobowego kręgu. Zresztą z niczym się więcej nie narzucała. Teraz już nie wydawała mi się suwerenem: wierzyłam, że odgadłam jej tajemnicę. Nie myślałam też, że jest nadzwyczaj mądra, bo gdyby kiedykolwiek miała rozum, to po czterdziestym piątym naprawdę znalazłaby sposób, żeby się kształcić. Gdyby po wojnie zabrała się do nauki, mogłaby dziś być ambasadorem czy ministrem, ale jej nie trzeba było kultury, ona miała tylko tyle rozumu, żeby się obłowić, a teraz odwiedza chorych z kradzioną wazą i zabawia mnie o świcie gadką, którą musiała usłyszeć od jarmarcznego śpiewaka lub znaleźć w jakimś straganowym czytadle na dziadkowym strychu. Burza, błyskawica, piorun, studnia to już dysonans, za dużo. Teraz zrozumiałam także jej polityczną bierność i wrogie nastawienie do religii: to naprawdę mądrzej, że nie pokazuje się na żadnym publicznym forum, w końcu Budapeszt to nie takie duże miasto, a nuż zostali jacyś krewni Grossmannów, ktoś usłyszy o zawsze zamkniętym mieszkaniu, zacznie się zastanawiać i dojdzie do tego samego wniosku co ja. Zresztą, po co miałyby chodzić do takiego zboru, w co taka jak ona mogłaby wierzyć? Zima była ciężka, Emerenc miała dużo roboty, choroba męża pochłaniała cały mój czas, unikałyśmy się i nie było w tym nic dziwnego, że właściwie nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawiałyśmy.

Potem znalazłam psa.

Mąż znów mógł wychodzić z domu, zaczynał odzyskiwać dawną formę. Już wcześniej często musiałam go pielęgnować, w ciągu prawie trzydziestu pięciu lat naszego małżeństwa niejednokrotnie niemal cudem wydzierał się z objęć śmierci, ale z każdej choroby, aż do tej ostatniej, wychodził w końcu odmładniały i zwycięski - dla mojego męża zwycięstwo w każdej dziedzinie życia było sprawą najistotniejszą. Teraz było Boże Narodzenie, wracaliśmy we dwoje spacerem z dyżuru, gdzie przepisano lekarstwo, i w zapadającym zmroku znaleźliśmy szczeniaka zakopanego po szyję w śniegu. W wojennych filmach rozgrywających się w dalekowschodnich obozach jenieckich widuje się takie metody zabijania: zakopuje się człowieka po uszy, tak że piasek zasłania mu już nawet usta i człowiek taki może się odzywać jedynie nosem, zatem nie krzyczy, a tylko sapie. Sapał także ten pies. Ktokolwiek liczył na to, że w końcu ktoś się nim zaopiekuje, był niezłym psychologiem, no bo kto w wigilię narodzin Chrystusa zostawiłby w paszczy śmierci żywe stworzenie? To była ta chwila, przed której czarem nie mógł się obronić nawet mój niechętny zwierząt mąż. Naprawdę nie chciał wpuszczać obcych do naszego domu, a już najmniej psa, który wymaga nie tylko jedzenia, ale i uczucia, jednak pomógł go wygrzebać z zamarzniętego śniegu. Właściwie nie chcieliśmy zatrzymać szczeniaka na zawsze, mieliśmy nadzieję, że uda się go komuś oddać, wiedzieliśmy natomiast, że tu zostać nie może, przecież do rana będzie martwy. Zwierzak, na razie, zapowiadał kłopoty, bo całkiem wyraźnie potrzebował nie tyle jedzenia, co lekarza. „To szczególny podarunek - powiedział mój mąż, kiedy schowałam psiaka pod palto i czarna przerażona mordka torowała sobie drogę zza futrzanego kołnierza, a pod paltem z jego brzuszka i łapek skapywał topiący się śnieg. - Rzadko trafia się człowiekowi prawdziwa

gwiazdkowa niespodzianka". Emerenc skończyła już w domu wielkie sprzątanie, pokoje lśniły i włokąc się z pieskiem, łamaliśmy sobie głowy, gdzie ma zamieszkać, zdecydowaliśmy, że u mojej matki, która już wtedy nie żyła i nawet nie opalaliśmy tego pokoju z pięknymi, starymi meblami. „Mam nadzieję, że lubi osiemnasty wiek - powiedział mój mąż. - Pies gryzie rzeczy tylko do drugiego roku życia, potem sam z siebie przestaje". Nawet mu nie odpowiedziałam, bo miał rację, ale nie można było zrobić nic innego, nawet gdyby to biedaczysko skryte pod moim paltem miało naprawdę pozjadać meble. Kroczyliśmy niczym mała, tajemnicza procesja jakiejś sekty, z czarną relikwią za pazuchą, w wigilię Bożego Narodzenia.

Nigdy, ani przedtem, ani potem, gdy już mogłaby umrzeć dla mnie z miłości rekompensującej nieprzeżyte macierzyństwo, nie widziałam Emerenc takiej, jak w chwili gdy spostrzegła, co przynieśliśmy. Kiedy weszliśmy, krzątała się właśnie w kuchni, układała na półmisku świąteczne wypieki, ale natychmiast cisnęła gdzieś nóż i wyrwała mi psiaka z rąk. Chwyciła ścierkę do kurzu, wytarła go dokładnie, potem postawiła na kuchennej posadzce, żeby zobaczyć, jak chodzi. Piesek bezradnie klapnął na chudy tyłeczek, był jeszcze zesztywniały od śniegu, w którym go zakopano, i natychmiast też zlał się ze strachu, Emerenc rzuciła na kałużę gazetę i kazała mi przynieść mniejszy włochaty ręcznik kąpielowy z szafy wnękowej. Dotąd nawet nie wiedziałam, że orientuje się, gdzie co trzymamy, zawsze nalegała, żebym sama wszystko chowała, bo ona nie lubi dotykać tego, co do niej nie należy. Zatem wie, co jest w szafach, niczego nie dotyka, ale obserwuje, kontroluje, ewidencjonuje, Emerenc nie może znieść cudzych tajemnic.

Przyniosłam frotowy ręcznik, a ona starannie owinęła nim psiaka, jakby był niemowlęciem, i chodziła z nim tam i z

powrotem po korytarzu, szepcząc mu coś do ucha. Poszłam do telefonu, tu naprawdę nie mogło być mowy o żadnej zwłoce, jeśli chcieliśmy uratować zwierzątko, w pokoju był już włączony telewizor, wigilia, Boże Narodzenie, święta wyczuwalnie unosiły się wokół nas w powietrzu zapachami, światłami, muzyką. Wiele utraciłam już z mojej osobowości, ale pozostał mi jeszcze przyprószony gwiezdny pyłem nastrój wigilijny z Dzieciątkiem w glorii na rękach Dziewicy Matki. Emerenc była głucha i ślepa, spacerowała z psem po korytarzu, chropawym głosem śpiewała mu jakąś pieśń i okazało się, że wykonała osobliwe i wzruszające salto uczuciowe, bo chwaliła już narodziny Chrystusa. Kołysała się ze starannie zakutym czarnym pieskiem w ramionach, jak karykatura macierzyństwa, jak jakaś absurdalna Madonna. Bóg wie, jak długo by go niańczyła, gdyby nie zadzwoniono po nią z sąsiedniego domu, żeby się zbierała, bo pękła rura i pan Brodarics już telefonował po monterów, a ona niech się pospieszy i wyłączy wodę. Z miną morderczyni oddała mi psa na ręce i poszła do domu pozbierać wodę i zakręcić kran, ale wracała co kwadrans, żeby zobaczyć, co z małym. Szczeniaka zbadał tymczasem zaprzyjaźniony weterynarz wyblągany do nas spośród zimnych ogniów, Emerenc nieufnie słuchała jego diagnozy, wszystkich lekarzy uważała za głupców i nieuków, nie znosiła ich i nie wierzyła też ani w lekarstwa, ani w skuteczność szczepień, twierdząc, że lekarze dają zastrzyki, by wyciągnąć pieniądze, a bajki o wściekłych lisach i kotach opowiadają po to, by jeszcze lepiej zarabiać.

Całe tygodnie trwała walka o życie psa, stara kobieta bez słowa sprzątała ślady nieżyty jelit i gdy nie było mnie w domu, wbrew swoim przekonanióm ładowała w niego leki, trzymała go, gdy wstrzykiwano mu antybiotyk, a my tymczasem wszystkim dokoła proponowaliśmy pieska, ale nikt go nie chciał. Wołaliśmy go pięknym francuskim

imieniem, ale Emerenc nie wypowiedziała go ani razu i pies też nie reagował, poza tym rósł z dnia na dzień i gdy tak powracał do zdrowia, objawiały się nam wszystkie uroki i dobre cechy jego kundlowskiej natury, aż wreszcie całkowicie przyszedł do siebie. Okazało się, że jest znacznie inteligentniejszy od rasowych zwierząt naszych przyjaciół. Nie był ładny, łączył w sobie zbyt wiele ras, ale kto go zobaczył, od razu - patrząc w jego niezwykle błyszczące, bardzo ciemne oczy - wyczuwał, że rozum tego psa można by mierzyć nieomal ludzką miarą. Zanim przyjęliśmy do wiadomości, że nikt go nie chce, już go polubiliśmy. Kupiliśmy mu smycz i obrozę oraz kosz do spania, który psiak zeżarł po paru tygodniach i porozrzucił po mieszkaniu pogryzione kawałki wikliny, a gdy chciał spać, kładł się pod progiem w swym coraz gęściejszym, lekko sfalowanym futerku, bez koca i poduszki. Szybko przyswoił sobie potrzebne mu do życia słownictwo i został członkiem rodziny, którego nie można było z niczego wykluczyć: osobą. Mąż tolerował go, niekiedy nawet pieścił, gdy pies zachował się mądrzej lub zabawniej niż zwykle, ja go kochałam, Emerenc uwielbiała.

Jeszcze świeże było wspomnienie porcelanowej wazy i kielicha z grzanym winem wraz ze związanymi z tym skojarzeniami. Jakże ja lubiłam tych przyjaciół zwierząt, którzy bez jednego słowa, jednego gestu, pozwalali znikać zaplombowanym wagonom, o których niegodziwi potwarczy opowiadali, że zamknięto w nich ludzi, z ironią więc obserwowałam miłość okazywaną zwierzętom przez Emerenc, która mówiła o sobie, że natychmiast lgną do niej kury, kaczki i gęsi, i niełatwo jej jest dać w łeb czy poderżnąć gardło któremuś ze swych osobistych „znajomych”, skoro już w parę dni oswoił się do tego stopnia, że pozwalał sobie wyjmować ziarno z dzioba lub siadał przy niej na kanapce.

Dopóki myślałam, że tylko Emerenc darzy psa żarliwym uczuciem, bawiło mnie to, kiedy jednak spostrzegłam, że i on widzi w niej prawdziwą panią, rozzłościłam się. Pies każdego z nas mierzył inną miarą, jego zachowanie też było trojaki: ze mną się przyjaźnił, przy moim mężu był cichy i niemal grzeczny, kiedy zaś zbliżała się Emerenc, pędził do drzwi i witał ją, niemal płacząc ze szczęścia. Emerenc wciąż mu coś tłumaczyła podniesionym głosem, dzieląc słowa na sylaby, jakby uczyła dziecko, które dopiero zaczyna mówić, i nawet nie ukrywała, czego chce go nauczyć, tylko powtarzała swój stały tekst niczym wiersz i nie obchodziło jej, jak go przyjmujemy: „Z twoją panią możesz robić, co ci się podoba, możesz na nią skakać, lizać ją po twarzy i po rękach, możesz przy niej spać na kanapie, ona ci pozwoli, bo cię lubi. Gospodarz jest jak cicha woda, nie wiadomo, co jest na dnie, nigdy nie mać wody, piesku, nie drażnij pana, bo stąd wylecisz, a to dobre miejsce, jeśli w ogóle w mieszkaniu może być dobre miejsce dla psa”. Względem swojej osoby nie instruowała go, pies rozumiał bez słów, czego chce. Wtedy nadała mu już imię, Viola. Był psem, ale to nie wpłynęło na jej decyzję. Czasami nie pouczała go, lecz tresowała. „Siad, Viola. Dopóki nie usiądziesz, nie dostaniesz cukierka. Siad! siad!”

Kiedy po raz pierwszy zauważyłam, czym go nagradza, zwróciłam jej uwagę, że według lekarza psu nie wolno jeść cukierków. „Lekarz to idiota” - odparła Emerenc i mocno poklepała psa po łopatce. „Siad, Viola, siad. Jak usiądziesz, dostaniesz coś dobrego, słodkiego. Pies dostanie cukierka. Siad, Viola, siad”. I Viola siadał, najpierw za cukierek, później już darmo, powodowany refleksem na dźwięk znanego słowa. Emerenc niekiedy wypożyczała sobie psa, mówiła, że cały dzień nie ma jej w domu, niech popilnuje zamiast niej, gdy ona będzie sprzątała śnieg. Mój mąż pozwalał: niech go



zabiera, przynajmniej przez ten czas nie będzie skakał ani szczekał, a ja zapytałam ją, czy nie boi się o kota, którego, jak słyszałam, trzyma w domu. Powiedziała mi wtedy, że się nie boi, już ona go nauczy, że inne zwierzęta trzeba kochać, a nie krzywdzić. Violę wszystkiego można nauczyć. Gdy pies coś zbroił, wbrew moim zakazom i własnemu uwielbieniu tłukła go bezlitośnie. Nigdy w ciągu czternastu lat jego życia nie uderzyłam Violi, a jednak to Emerenc była jego panią.

Chętnie zobaczyłabym, jak sobie poczyta pies w królestwie starej kobiety, które nigdy nie otwierało się przed innymi, ale zakaz wstępu obowiązywał w dalszym ciągu. O tym, że Viola naprawdę spotykał się tam z kotem, wносиłam stąd, że przynosił do domu pchły i odtąd musieliśmy się zajmować także pchłami. Pierwsze spotkanie bez wątpienia nie przebiegło spokojnie, Viola miał zraniony nos, głębokie zadrapanie na uchu, a jego nastrój świadczył o stoczonej bitwie, po której na pewno dostał lanie. Emerenc drastycznymi metodami utrwaliła w jego świadomości, że nie należy ruszać kota. Nie przyjął tego tragicznie, po powrocie do domu od razu przytulił smutny, szczenięcy pysk do kolan Emerenc. Później już chyba nie miewał problemów, bo gdy szłam z nim na spacer, widziałam, jak bez złości czy niepokoju wesoło patrzy na umykające przed nim, kryjące się pod balkonami bezpańskie koty i całkiem wyraźnie nie rozumie, po co uciekają, skoro on nie ma żadnych złych zamiarów. Całą zimę pilnował mieszkania Emerenc, a ja zaprotestowałam dopiero wtedy, gdy pewnej niedzieli wrócił do domu pijany.

Kiedy go odprowadziła, sądziłam, że wzrok mnie myli, pies szalał, brzuch miał jak beczka, przewracał oczami, sapał. Nie mogłam go nawet postawić na nogach, bo wciąż się wywracał, przykucnęłam więc przy nim, żeby zobaczyć, co mu jest. Viola miał czkawkę i cuchnął piwem. „On jest pijany,

Emerenc" - powiedziała zdlawionym głosem. „Wypiliśmy trochę - odparła trzeźwo. - Nie umrze od tego, chciał pić i smakowało mu". „Chyba pani oszalała - podniosłam się. - I proszę więcej nie zabierać psa. Koniec. Skoro już go odratowaliśmy, nie będziemy go zabijać, wciąganiem w alkoholizm". „Akurat, zabije go ta odrobina piwa - odparła Emerenc z zaskakującą goryczą - i ta pieczona kaczka, którą się z nim podzieliłam, bo on wyprosił to piwo, co mam na to poradzić, że on już wszystko potrafi powiedzieć, wprost błagał o to jedzenie i picie, to nie jest byle jaki pies. Na pewno go to zabije, że zjadł ze mną ucziwy obiad, zamiast przymierać głodem, jak u państwa, gdzie wolno mu jeść tylko o wyznaczonej godzinie i dietetycznie, a w pokoju i z ręki nigdy, choć on właśnie lubi z ręki, a nie z miski. I to niby ja chcę go zabić, ja, która go wychowuję, rozmawiam z nim, uczę dobrego wychowania - mówiła ze śmiertelną powagą jak urażony w swych najświętszych uczuciach pedagog. - Może to pani nauczyła go siadać, aportować piłkę, witać się, przecież wy tylko ślęczycie w domu jak dwa bożki i nawet się do siebie nie odzywacie, tylko jedno wali w maszynę w jednym pokoju, drugie w drugim. Proszę sobie zatrzymać Violę, zobaczymy, co wam z tego wyjdzie". Obróciła się na pięcie i wyszła po tym oświadczeniu; gdy chodziło o ważne sprawy, Emerenc nie mówiła, ona oświadczała. Viola, zwaliwszy się na podłogę, chrapał i był tak pijany, że nawet nie zauważył: został porzucony.

Kłopoty zaczęły się nie od razu, tylko następnego ranka, bo Emerenc, która zawsze dawała psu śniadanie, wyprowadzała go na spacer i potem przeważnie zabierała do siebie, nie przyszła po niego. Viola trzymał się jakoś, nie zrobił nieporządku, ale kwadrans po szóstej zaczął tak wyć, że musiałam wstać i upłynęło trochę czasu, zanim pojęłam, że czekam na nią na próżno, Emerenc jest jak Jehowa: karze do

siódmego pokolenia. Awantura wybuchła przed domem, w którym mieszkała Emerenc, bo pies, jak każdego ranka, chciał wejść do jej mieszkania. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego woli być zamknięty u Emerenc niż ze mną w domu, gdzie wolno mu wszędzie chodzić. Kiedy pojął, że daremnie szarpie smyczą, zaczął być niegrzeczny, pociągnął mnie mocno i ruszył biegiem. Był silnym psem, ja zaś na zaśnieżonej ulicy okazałam się tchórzliwym piechurem: wzdłuż chodnika piętrzyły się śnieżne zaspas, a każda z nich stanowiła zagrożenie, bałam się, że upadnę i coś sobie złamię, a puścić go nie mogłam, żeby nie wpadł pod jakiś samochód. Tego ranka dowiedziałam się, gdzie oni zwykli spacerować we dwójkę, Viola zmusił mnie do obiegnięcia rewiru Emerenc, zaciągnął przed wszystkie jedenaście domów, przed którymi sprzątała. Na wpół oślepiona sypiącym śniegiem dyszałam w nedorzecznym biegu Peer Gynta, gnając od domu do domu w narzuconym przez Violę tempie. Wreszcie szarpnął smycz tak silnie, że naprawdę udało mu się mnie przewrócić, za to dotarliśmy do celu, odnalazł, kogo szukał. Emerenc stała plecami do nas i pies skoczył na nią z taką siłą, że jej też omal nie przewrócił, ale Emerenc była mocna, dziesięciokrotnie mocniejsza niż ja w młodości.

Odwróciła się, zobaczyła, że klęczę w śniegu, i w sekundę pojęła, co zaszło. Najpierw zdrowo przylała psu zwisającą swobodnie smyczą, a kiedy zaskowyczał, znów zaczęła go bić. Podniosłam się i wtedy było mi go już żal. „Siadaj, łajdaku! - krzyknęła ze złością, jak do człowieka. - Jak ty się zachowujesz, nicponiu?” Tylko na nią patrzył, trzymała go wzrokiem jak poskramiaczka. „Jeśli chcesz, żeby cię pani puściła, musisz jej obiecać, że już się nigdy nie upijesz, bo twoja pani ma rację, tylko nie przyjdzie jej na myśl, że nikt nigdy nie świętuje moich urodzin, przecież tylko ty wiesz, kiedy one są, bo tylko tobie to zdradziłam, nie powiedziałam

ani synowi mojego brata Józsięgo, ani Sutu, ani Adelce, ani Polett, a podpułkownik zapomniał, ale jak pies wytrzeźwieje, to się nie zachowuje jak chuligan, tylko prosi o pozwolenie. Wstawaj, Viola!" Pies, który do tej pory leżał na brzuchu i skomlał, nie próbując nawet uciekać przed razami, podniósł się. „Przeproś!" Nie przypuszczałam, że umie służyć, a przecież umiał, lewą łapę położył na sercu, prawą uniósł w górę jak bohater z pomnika. „Powiedz, Viola! - rozkazała Emerenc i pies zaszczekał. - Jeszcze raz!" Zaszczekał ponownie, nie spuszczać oczu ze swojej poskramiaczki, by się dowiedzieć, czy dobrze wykonuje swój program, bo instynkt podszeptował mu, że będzie to miało decydujący wpływ na przyszłość. „Teraz obiecaj, że będziesz grzeczny - usłyszałam i wtedy Viola podał jej łapę. - Nie mnie, ja to wiem, twojej pani". Viola odwrócił się do mnie i niczym wilk na obrazkach ze świętym Franciszkiem, ze skruchą, ale i obłudą w spojrzeniu, zaserwował mi prawicę. Nie uściśnęłam jej, tak bardzo bolało mnie kolano i tak bardzo gniewałam się na nich oboje.

Zobaczył, że daremnie prosi, i wtedy spróbował czegoś innego. Bez rozkazu zasalutował, potem znów położył lewą łapę na sercu. Poddałam się. Znów mnie pokonali i wiedzieliśmy o tym wszyscy troje. „Niech się pani nim nie przejmuje - powiedziała Emerenc. - Zje ze mną obiad, a na wieczór go odprowadzę. Proszę obmyć kolano, bo krwawi. Życzę wszystkiego dobrego". Tylko oczami, lekkim ruchem głowy wydała komendę, ale Viola zrozumiał, przeciągle szczeknął dwa razy w moją stronę: żegnał się. Emerenc przywiązała smycz do parkanu i zaczęła odgarniać śnieg: odprawiono mnie. Samotnie powlokłam się do domu, śnieg ciągle padał.

## Kontakty

Wraz z przyjęciem Violi rozszerzyły się nasze kontakty towarzyskie. Dotąd stykaliśmy się tylko z naszymi przyjaciółmi, teraz, jeśli nawet przelotnie, znaliśmy całą okolicę. Emerenc wyprowadzała psa rano, w porze obiadowej i wieczorem, ale czasami zdarzało się, że z powodu jakiejś dodatkowej roboty nie mogła z nim wyjść w południe i wtedy spadało to na nas. Na spacer szedł mąż lub szłam ja, zawsze tam, gdzie prowadził Viola. Najpierw na ogół smycz ciągnęła nas do mieszkania Emerenc: Violę zawsze trzeba było wpuścić przez furtkę, by sam się przekonał, że Emerenc naprawdę nie schowała się w mieszkaniu, ale jego nos szybko odkrywał, że go nie oszukała, nie ma jej rzeczywiście, i wtedy mogliśmy prowadzić go dalej. Zdarzało się, że jednak była u siebie, tylko miała jakąś robotę, przy której niepotrzebna jej była asysta Violi, wtedy zawstydzeni musieliśmy czekać na zewnątrz z psem, dopóki na jego skowyt i drapanie Emerenc nie ukazała się w drzwiach, przeklinając: bo wyprasza to sobie, nie będzie jej przeszkadzał. Czasami nie tylko od niej oberwał, ale i zostawał pouczony jak natrętny gość, krzyczała na niego, żeby do niej nie ciągnął, już się rano spotkali i wieczorem znów się zobaczą, innym razem klepała go po karku, kazała odstawiać cały program, wtykała w pysk coś słodkiego i dopiero wtedy wyganiała go na ulicę. Kiedy jej nie zastawaliśmy, musieliśmy ją odnaleźć przed którymś z domów i wtedy ta sama ceremonia odgrywała się pod gołym niebem z tą różnicą, że Emerenc kazała Violi kilkakrotnie odgrywać cały repertuar, a my, mimo woli i niechętnie, stawaliśmy się ośrodkiem zainteresowania, poznając w ten sposób mnóstwo sąsiadów, z którymi inaczej nigdy nie nawiązalibyśmy kontaktów. Jeśli u Emerenc byli akurat goście - oczywiście tylko przy dobrej pogodzie i w takich porach roku, kiedy można było siedzieć na ławkach wystawionych

przed drzwi mieszkania - Viola na rozkaz odnajdywał swój talerz i rondel na wodę, które Emerenc zawsze chowała w innym miejscu, a goście z podziwem patrzyli na jego sztuczki. Często zamyślałam się nad tym, z jaką rezygnacją wszyscy ci ludzie przyjmują do wiadomości, że proponuje się im miejsce tylko przed drzwiami wytyczonego przez starą kobietę Zakazanego Miasta, choć liczą się jako bliscy znajomi, a nawet przyjaciele. Syn brata Józszego to na dodatek krewniak, ale i jego obowiązuje prawo zamkniętych drzwi.

Miejscem dozwolonym na składanie wizyt była duża, wyłożona cegłą sień, skąd wchodziło się do spiżarni, łazienki z natryskiem oraz komórki, i na pewno Zakazane Miasto też było nie byle jakie, musiała je ładnie urządzić meblami po rodzinie Grossmannów. Sień była zawsze czysta, stara kobieta codziennie dwukrotnie zmywała ceglana posadzkę i dopóki pozwalała na to pogoda, pełniła obowiązki pani domu przy ustawionym tam stole, gdy trafiła się jej godzina czy dwie wolnego czasu. Stół stał między dwiema ławkami, idąc ulicą lub spoglądając przez okno naszego domu, często widywałam Emerenc podającą kawę czy herbatę gościom należącym do różnych kategorii wiekowych i społecznych. Napępiała pięknie w kształcie filiżanki tak płynnym i pewnym ruchem, jakby robiła to już mnóstwo razy i nie od byle kogo nauczyła się zachowania przy stole. Byłam kiedyś na premierze Shawa, Annę w Człowieku i nadczłowieku kreowała słynna aktorka. Podczas całego spektaklu zastanawiałam się, kogo mi przypomina piękna, młoda artystka w scenie z herbatą, dopiero potem zrozumiałam, że Emerenc wydającą przyjęcie pod drzwiami zakazanego terytorium.

Niegdyś w naszej okolicy mieszkało wiele znanych osobistości i wówczas po ulicach często przechadzali się policjanci, potem politycy wyprowadzili się, inni poumierali i w miarę jak ich ubywało, ubywało także patroli. Kiedy nastąpiła

u nas Emerenc, już tylko jeden mundur regularnie ukazywał się na naszej ulicy: podpułkownik. Długo nie rozumiałam, jakie ich łączą stosunki i dlaczego temu oficerowi o miłej aparycji nie przeszkadza zakaz wstępu, później dowiedziałam się, że był wewnątrz i zna mieszkanie. Poza oskarżeniem o trucie gołębi i profanację grobu policja otrzymywała też donosy zawierające oszczerstwa o takim ładunku politycznym, że przynajmniej raz musiała sprawdzić, co to jest to coś tajemniczego i cennego, co trzeba ukrywać, czego nie może ujrzyć oko ludzkie. Podpułkownik, który wtedy był jeszcze podporucznikiem, w asyście policjanta z psem sumiennie obejrzał - niechętnie, ale jednak otwarte - mieszkanie, ale znaleźli tam tylko wypasionego, trzeciego już kota Emerenc, który na widok psa natychmiast czmychnął na kuchenny kredens. Nie było ani tajnego nadajnika, ani zbiegłego więźnia, ani zrabowanych przedmiotów, tylko olśniewająco czysta kuchnia z niszą jadalną, pokój z przepięknymi meblami w pokrowcach, w którym najwyraźniej nikt nie mieszkał, bo nie trzymano tam żadnych osobistych rzeczy. Przyjaźń między podporucznikiem a kobietą zaczęła się właściwie od kłótni, bo kiedy już Emerenc zamknęła z powrotem swoje drzwi, rozwrzeszczała się, czy jest takie prawo, które nakazuje jej wpuszczać każdego, kto zadzwoni, i dlaczego musi otwierać drzwi każdemu przybłądzie, lepiej niech poszukają tego zbrojaka, który ją zadenuncjował, bo to jednak hańba, że to właśnie ją stale uszczęśliwia policja. Nachodzą ją a to w sprawie zdechłego gołębia, a to martwego kota, a to szukają broni, to znów siedliska zarazy, ma już policji powyżej uszu, dość tego!

Kiedy policjanci znaleźli się w defensywie, podporucznik użył całej swej elokwencji, by ją uciszyć, ponieważ głos Emerenc stawał się coraz donośniejszy, krzyczała, że lokalni politycy mieli broń i z nudów strzelali do wron, ale tych to policja strzegła, za to do niej przychodzą z psem węszyć, żeby

ich szlag! Ich, nie tego nieszczęsnego psa, on nie winien, że wykorzystują go do niecznych celów, na niego się nie gniewa, tylko na podporucznika. Gorzki puchar kompromitacji władzy wypełniał się dalej: pies policyjny, odkomenderowany tu w celu odszukania zakopanego ponownie w ogrodzie martwego kota lub odkrycia innych rzeczy stanowiących dowód przestępstwa, wbrew poleceniom przyswojonym na szkoleniu pozwolił Emerenc pogłaskać się po łbie, dygocząc, merdał ogonem i ukoronował skandal tym, że zamiast wykonywać zadanie, mętym, zakochanym wzrokiem wpatrywał się w Emerenc, a jego skowyt mówił wyraźnie, że przeprasza wszystkich swoich zwierzchników, ale nic na to nie poradzi, bo jakaś potężniejsza od wszystkich innych siła ciągnie go do nóg tej obcej kobiety. Podporucznik roześmiał się, ponura twarz Emerenc zaczęła się z wolna rozpogadzać i kobieta przestała krzyczeć, jakoś tak zwrócili na siebie po raz pierwszy uwagę, oficer policji nie był chyba jeszcze w takim domu, gdzie by się go tak zupełnie nie bano, a Emerenc po raz pierwszy dostrzegła humor i pogodę w urzędowej osobie. Zapamiętali się nawzajem. Policjanci przeprosili i odeszli, oficer później wrócił z żoną. Ich piękna przyjaźń przetrwała nawet wtedy, gdy młoda kobieta niespodziewanie zmarła. Podpułkownik powiedział mi później, że to Emerenc wydobyła go ze stanu krytycznego.

Odkąd godziny biegnęły w układzie współrzędnych Violi i Emerenc, zaczynałam z wolna wątpić w słuszność moich podejrzeń wzbudzonych za sprawą wazy i kielicha. W końcu, skoro podpułkownik regularnie odwiedza Emerenc i w swoim czasie osobiście sprawdził, co znajduje się w jej mieszkaniu, to na pewno sprawdził też, w jaki sposób weszła w posiadanie tego, co ma, i jeśli nie miał jej nic do zarzucenia, to całkiem możliwe, że się pomyliłam i że Grossmannowie naprawdę zostawili jej swoje rzeczy, bo coś dla nich zrobiła, przecież w



tamtych czasach bywały tak specyficzne formy pomocy. Liczba naszych znajomych, nawiasem mówiąc, rosła nadal. I Viola, i Emerenc nawiązywali kontakty z coraz szerszym kręgiem ludzi, którzy później nam też zaczęli się kłaniać, coraz częściej zatrzymywały się, żeby ze mną pogadać, stałe przyjaciółki Emerenc: Sutu z budki z owocami, prasowaczka Polett i Adelka, wdowa po laborancie. Pewnego letniego popołudnia, kiedy siedziały we cztery przy kawie i jakichś smakowicie pachnących ciastkach, Emerenc mnie zaprosiła: niechże usiądę z nimi przy stole. Byłam z Violą na spacerze, nie chciałam obrazić Emerenc i jej towarzystwa, zresztą kwestię rozstrzygnął pies, bo zaciągnął mnie siłą i zaczął żebrać przy stole. A potem, kiedy postanowiłam, że już pójdę, w ogóle nie chciał wracać do domu i to mnie rozgniewało. Wieczorem, kiedy Emerenc przyszła po psa, żeby go jeszcze wypacerować przed spaniem, zapytałam, czy nie chciałaby go sobie zatrzymać na zawsze, przecież my początkowo chcieliśmy mu dać tylko przejściowe schronienie, nie dom, więc niech go sobie weźmie, przynajmniej nie będzie musiała zamykać drzwi na klucz, bo Viola tylko na rozkaz wypuszcza ludzi, którzy już weszli do środka.

Kiedy to mówiłam, Emerenc gładziła psi kark z taką czułością i miłością, jakby pieściła kwiat lub niemowlę, i kręciła przy tym głową: niemożliwe. Gdyby mogła, już dawno wzięłaby sobie psa, ale ona w myśl podpisanej umowy może trzymać zwierzę tylko w mieszkaniu, kury i gęsi zaś jedynie czasowo, dopóki nie trafią na stół, poza tym prawie nigdy nie ma jej w domu, a psu trzeba swobody, ruchu, ogrodu, ona nie jest sadystką, żeby męczyć zwierzęta, nawet kot z trudem znosi niewolę, a co dopiero taki pies jak Viola, ciekawy, potrzebujący towarzystwa, wszędzie pchający nos. Ten pies nie urodził się na niewolnika, jeśli nawet z grzeczności pilnuje mieszkania, a zresztą starzy ludzie nie powinni brać psów, bo

prędzej czy później mogą je osierocić i co potem, ktoś wyrzuci takiego psa i biedak będzie się błakał po mieście. Ale, jeśli mi przykro, że Viola ją też kocha, to już ona załatwi, żeby to się zmieniło, nie tylko człowieka można do siebie zniechęcić, psa również. Odniosłam wrażenie, że uchyla się przed odpowiedzialnością, czyli że miałam rację, gniewając się na nią, bo skoro go nie chce, po co go w sobie rozkochała. Później, znacznie później zrozumiałam, kiedy w końcu przyszła kolej na to, bym zinwentaryzowała zwiastuny odchodzenia Emerenc, że właściwie nigdy nikt nie liczył się z jej śmiercią, ja sama też myślałam, że zostanie z nami, dopóki nie pomrzemy, że zawsze odrodzi się z wiosną wraz z przyrodą, a jej opór dotyczy nie tylko wstępu do zamkniętego mieszkania, lecz jest oporem wobec wszystkiego, także przemijania. Wtedy sądziłam, że nie mówi prawdy, i z powodu własnej porażki ukarałam Violę, wyrzuciłam go z pokoju, gdzie stał telewizor. Pies był zakochany w ekranie, gdy grano w piłkę, kręcił głową w prawo i w lewo, nasłuchiwał ptasich głosów, wszystkich szmerów w filmach przyrodniczych, rozpoznawał jakieś takie doznania, których nawet nie przeżył, przecież nikt nigdy nie zaprowadził go nawet na Górę Janosa. Po tygodniu zawstydziałam się, nie mogę karać go za coś, co nie od niego zależy, a gdyby nawet zależało, i tak nie miałabym prawa. Przyjęłam do wiadomości, że stara kobieta i pies tworzą całość, ja rano jestem zbyt śpiąca, w ciągu dnia zbyt zapracowana, wieczorem zbyt wykończona, by się nim zajmować lub systematycznie wyprowadzać go na spacer, mój mąż często choruje, wyjeżdżamy też w długie podróże zagraniczne. Viola jest zdany na Emerenc, a skoro już tak jest, musimy się pogodzić z tym, że praktycznie należy do niej.

Zamyśliłam się też nad tym, dlaczego teraz, po raz pierwszy, odkąd się znałyśmy, zrobiła aluzję do swego wieku.

Emerenc podnosiła nieprawdopodobne ciężary, wbiegała na piętro z najcięższą paczką czy walizką, była silna jak mitologiczni herosi i nigdy nie wspominała, ile właściwie ma lat. Wnioskowaliśmy o jej wieku tylko na podstawie tego, co sama o sobie opowiadała: że miała trzy lata, kiedy umarł jej ojciec, a dziewięć, kiedy powołano ojczyma, który zaraz też poległ w czternastym roku. Skoro w czternastym roku miała dziewięć lat, to urodziła się w piątym i jest straszliwie, potwornie stara, więc to logiczne, że przychodzi jej na myśl, co będzie, gdy kiedyś ostatecznie padnie z nóg. Nawiasem mówiąc, wszyscy inni, którym nie podała do wiadomości tych poufnych danych, mogli się tylko domyślać wieku Emerenc, pochować też można ją było tylko dzięki wstawiennictwu podpułkownika, w ów niezapomniany dzień gniewu: bo w wyszarpniętych przed dezynfekcją szufladach nie znaleziono żadnego dokumentu dotyczącego jej osoby, zapewne staruszka była jedyną obywatelką, która idealnie wykluczyła władzę ze swojego życia. Podpułkownik na początku widywał jeszcze u niej papiery, przeglądał nawet jej dawną książeczkę służby, na podstawie której wystawiono jej swojego czasu dowód osobisty, później z jakichś nieodgadzionych przyczyn musiała wszystko zniszczyć, bo nie zachował się ani jeden dokument. Emerenc nienawidziła paszportów, legitymacji, biletów miesięcznych i niezdarnymi literami wpisała do książki meldunkowej, którą sama prowadziła - przy selekcjonowaniu jej rzeczy również i ją musieliśmy zniszczyć - tę nedorzecznosc, że urodziła się w Segesvarze 15 marca 1848 roku (Data wybuchu rewolucji węgierskiej - powstania przeciw Habsburgom; rocznica tego wydarzenia stała się później świętem narodowym.), i ten wpis był tak frywolny jak prztyczek w nos: typowa zemsta Emerenc za ciekawskie pytanie. Jej drobne zemsty były złośliwe i zróżnicowane.

Sutu była podlotkiem, kiedy Emerenc sprowadziła się na tę ulicę, później Sutu twierdziła, że niedługo przed wybuchem wojny i po wojnie nie można było bez dokumentów objąć posady dozorczy ani nawet się zameldować, Emerenc zaś wprowadziła się ze swymi przepięknymi meblami do domu, a w owym mieszkaniu umieścił ją sam właściciel, zanim jeszcze wyjechał na Zachód, a więc to pewne, że wtedy jeszcze oboje mieli dokumenty, ona i jej przyjaciel, przez którego Emerenc już wtedy zaczęła zamykać drzwi. Niesympatyczny był ten przyjaciel, ona zaś nikogo nie wpuszczała do domu, tak się o niego bała, ale kto by go tam zechciał, przecież nie był zdrowy, miał papier, że jest od wszystkiego zwolniony, nawet rzadko wychodził na ulicę, nie nadawał się ani do wojska, ani do pracy, same gnaty, jak mówiła Emerenc. Zawsze takich sobie znajdowała, zarówno wśród zwierząt, jak i ludzi, szukała tylko tych najbiedniejszych. Pewnie właśnie dlatego opiekowała się także panem Szłoką, aż do jego śmierci, bo on też nie był pełnosprawnym człowiekiem, a na dodatek zupełnie samotnym.

W opowieści Sutu było tak wiele niejasności, że kazałam jej dwa razy powtarzać, zanim zrozumiałam: znaczy, że Emerenc przed oblężeniem i później z kimś żyła. Zatem na początku miała nie tylko kota, lecz także sublokatora czy kogoś w tym rodzaju, i że w sferze jej przyciągania znajdował się również niejaki pan Szłoka, który - kompletnie opuszczony - nie był w stanie ani uciekać, ani zadbać o siebie, bo był tak chory na serce, że nie mógł się nawet podjąć dyżuru w ochronie przeciwlotniczej, i który pewnego dnia w najbardziej niestosownym momencie zmarł. Były niespokojne czasy, zaczęło się oblężenie, Emerenc daremnie biegała od Annasza do Kajfasza, żeby zabrali i pochowali ciało, nadchodziły też święta, nikt więc na nic nie zważał i skończyło się na tym, że sami musieli się pozbyć trupa. Emerenc w zamian za rower

pana Szloki zgodziła się zakopać zwłoki w ogrodzie, a rower potem przepadł, prawdopodobnie zabrał go jej przyjaciel, bo i on sobie poszedł, ale gdzie, tego już Sutu nie wie. Emerenc zakopła pana Szlokę w ogrodzie i obracał się tam w proch, dopóki wczesnym latem czterdziestego szóstego roku nie został ekshumowany przez radę miasta. Przez ten czas wciąż zmieniali się w domu lokatorzy wszelkich narodowości, Emerenc prała dla Niemców i prała też dla Rosjan. Potem świat się unormował i znów żyli w pokoju. Właściwie donosy na Emerenc zaczęły się nie od oskarżeń o rzekome trucie gołębi i politykę, lecz o profanację grobu, kiedy Emerenc pochowała powieszzonego kota w grobie pana Szloki. Ale gdy wyjaśniła podporucznikowi, że ten kot był jedyną jej rodziną, podporucznik oświadczył, co myśli o takich lokatorach, którzy podobnymi bzdurami przysparzają policji roboty i że już on ich pogoni do pracy społecznej, niech pomogą sprzątać na Vermezo, bo tam gnije co najmniej tyle koni co ludzi, niech więc poukładają osobno, co tam po kim zostało, a potem niech ludzi pogrzebią w święconej ziemi, a zwierzęta gdzie się da. Nie mają innych problemów, kiedy kraj zaczyna się dopiero dźwigać po wojnie? Aż zazdrość bierze! A jeśli w dalszym ciągu będą rozgrzebywać tę historię z kotem, to on też zacznie śledzić tego śmiecia, który jak faszystowski oprawca wiesza na kłamce kota Emerenc Szeredas, zamiast, skoro go już tak nie cierpi, porozmawiać z właścicielką. Jest prawo na dręczycieli zwierząt.

Pewnego dnia Emerenc nie przyszła wyprowadzić psa, i choć nic nie motywowało jej nieobecności, nie widziałam jej cały dzień. Była jesień, daleko jeszcze do śniegu, ale ona się nie zjawiała, padał deszcz, łagodny i raczej ciepły, wyszłam więc z psem. Viola próbował rano odnaleźć ją w domu, ale jego wrażliwy nos zdradził mu, że nie ma jej za zamkniętymi drzwiami. Wówczas obeszlśmy kolejno znajome posesje, pies

zaprowadził mnie nawet na rynek i jego zrezygnowany chód sygnalizował, że nie ma jej w pobliżu, może nawet w dzielnicy, w żadnym takim miejscu, które Viola zna. W domu pies siedział skulony, a ja sprzątałam i wciąż dźwięczał dzwonek u drzwi, bo gdy Emerenc nie zjawiała się w swych rozlicznych miejscach pracy, wszyscy szukali jej u nas, znajomi pytali przestraszeni, co się stało, że Emerenc nie odmiotła liści z chodnika, przed bramą nie ma śmietnika, nie przyszła z wypraną bielizną, poprzedniego wieczoru nie zajęła się dzieckiem, nie zrobiła zakupów. Wciąż tylko otwierałam drzwi zainteresowanym i zamykałam je za nimi. Viola ujadął, szczyrzył zęby, nie zjadł obiadu, czekał.

## Lustro z Murano

Emerenc zjawiała się późnym wieczorem, zabrała na spacer psa wydającego z radości nieprawdopodobne dźwięki, a potem zastukała do mnie i poprosiła, bym do niej przyszła, bo chciałyby ze mną coś omówić i niepotrzebny jej do tego świadek w osobie gospodarza. U nas też mogłybyśmy się zamknąć w którymś z pokoi, ale upierała się, bym jej towarzyszyła, poszliśmy więc w trójkę, ona, ja i Viola, który tańczył przed nami, o tej porze nie prowadziło się go już na smyczy, nie było obawy, że spotka się i pogryzie z innymi psami. W sieni Emerenc wskazała mi miejsce przy nakrytym nylonowym obrusem nieskazitelnie czystym stole, więc usiadłam. Tu zawsze atakował nas gęsty, ciężki zapach, mdląca mieszanina chloru, środków czyszczących i jakiegoś odświeżacza powietrza, dom, nawiasem mówiąc, już milczał i nie świeciło się w żadnym oknie. Za dnia nie zwracało się na to uwagi, ale teraz, kiedy tylko my troje byliśmy w sieni i była głęboka noc, jeśli nawet nie godzina duchów, nagle i ja zaczęłam wyczuwać coś z obecności tego, co znajdowało się w mieszkaniu Emerenc. W wielkiej ciszy rozległ się szelest, miękki szmer, Viola usiadł przy drzwiach i zaczął wzdychać; to był taki specyficzny sygnał Violi oznaczający, że chce gdzieś wejść, odgłos podobny najbardziej do ludzkiego jęku lub głębokiego, bolesnego oddechu. Był pod każdym względem nadzwyczajny wieczór, nie przyjemny czy harmonijny, raczej zapowiadający kłopoty, w normalnych okolicznościach rzadko zastanawiałam się nad tym, ale czasami mnie też przychodziło na myśl, że prawie nic nie wiem o Emerenc, właściwie znam tylko jej bziki i jej okrągłe, wymijające odpowiedzi.

- W najbliższych dniach będę miała gościa - zaczęła. Taki jest ludzki głos po narkozie, tak samo rozwlekły i nieprawdziwy, gdy umysł na siłę próbuje podeprzeć

potykającą się świadomość. - Wie pani, że nikogo nie wpuszczam do mieszkania, ale nie mogę posadzić tej osoby, która mnie odwiedzi, w sieni. To wykluczone.

Doświadczenie nauczyło mnie, żeby jej nigdy o nic nie wypytywać, bo się spłoszy i powie jeszcze mniej. Skoro spodziewa się takiego gościa, którego nie może przyjąć pod drzwiami, a nie może go wprowadzić do mieszkania, znaczy, że to nie byle kto, może przyjdzie do niej z wizytą spalone na węgiel jasnowłose rodzeństwo, którego pewnie nigdy nie było i stanowi tylko element ballady, a może sam Pan Bóg, w którego Emerenc nie wierzy, bo zamiast ciepłych rzeczy dał jej balową suknię. Ten ktoś musi mieć wyższą pozycję niż syn brata Józsiego i podpułkownik, bo ci przyjmowani są tutaj.

- Pozwoli pani, żebym porozmawiała z moim gościem u pani? Inni rozplotkują, pani nie. Udamy, że to pani gość. Gospodarz pracuje tego dnia po południu i jak go pani poprosi, zgodzi się na wszystko. Zrobi to pani? Pani wie, że się odwdzięczę.

- Chce pani przyjąć swojego gościa u nas? - spojrzałam na nią. To było zbyteczne pytanie, Emerenc mówiła wyraźnie, z doskonałą precyzją. Jasne, że tego chce.

- Musi się pani tylko zgodzić, by ten ktoś pomyślał, że u was mieszkam. Wszystko przyniosę, filiżanki, kawę, napoje, więc nic pani nie musi dawać, tylko miejsce. Proszę powiedzieć: tak. Odpracuję. Zanim gospodarz wieczorem wróci, już nas nie będzie. W środę o czwartej. Mogę?

Viola wzdychał na progu, na dworze siąpił łagodny deszcz. Wtedy już stosunki polityczne od dawna były unormowane i gość Emerenc mógł sobie być nawet prezydentem Republiki Francuskiej, a i tak nie spowodowałoby to komplikacji. Powód, dla którego nie mogła przyjąć go tutaj, tylko o jeden ton pogłębiał mrok, który i tak spowijał Emerenc niczym wielka chusta. Wzruszyłam



ramionami: niech ten ktoś przyjdzie, mam nadzieję, że nie muszę asystować przy wizycie, skoro już chce, bym została w domu. W drodze powrotnej zastanawiałam się, jak mam to wszystko wytłumaczyć mężowi, który jeśli naprawdę czegoś nienawidził, to niejasnych spraw, wszystkiego co niepewne, niewyjaśnione, ale zamiast zaprotestować, śmiał się, dla niego też było w tej sprawie coś groteskowego, co poruszyło jego pisarską wyobraźnię. Emerenc i jej gość, którego chce tu przyjąć. Może zamierza wyjść za mąż, może ten obcy przychodzi z jakiegoś ogłoszenia matrymonialnego i Emerenc, która nigdy nie otwiera drzwi swojego mieszkania, chce go tu u nas obejrzeć? Niech przyjdzie! On sam niemal żałuje, że nie będzie go w domu. Spokojnie zostawi nas z tym obcym, bo Viola zeżre każdego, kto zechciałby nas skrzywdzić. Na dźwięk swojego imienia pies polizał go po rękę, potem przewrócił się na grzbiet i nadstawił brzuch: drapmy go. To było zupełnie niewiarygodne, że Viola tak wszystko rozumie.

W oznaczonym dniu Emerenc była niczym mogąca w każdej chwili wybuchnąć furia, a Viola, który zarażał się każdym nastrojem, też nie był sobą. Emerenc przyniosła na przykrytej tacy różne talerze i półmiski, na co się wściekłam i zapytałam, po co taszczy przez ulicę swoje rzeczy, skoro ten bankiet ma być taką tajemnicą, nie jest trędowata, zapewne jej gość także nie, by nie mogli jeść z naszej porcelany i naszymi widelcami, tam jest kredens, niech weźmie, co jej potrzeba, może nawet nakryć odświętnym serwisem i srebrem mojej matki, czy ona myśli, że ja jej żałuję? Nie podziękowała, ale zakonotowała to sobie w pamięci, nigdy nie zapomniała żadnego gestu, ani przyjaznego, ani wrogiego. Odparła, że nie w tym rzecz, by chciała robić jakieś tajemnice, tylko nie ma ochoty, aby jej gość zobaczył, że żyje samotnie, bez rodziny, i nie ma też zamiaru się tłumaczyć, dlaczego nie otwiera drzwi lub dlaczego mieszka tak, jak mieszka.

Gdy nakrywała do stołu w pokoju mojej matki, poczułam, że nadeszła pora, żebym zwróciła jej na coś uwagę, szykowałam się na to już od dawna. Układała zimne mięsiwo, sałatkę - nakrywać też umiała wprost zadziwiająco - a ja spytałam, czy nigdy nie przyszło jej na myśl, aby porozmawiać z kimś ze służby zdrowia o tej doprawdy osobliwej manii zamykania się przed światem. To zahamowanie na pewno ma jakąś medyczną nazwę i dałoby się uleczyć. „Lekarze? - Emerenc spojrzała na mnie, przecierając kieliszki do szampana na wysokich nóżkach, używane tylko w największe święta. - Nie jestem chora i nikomu nie szkodzę tym, że żyję tak, jak żyję, zresztą pani wie, że nie cierpię lekarzy. Proszę mi dać spokój, nie lubię, jak mnie pani poucza. Jeśli o coś proszę, a pani daje, proszę to robić bez gadania, inaczej na próżno pani daje”.

Zostawiłam ją, weszłam do sypialni i nastawiłam jakąś płytę, żeby nie słyszeć, czego nie widzę. Wtedy miałam już całkiem dość gościa Emerenc. Jeszcze kiedyś sprowadzi na nas prawdziwe nieszczęście, przecież to autentyczna wariatka. Kogo ona chce wprowadzić do mieszkania? Gdybym nie wiedziała, że jest pies, pewnie bym się bała. I po diabła jej kieliszki do szampana na tym zakamuflowanym spotkaniu! Nie lubiłam nawet własnych tajemnic, a co dopiero cudzych.

Płynąca z płyty muzyka odgrodziła mnie od wszystkiego, dwa pokoje dzieliły mnie od pokoju mojej matki, gdzie Emerenc nakrywała stół. Próbowałam czytać, przekartkowałam jakieś pięćdziesiąt stron, kiedy zaczęłam coś podejrzewać. Emerenc powiedziała, że chce mnie poznać ze swoim gościem, ale gdzie ten gość i co robią w takiej ciszy, nawet Viola milczy, czy ten ktoś w ogóle przyszedł? Upłynęła już niemal godzina od zapowiedzianego przez Emerenc terminu, kiedy wreszcie usłyszałam szczenie i pomyślałam, że Emerenc była praktyczna, szykując zimne półmiski, a nie

jakieś smakowite gorące danie, bo przynajmniej gość nie będzie musiał jeść odgrzewanego, I dalej słuchałam muzyki, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Viola, tańczył przy łóżku i całkiem widocznie chciał mi coś wytłumaczyć. To było w najwyższym stopniu dziwne, bo gdyby gość bał się psa, Emerenc odesłałaby go gdziekolwiek, tylko nie do mnie, co oni tam robią, że stara kobieta nie chce Violi? Wkrótce się wyjaśniło, bo w niedługim czasie ukazała się ona sama, jej twarz nie zdradzała niczego, Emerenc potrafiła być jak głuchoniema. Viola już wtedy leżał przy mnie na podwójnym łóżku. Emerenc nawet go nie dostrzegła. Poinformowała mnie, że przyszła nie osoba oczekiwana, tylko zajrzał majster - klepka, do którego zadzwoniono z hotelu, gdzie miał zatrzymać się jej gość, i za jego pośrednictwem zawiadomiono ją, że przyjazd gościa został z przyczyn służbowych w ostatniej chwili odwołany. Gdy podróż znów będzie aktualna, w stosownym czasie gość wyśle zawiadomienie.

Nie zliczyłam moich oficjalnych spotkań, które nie odbyły się z tej przyczyny, że gość w końcu nie przyjechał, nie widziałam więc w tej sprawie nic tragicznego poza tym, że Emerenc niepotrzebnie wydała sporo pieniędzy, ale staruszka wypadła z pokoju jak tajfun, zatrzęsnęła za sobą drzwi i w holu zaczęła tak wrzeszczeć na Violę, który się za nią wyśliznął, że musiałam wstać, żeby zobaczyć, co mu robi, ostatecznie pies nic nie zbroił. Z pokoju mojej matki, gdzie nakryła dla gościa, dał się słyszeć brzęk i po raz pierwszy w życiu przeraziłam się słownictwa Emerenc, z jej ust płynął potok przekleństw i ordynarnych wyzwisk. Otworzyłam drzwi i stanęłam jak wryta. Wcale nie biła psa, przekleństwa musiały dotyczyć kogo innego, Viola siedział przy stole na krześle mojej matki i jadł, Emerenc przysunęła mu półmisek, a on wyłapywał z niego plastry mięsa i żarł, łapa oparta na stole

wciąż ślizgała się po zajmującym środek stołu lustrze z Murano, którego ja nie używałam jeszcze nigdy, nawet w największe święto. Pośrodku leżącego lustra chwiało się na wszystkie strony srebrny pięcioramienny świecznik. Czasami Viola wypuszczał z pyska kąsek i sięgał po niego na zatłuszczone lustro. Mam wrażenie, że nigdy w życiu nie byłam tak wściekła.

- Zmiataj, Viola! Jazda na ziemię! Lustro mojej matki, jej porcelana! Co się tu dzieje, Emerenc? Czy pani oszalała?

Ani przedtem, ani potem, aż do chwili jej śmierci, nie widziałam Emerenc płaczącej, wtedy rozplakała się, a ja nie wiedziałam, co począć, bo pies nigdy mnie nie słuchał w krytycznych momentach, dopóki Emerenc nie powtórzyła mu polecenia. Teraz też spokojnie jadł swoją kolację, rozszlochana kobieta stała po drugiej stronie stołu, Viola zerkał na nią na znak współczucia, ale jednak jadł, nie mógł się oprzeć smakołykom. Nie mogę powiedzieć, żeby Emerenc nie nauczyła go zachowania przy stole, można by go pokazywać za pieniądze, jadł bowiem niemal bezbłędnie, trzymał już wtedy na stole obie łapy, prawą i lewą, siedział na krześle jak człowiek, tyle że nie nakładał sobie jedzenia na talerz i zamiast rękami posługiwał się pyskiem. Ten obraz był tak absurdalny i rozdrażnił mnie do tego stopnia, że wprost nie potrafiłam się wysłowić. Mój własny pies nie zwraca uwagi na moje polecenia, siedzi w pokoju mojej matki, przy jej stole, odświętnie nakrytym i suto zastawionym, i pożywia się, niekiedy zezuje na podręczny stolik na kółkach, na którym króluje wielki tort, i całkiem widocznie zastanawia się, jak go stamtąd ściągnąć, a jednocześnie Emerenc szlocha niepoohamowanie. Musiała niemało wydać, półmisek był już wprawdzie w znacznej mierze opróżniony, ale nawet po resztkach było widać, że bardzo tu poważano tego gościa, który się nie zjawił. Czułam, jak narasta we mnie złość, i już

miałam wybuchnąć, kiedy Emerenc otarła nagle wierzchem dłoni twarz i pozlepiane rzęsy, po czym, jakby nie delikatnym przebudzeniem, lecz brutalnym szarpnięciem wyrwano ją z narkozy, rzuciła się na radośnie żrącego psa i zaczęła go okładać, gdzie popadło, trzonkiem dużego widelca. Wymyślała mu w wyszukany sposób, od niewdzięczników, niewiernych, parszywych kłamców, bezlitosnych kapitalistów, Viola skowyczał, zeskoczył z krzesła i położył się na dywanie, by dokonał się na nim okrutny wyrok. Viola nigdy nie uciekał, gdy Emerenc go biła, nigdy też nie próbował się bronić. Człowiekowi czasami śnią się koszmary, sny składające się z nierealnych elementów, takie jak scena, która właśnie się rozgrywała. Viola, skulony, dygotał pod razami, ze strachu nie zdołał już nawet połknąć ostatniego kęska, który wypadł mu z pyska na ulubiony dywan mojej matki. Myślałam, że Emerenc dźgnie go tym wielkim widelcem, wszystko było możliwe w tej minucie. Zaczęłam krzyczeć ze strachu, ale wtedy stara kobieta przykucnęła przy psie, podniosła mu łeb i pocałowała między uszami, a Viola zaskowyczał z ulgi i lizał rękę, która go zbiła.

No nie, to już przesada, niech sobie poszuka innej publiczności dla swych ataków. Obróciłam się na pięcie i powiedziałam, żeby była łaskawa posprzątać w pokoju mojej matki i, jeśli nie wymagam za dużo, niech nas w przyszłości nie wybiera na statystów do epizodów swego osobliwego życia ani naszego domu na scenę. Nie tak górnolotnie, ale coś w tym sensie powiedziałam, mogła to zrozumieć. I zrozumiała. Słyszałam z pokoju, jak się krząta, rzecz jasna, nie wiedziałam, co robi, później okazało się, że słodczyce i szampana włożyła z powrotem do lodówki, wstawiła tam również nietknięty półmisek z pieczonym mięsem, pewnie dla nas, natomiast resztki z półmiska, z którego jadł Viola, wrzuciła do pojemnika, gdzie trzymało się pożywienie dla

niego. Pies teraz ani drgnął, nareszcie panowała wokół mnie cisza, myślałam, że Emerenc już wyszła, ale okazało się, że dopiero ma zamiar, wzięła Violę na smycz, ilekroć coś go zdenerwowało, zawsze zabierała go na dłuższy, nadprogramowy spacer, nawet gdyby z tego powodu musiała przerwać prasowanie czy zagniatanie ciasta. Kiedy do mnie zajrzała, żeby mi powiedzieć, że przejdą się w stronę lasu, była już taka jak zawsze, stała z psem w progu i prosiła o wybaczenie. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś przeproszał z taką godnością, tak zupełnie bez pokory czy skruchy, zawsze potem wydawało mi się, że mnie wykpiła i że to może nie ona, lecz ja popełniłam jakiś błąd. Oczywiście niczego mi nie wyjaśniła i poszli.

Mój mąż machnął ręką, kiedy wieczorem zdałam mu sprawę z popołudnia Emerenc. Dobrze mi tak, usłyszałam, skoro wszystko i wszystkich traktuję poważnie i wciąż uczestniczę w cudzym życiu. Niechby sobie zaprosiła do swego klubu pod drzwiami tego tajemniczego gościa, który jest o tyle ważniejszy od podpułkownika, że można go karmić jedynie w pokoju mojej matki. No i niepotrzebnie gotowała i piekła do upadłego, bo gość nie przyszedł. Mam jej odnieść to, co schowała do naszej lodówki, bo on sobie nie życzy zjadać resztek po niesłownym gościu, nie jest Violą.

Czułam, że ma rację, a zarazem jej nie ma, oczywiście zrobiłam, jak sobie życzył, co mi się zmieściło, położyłam na tacy, żeby odnieść. Ja też byłam na nią wściekła, ale przy tym domyślałam się, że to, co tu zaszło tego popołudnia, było dla Emerenc jednym wielkim koszmarem, słyszałam jej łkanie i w ciągu tych paru godzin, które upłynęły od jej wyjścia, na tyle otrzeźwiałam, że zaczęłam podejrzewać: problem jest zbyt poważny, żeby warto było pielegnować nasze urazy. Obraz z pożywiającym się Violą może tylko pozornie był tak idylliczny i ucztą Emerenc wyrażała inne mitologiczne

uczucie: nie wyglądali oni tam, przy stole, jak nagrodzony dzielny pies i jego pani, lecz jak dwie postacie greckiego mitu na jakiejś straszliwej biesiadzie, a mięso, które pożerał pies, może tylko pozornie było prawdziwą pieczenią, może było nie tylko pożywieniem, lecz sumą niewidocznych włókien i ścięgien, jakąś ofiarą z człowieka, jakby Emerenc karmiła psa swymi wspomnieniami, dobrą wolą i tym kimś, kto nie zjawił się tego popołudnia i zranił w niej to coś najważniejszego, o czym nikomu nie mówiła. Viola był łatwowiernym Jazonem, zaś pod chustką Emerenc - Medei żarzyły się głównie piekiel. Nie cieszyłam się z tego, że mam jej odnieść jedzenie, ani z tego, że potraktowała nas resztkami. Ja też pochodzę z prowincji, zachowałam prowincjonalną drażliwość, wiedziałam więc, że ją urażę, ale jaśniej nie mogłam jej dać do zrozumienia, że tym razem przekroczyła wszelkie granice. Taca była ciężka, ledwie zdołałam otworzyć bramę, trzymając ją, a ludzie przyglądali mi się, kiedy ją niosłam przez ulicę. Nigdzie nie było widać Emerenc, ale teraz wyjątkowo zza zamkniętych drzwi słychać było ruch, a nawet jej głos, pewnie rozmawiała z kotem, przecież Violi też zawsze coś tłumaczyła. Zawołałam do niej, że niestety nie mogę przyjąć świątecznej uczy, odnoszę więc tacę i stawiam na stole, niech po nią później wyjdzie. Wtedy jednak przecisnęła się przez ledwie uchylone drzwi, które uniemożliwiały kotu wyjście, a przybyszowi zajrzenie do mieszkania, była już ubrana jak zawsze, nie odświętnie. Nie powiedziała ani słowa, z małej komórki używanej jako graciarnia wyniosła wielki garnek, zgarnęła do niego wszystko razem, mięso z tortem i sałatką, potem zabrała garnek do łazienki i słyszałam, jak wrzuca jedzenie łyżką do muszli i spuszcza wodę. Viola szalał, ale nic mu nie dała, nie pozwoliła mu się nawet zbliżyć, jakby go nie znała, zamierzyła się nawet na niego nogą. Wtedy znów zlekłam się Emerenc, przestraszona ścisnęłam smycz Violi, a

przecież wiedziałam, że gdyby rzuciła się na mnie w jakimś niespodziewanym ataku nerwowym, pies nie broniłby mnie, lecz jej. Emerenc poradziła sobie również z trunkami, chwyciła butelki za szyjki i ciskała nimi w futrynę drzwi, szampan strzelał, pies zaczął wyć ze strachu, Emerenc zaś wrzuciła szkło do śmieci, zmyła winem i szampanem sień, gdzie cuchnęło teraz jak w knajpie. Sutu, Adelka i Polett, które wiatr przywiał właśnie w tym momencie, zabrały się z powrotem, kiedy nas zobaczyły, nie stanowiłyśmy towarzystwa budzącego zaufanie. Emerenc w milczeniu, jak automat, zmywała z posadzki alkohol, pies wył, ja zaś stałam jak słup. Lepiej było znaleźć się od nas jak najdalej, pospiesznie więc odeszły.

Wtedy byłam już pewna, że po południu, przy stole mojej matki, popełniono morderstwo: Emerenc, rozprawiając się z jedzeniem, rozprawiała się również z gościem. Nawiasem mówiąc, parę lat później poznałam ofiarę: piękna, smukła, młoda kobieta, brnęła przy mnie w zaduszkowym tłumie, nie mogła sobie wybrać mniej stosownego dnia na załatwianie swych spraw zawodowych w Budapeszcie czy na odwiedzenie cmentarza, ale radziła już sobie z trudniejszymi przedsięwzięciami niż odszukanie miejsca spoczynku Emerenc. Złożyła kwiaty na progu baśniowej krypty i nawet nie przyszło jej do głowy - ja za to byłam pewna - że tego samego wieczoru te róże na długich łodygach w celofanowym opakowaniu zostaną skradzione. Żałowała, że nie udało jej się przyjechać, kiedy obiecała, bo przecież wtedy mogłaby jeszcze zobaczyć Emerenc, ale cóż, jest kobietą interesu, odkąd jej ojciec i od zawsze mieszkający za granicą wuj, wycofali się, ona prowadzi fabrykę i właśnie wtedy tak jej się ułożyły europejskie sprawy, że coś, co miała załatwić w Budapeszcie, odsunęło się w czasie i jej przyjazd nie miałby sensu, musiała czekać na kolejną okazję, żeby za jednym



zamachem przeprowadzić rozmowy i odwiedzić Emerenc, w końcu Nowy Jork to kawałek drogi.

Jadła z nami kolację, rzecz jasna, tylko to, co znalazłam w naszej lodówce. Gdzież był odświętny stół Emerenc z przeglądającymi się w lustrze z Murano świecami? Opowiedziałam jej, jak ciężko dotknęła starą kobietę ta niedoszła do skutku wizyta, na co ona zdziwiła się, nie rozumiała, jak można mieć tak bardzo za złe zmianę dat, w interesach zawsze może zdarzyć się coś podobnego. Nawiasem mówiąc, zauważyłam, że już na cmentarzu powiało na nas jakimś wilgotnym, nieprzyjemnym chłodem, jakby staruszka nie chciała od niej przyjąć nawet zapalonej lampki, a kiedy młoda kobieta podeszła do grobu, zerwał się wiatr, krople wody skapywały jej na kark z gałęzi, płomienie ledwie zapalonych świec gasły, jakby Emerenc pełnymi płucami oddmuchiwała je tej kobiecie w twarz. Zresztą wielokrotnie po śmierci odwracała się na nieistniejącej już pięcie i pokazywała figę naszemu poczuciu winy czy próbie zbliżenia: błyskał wtedy ku nam jakiś nieznany dotąd kryształ miliona jej tajemnic.

Najgorsze było to, że gdyby udało im się spotkać, może Emerenc zrozumiałaby i uwierzyła w słowa młodej kobiety, że ta nie chciała jej ani skrzywdzić, ani urazić, że nie zlekceważyła sobie jej gorączkowych przygotowań, tylko musiała pogodzić interesy z możliwościami. Teraz, jako osoba dorosła, dokładnie rekonstruowała uczucia, jakie swego czasu musiało obudzić w Emerenc jej całkowite opuszczenie, a także zdała sobie sprawę, co ma do zawdzięczenia dawnej służącej jej rodzina i oczywiście ona sama. Nie wdając się w ckliwe wspomnienia, spożyła u nas dietetyczną kolację, wyraziła żal, że w końcu jednak nie udało się jej poznać staruszki, zobaczyłaby ją przecież po raz pierwszy, bo Emerenc nie miała dla niej twarzy, w tamtych czasach ona sama była

jeszcze za malutka i niezależnie od miłości, jaką darzyła Emerenc, zapomniała ją. Zastanawiałam się, co też powiedziała by ta miła kobieta, gdyby się dowiedziała, jak to staruszka zabiła ją w swojej wyobraźni, gdy poryw gniewu wywołany odrzuconą, jak się jej wydawało, miłością na kwadrans wytrącił z torów zdrowy rozsądek Emerenc i cisnęła psu pieczeń, to znaczy uratowaną niegdyś, ale obecnie niegodną uczucia, dziewczynkę: niech pies ją zezre.

Ale tamtego wieczoru to wszystko było jeszcze odległe i na razie, po powrocie do domu, czułam tylko, że zrobiłam coś takiego, czego jednak nie należało robić, coś obraźliwego. Nie powinnam była pozwolić Emerenc, by zaprosiła do nas nieznanego gościa, nie wolno mi było asystować przy tym, by przed kimkolwiek stwarzała pozory, że żyje w rodzinie, a nie sama jak palec, i jeszcze pogłębiać mrok jej nieodgadnionych tajemnic, ale skoro już to zrobiłam, nie wolno mi było ciskać jej w twarz tego, czego nawet nie chciała widzieć, co nam podarowała. Co za głupia pycha napada czasami człowieka, może łatwiej byłoby jej przebrnąć przez ten niezrozumiały dla mnie kryzys, gdyby poczuła, że jednak jest jakaś korzyść z jej starań, przecież przygotowała taki posiłek, jaki rzadko się widuje nawet w kuchniach wielkich hoteli. Nie wolno mi było niczego jej oddawać. Ktoś zranił tę starą kobietę, nie wiem, czy miał powód, czy też go nie miał, możliwe nawet, że wszystko ma logiczne i proste wytłumaczenie, tylko Emerenc i ja nie rozumiemy, ona wielu rzeczy nie rozumie, a wiele chwyta w lot, w ciągu sekundy, choć są niepojęte dla innych. Czemu ja też ją uderzyłam? Proszę, jak zabiła Violę, i pies nie miał jej tego za złe, a przecież zwierzę wszystko wie, postrzega zmysłowo, na wiele różnych sposobów. Położyliśmy się, byłam w złym humorze, mój mąż już dawno spał, a ja nie mogłam ani zasnąć, ani się uspokoić. Ubrałam się, Viola w trzecim pokoju przy łóżku

mojej matki natychmiast nastawił uszu, ale nie zaskowyczał, tylko cicho zadrapał w drzwi, jakby nie chciał zwracać uwagi mojego męża. Dobrze, pójdziemy we dwójkę, piesku, prawda, że to dwa kroki, ale nie lubię sama włóczyć się po nocy.

Szliśmy niczym bohaterowie ukochanej lektury mojego dzieciństwa, Eneidy, niczym ojciec szlachetnego młodzieńca w szóstej pieśni eposu. Może to była ta chwila, kiedy coś ostatecznie rozstrzygnęło się w stosunkach między mną i Emerenc, i w jej życiu. *Ibant obscuri sola sub nocte per umbram perque domos Ditis vacuas* („Szli przez noc pustą, mroczni, po omacku / Przez głuche domy Disa, czcze królestwo” - cytata za: P. Vergilius Maro, Eneida, VI księga, przełożył Zygmunt Kubiak, Warszawa: PIW 1987 [przyp. tłum.]). Kroczyliśmy więc w półmroku, Viola i ja, brama była zamknięta, nacisnęłam dzwonek, musiałam czekać, aż Emerenc się pokaże, dawno minęła północ, ale widziałam, że pali się jeszcze lampa w sieni, a Emerenc nie zamyka się na noc, póki jej nie zgasi. I rzeczywiście, wkrótce się ukazała, stałyśmy po dwóch stronach kraty, Viola sapał, wsuwał łapę.

- Gospodarz zachorował? - zapytała. Jej głos był rzeczowy i suchy, taktownie cichy. Dom spał.

- Nie zachorował. Chciałabym wejść.

Wpuściła nas, zamknęła za nami bramę, drzwi mieszkania nawet teraz były starannie zamknięte. Viola położył się na progu, sapnął przez szczelinę do kota. Chciałam powiedzieć coś pięknego, pojednawczego, coś w tym rodzaju, że nie rozumiem, co się stało, czy też dzieje, ale mi przykro, że po południu, kiedy ona z jakiegoś powodu nie panowała nad sobą, nie byłam mądrzejsza, i choć nie wiem, co ją właściwie wzburzyło, współczuję jej. Nic nie przychodziło mi na myśl, ja tylko na papierze wiem, co robić, w życiu z trudem znajduję słowa.

- Jestem głodna - rzekłam wreszcie. - Zostało pani w domu coś do jedzenia?

Słońce nie wygląda tak niespodziewanie, tak wbrew wszelkiej logice, zza ołowianych chmur, kiedy nagle odmienia się pogoda. Uśmiechnęła się i wtedy zdałam sobie sprawę, jak rzadko się uśmiecha. Najpierw zniknęła w umywalni, popłynęła woda, Emerenc nigdy nie dotykała żywności, nie umywszy rąk, potem otworzyła na oścież drzwi spiżarni. Jak się okazało, trzymała tam nie tylko jedzenie, lecz także obrusy. Viola chciał za nią iść, chwyciłam smycz, ale staruszka tylko kazała mu zostać i pies się położył. Wróciła z żółtym adamaszkowym obrusem, przyniosła talerz i nóż oraz jakąś ostro przyprawioną pieczeń, nie z tamtego mięsa, które ułożyła na półmisku dla gościa. Było to wyjątkowo smaczne, jadłam z apetytem. Viola dostał kość. Poczęstowała mnie też winem, nie butelkowym, nalała z gąsiorka, wypłam, choć nie lubię alkoholu, tej nocy jednak musiałam albo iść na całość, albo daremnie tu przysłać. Nie wiedziałam, kogo kreuję przy jej stole, ale zdawałam sobie sprawę, że odgrywam teraz czyjąś rolę, starałam się dobrze wcielić w ową nieznaną osobę, o której wtedy jeszcze nic nie wiedziałam. Obydwe miętosiliśmy uszy Violi, bawiliśmy się jego łapami, potem, kiedy chciałam już iść, Emerenc odprowadziła mnie do domu, jakbym wybierała się piechotą na Kobanyę w kapciach i szlafroku. Rozmawialiśmy tylko o psie, jakby najważniejsze tej nocy było jego zachowanie, jego inteligencja i uroda, żadna z nas nie wspomniała o gościu. Kiedy doszliśmy do naszego domu, Emerenc włożyła mi do ręki smycz, zaczekała, aż wejdem do ogrodu, po czym powoli, wyraźnie, jakby składała przysięgę, szepnęła za mną w tę wergiliąską, realną i nierealną zarazem noc, że nigdy mi tego nie zapomni. Mój mąż nawet się nie obudził, kiedy na powrót położyłam się obok niego, Violę natomiast, którego ten dzień niezwykle

podniecił, ledwie zdołałam zapędzić na miejsce. Wreszcie zasnął i on, nawet nie u mojej matki, lecz na progu łazienki, słyszałam, kiedy wreszcie zmorzył go sen, bo chrapał jak mężczyzna.

## Odgracanie

Mam wrażenie, że to była ta chwila, od której Emerenc już mnie naprawdę kochała, bez zastrzeżeń, niemal ponuro, jakby zdawała sobie sprawę, że miłość to zobowiązanie, uczucie właściwie niebezpieczne i ryzykowne. Tego roku w Dzień Matki pojawiła się nagle wczesnym rankiem w naszej sypialni, mój mąż z trudem budził się po proszkach nasennych, ja ocknąłam się natychmiast i w świeżym blasku napływającym przez otwarte okno tylko patrzyłam na Emerenc, która znów była odświętnie odziana i prowadziła w stronę mojego łóżka Violę na smyczy. Na psi łeb nasadzony był stary czarny kapelusz z wywiniętym rondem i zatkniętą za wstążkę świeżo ściętą różą, obroża zaś opleciona była kwiatami. Odtąd każdego ranka w Dzień Matki przychodziła z psem i w jego imieniu deklamowała następujący wierszyk:

Dzięki z głębi serca, kochani rodzice, Że mnie tak kochacie i tak hołubicie. Za naukę dzięki składam całej szkole, Niech obfitym plonem pokryje się pole.

Wierszyk, który dzieci ze szkoły wydziałowej musiały deklamować na jakiejś uroczystości swemu nauczycielowi parę lat po rewolucji rosyjskiej 1905 roku i parę przed wybuchem pierwszej wojny światowej, rozbrzmiewał co roku nigdy niesłabnącym głosem Emerenc przy naszym łóżku, Viola zawsze próbował się pozbyć Bóg wie gdzie znalezionego kapelusza, ale, rzecz jasna, nie było mu wolno. Co roku staruszka dodawała też na zakończenie: „Jestem mały piesek, za wszystko dziękuję, różę z kapelusza mej pani daruję”. W każdy Dzień Matki miał różę przy kapeluszu. Od tamtej pory ilekroć patrzę na czarny kapelusz o wywiniętym rondzie, pamięć wyświetla mi ich oboje: odświętnie odzianą Emerenc i naszego psa, z wieńcem na karku, uszami wciśniętymi pod rondo. Jest wonny świt, w zamku Sinobrodego podzielono pory dnia (Nawiązanie do symboliki

operzy Beli Bartoka Zamek Sinobrodego.). Emerenc także ma już w przestrzeni swój wieczny czas, do niej należy każdy świt z brzaskiem i parowaniem ogrodowych traw. Mojego męża do tego stopnia drażniła ta ceremonia, że w wigilię Dnia Matki w ogóle się nie kładł, w szlafroku drzemał w fotelu lub szedł spać do pokoju mojej matki i zamykał za sobą drzwi, nie do zniesienia wydawała mu się ta poranna wizyta, kiedy był jeszcze w łóżku, nieubrany. Właściwie wydaje mi się, że nie był też zadowolony z tego, że Emerenc kocha mnie tak bardzo i w tak specyficzny sposób.

Bo Emerenc kochała nie byle jak, lecz w sposób, jakiego mogłaby się nauczyć z nigdy niebranej do ręki Biblii, gdyby ją miała, lub gdyby podczas trzech lat nauki bliżej zapoznano ją z apostołami. Emerenc nie znała słów świętego Pawła, ale posługiwała się nimi. Nie sądzę, aby poza czterema filarami podtrzymującymi moje życie: obojgiem rodziców, mężem i przybranym bratem Agancsosem, ktoś potrafił mnie kochać tak jak ona, bez żadnych warunków i zastrzeżeń. Jej uczucie było najbardziej zbliżone do miłości Violi, to on z takim bolesnym żarem błędził po labiryncie swego świata emocjonalnego, tylko że Viola nie należał do mnie, lecz do niej. Gdziekolwiek pracowała, potrafiła przerwać nagle robotę, bo przychodziło jej na myśl, że mogę czegoś potrzebować, i uspokajała się dopiero wtedy, gdy przekonywała się, że niczego mi nie brak, wtedy znów wybiegała, wieczorami zaś regularnie szykowała mi do jedzenia coś takiego, co, jak wiedziała, chętnie jadam, i zjawiała się także z czymś jeszcze. Przynosiła niespodziewane, niezasłużone i nawet nieumotywowane podarunki. Co jakiś czas odbywało się w dzielnicy odgracanie strychów, Emerenc obchodziła wtedy kolejno ulice i podnosiła wszystkie interesujące lub niezwykle przedmioty, myślała je, doprowadzała do porządku i przemycała do naszego domu.

Nie ogarnęła jeszcze kraju fala nostalgii, kiedy Emerenc zbierała już pewną ręką to, co później okazywało się wartościowe. Pewnego ranka zastałam w naszej bibliotece obraz w uszkodzonej ramie, który z czasem okazał się cenny, jeden lakierowany oficerek, wypchanego sokoła na gałęzi, grzałkę z książecą mitrą, pudełko szminek jakiejś aktorki - to jego ciężką woń poczuliśmy po przebudzeniu. Dzień rozpoczął się krytycznie, Viola wył, musiał być na obchodzie z Emerenc i nawąchał się różności, a po powrocie zamknęto go w pokoju mojej matki, żeby nie przeszkadzał, zanim się wyporządzi, oczyści i umieści tę przeznaczoną na niespodziankę kolekcję, do której należał także ogrodowy krasnal i nieco wyszczerbiony gipsowy piesek. Tego ranka obudził nas właściwie Viola, a scena, do jakiej doszło, spowodowana była faktem, że to nie ja wyszłam pierwsza z sypialni, lecz mój mąż. W pokoju mojej matki ujadał pies, który chciał wyjść, Emerenc z taktem dobrze wychowanej ofiarodawczyni tylko rozlokowała swoje dary i stała się niewidoczna. Mój mąż po wyjściu z sypialni wpadł w szal, w jego własnym pokoju przed książkami stojącymi na ściennych regałach, na dywanie, tuż pod zbiorem angielskich klasyków, szczyrzył w uśmiechu zęby ogrodowy krasnal w towarzystwie lakierowanego oficerka, przed wciśniętym głębiej Ulisesem stała herbowa grzałka przyozdobiona przez Emerenc sztucznym kwiatem, a sokół siedział już na kominku. Uciekłam na dźwięk niemodulowanych słów mego męża, w życiu nie słyszałam go mówiącego tak głośno, nie przypuszczałam nawet, że za jego spokojem kryją się tak szaleńcze pasje. Nie dość, że wykrzyczał, co to człowiek musi po przebudzeniu oglądać we własnym domu, i filozofował, po co człowiek w ogóle żyje, skoro może mu się przytrafić coś takiego, że na dywanie panoszy się ogrodowy krasnal, obok lakierowany kawaleryjski oficerek z ostrogą w kształcie



orlego skrzydła, ale jeszcze w złości biegał od przedmiotu do przedmiotu. To był straszny ranek, nie wiedziałam, co robić, daremnie tłumaczyłam mu, że stara kobieta wypowiada się w sposób, jaki dyktują jej własne upodobania, że on, mój mąż, może mi wierzyć, że wszystko, co tu widzi, przyniosła z miłości, po prostu w taki dziwny sposób wyraża najbardziej zróżnicowane uczucia, a w wyborze kieruje się własnym gustem. Niech więc przestanie biegać, niech nie krzyczy, ja wszystko załatwię, bo aż przykro słuchać. Mąż wypadł z domu i właściwie było mi go żal, bo nigdy jeszcze nie widziałam go tak wzburzonego i bezradnego. Opowiadał mi później, wtedy już zakłopotany i rozbawiony zarazem, że Emerenc zamiatała ulicę i kiedy go pozdrowiła, a on przed nią uciekł, uśmiechnęła się jak do źle wychowanego dziecka, które w tym wieku mogłoby już wiedzieć, że należy się ładnie uklonić, ale skoro tego nie robi, to trudno, trzeba je przyjąć takim, jakie jest, kiedyś zmadrzeje. Emerenc w ogóle traktowała nasze małżeństwo jak zagadkę, w którą nie wiadomo po co się wplątałam, ale skoro już tak się stało, akceptuje to, tak samo jak ja zaakceptowałam fakt, że ona nie otwiera drzwi. Nic się nie poradzi, że gospodarz jest, jaki jest, żaden mężczyzna nie ma dobrze w głowie.

Zresztą tylko jeden spośród darów był przeznaczony dla niego i z początku w ogóle go nie zauważyłam: był to wyciągnięty ze śmieci, oprawny w skórę i naprawdę piękny tomik Torquata Tassa. Szybko schowałam go za książki, ale zupełnie nie wiedziałam, co począć z innymi podarunkami, na przykład z krasnałem, który miał wytarty zielony fartuch, latarkę, a nawet pompon u czapki. Urządziłam naszą kuchnię nader specyficznymi rzeczami odziedziczonymi jeszcze po prababce i było tam naprawdę wszystko: skrzynia na mąkę, przyrząd do robienia makaronu, szpryca do kiszek, wisząca waga, stare odważniki i zabytkowy młynek do kawy firmy

Peugeot, produkującej w tamtych czasach tylko wyposażenie kuchenne. W pustej przestrzeni pod zlewem zmieścił się teraz jeszcze ogrodowy krasnal, przyniosłam też książęce naczynie do grzania wody (na proszek do szorowania), zaś do pudełka po aktorskich szminkach wpakowałam własne akcesoria.

Miałam jeszcze do rozwiązania problem obrazu, oficerka i sokoła. Załatwienie ptaszyska pozostawiłam Violi, wypuszczając go z pokoju mojej matki, jak się okazało, nie na próżno: po paru minutach z sokoła pozostały tylko poszarpane resztki. Psu nie zaszkodził nawet środek konserwujący, ale ptak wyglądał na tak starego, że na pewno nie chroniła go już trucizna, brakowało mu połowy piór, był napoczęty przez jakiegoś gryzonia, drewniana podstawka zaś od razu odpadła. Obraz wyjęłam z ramy, widniała na nim wzburzona młoda kobieta, która - ewidentnie w złych zamiarach - łypała na spienione czarne grzywy oceanu, w tle zaś widać było willę i szpaler cyprysów na górskim zboczu. Powiesiłam płótno po wewnętrznej stronie kuchennych drzwi na szybie z mrożonego szkła, oficerkę zaś postawiłam przy ścianie w przedpokoju. Nie mieliśmy stojaka na parasole, pomyślałam więc, że się nada, był pięknie wyglansowany przez Emerenc. Szalona kobieta przypięta na kuchennych drzwiach, obok zabytkowego młynka do kawy i miliona innych rzeczy, krasnała pod zlewem i wiadra, na którym ogromnymi literami napisano: „Kto męża miłuje, na smalcu gotuje”, a które zdołało niegdyś kuchnię mojej ciotki, robiła takie wrażenie, że ktokolwiek nas odwiedzał, mógł reagować tylko w dwojaki sposób: paraliżowało go zdumienie bądź dostawał ataku śmiechu, bo przecież ściany w kuchni też były nie byle jakie, zamiast tapety pokrywała je cerata w wiewiórki, gęsi i koguty. Przychodzili do nas gromadnie artyści, dla których łagodny obłęd tej kuchni był światem znajomym, moją pozbawioną fantazji rodzinę opisałam już dawno, mogłam się obawiać

jedynie protestu Emerenc: byłoby logiczne, gdyby nie ścierpiała przeobrażenia kuchni i przedpokoju w dom wariatów, ona jednak od początku znajdowała przyjemność w poruszaniu się wśród dekoracji tak specyficznego domowego teatru. Miała skłonność E.T.A. Hoffmanna czy Hauffa do osobliwych przedmiotów, Emerenc lubiła wszystko, co niezwykle, i wielkim wydarzeniem było dla niej to, że kiedy poprosiła mnie o stary manekin po mojej matce, dałam jej go: niosła go do siebie triumfalnie niczym relikwię. Bez żadnej nadziei na rozwiązanie tej zagadki łamałam sobie głowę, po co gromadzi u siebie niepotrzebne przedmioty, skoro i tak nigdy nie otwiera tajemniczych drzwi, ponadto oszołomił mnie zaszczyt, jaki mi wyświadczyła, w ogóle czegokolwiek potrzebując, bo jak już wspomniałam, Emerenc niczego nie przyjmowała. Później, znacznie później, w jednej z najbardziej nierealnych chwil mego istnienia, kiedy snułam się wśród ruin życia Emerenc, pozbawiony twarzy manekin wykonany na kształt wspaniałego ciała mojej matki stał już w ogrodzie na trawniku i zanim polano go benzyną i spalono, zobaczyłam na nim ikonostas Emerenc: byliśmy tam wszyscy, wpięci w płótno, przytwierdzeni do piersi lalki, rodzina Grossmannów, mój mąż, Viola, podpułkownik, bratanek, piekarz, syn adwokata, a także ona sama, młoda Emerenc, promiennie jasnowłosa, w czepeczku i stroju pokojówki, z paromiesięcznym dzieckiem na ręku.

Pociąg Emerenc do osobliwych przedmiotów nie był niczym nowym i tego ranka zaskoczyło mnie raczej to, że teraz zbiera już nie dla siebie, lecz dla mnie. Nie miałam odwagi ani ochoty jej urazić, ale z pieskiem o wyszczerbionym uchu naprawdę nie było co zrobić, stanowił deprymujący widok, był pomyłką poróżnionego ze światem dyletanta. Schowałam go za moździerz, wiedziałam, że gdyby go znalazł mój mąż, cisnąłby go do śmieci, z tym pieskiem to

już jednak przesada. Kiedy przyszła Emerenc, siedziałam już przy maszynie, samotna.

- Widziała pani, co ci marnotrawcy powyrzucali? - zapytała. - Wszystko przyniosłam, ani sztuki nie zostawiłam dla innych. Ucieszyła się pani?

Jakże miałabym się nie ucieszyć, z rzadka trafiał mi się tak harmonijny poranek. Nie odpowiedziałam, waliłam dalej w maszynę, spod rozdrażnionych palców wychodziły nonsensowne embriony zdań. Emerenc obesła kolejno pokoje, sprawdzała, jak rozmieściłam jej dary, zakwestionowała wyniesienie do kuchni krasnala i obrazka, po co ukrywać takie rarytasy, za rozszarpanego sokoła trzepnęła Violę w łeb, a on, biedaczysko, nie mógł się poskarżyć, że to ja położyłam mu przed nosem kuszącego trupka, zresztą uszło mi to niemal płazem, bo Emerenc była zainteresowana głównie tym, gdzie postawiłam pięknego, małego pieska. Powiedziałam jej, że usunęłam go sprzed oczu, bo oglądać się go nie da, na co ona oburzyła się, stanęła przed biurkiem i krzyknęła mi w twarz:

- Więc nawet takiej przyjemności nie ma pani odwagi sobie zrobić, stała się pani niewolnicą? Jak gospodarz nie lubi zwierząt, to już nawet figurka nie może stać, nawet to mu przeszkadza? W czym jest ładniejsza ta paskudna muszla, którą trzyma pani na sekretarzyku i nie wstydzi się do niej wrzucać zaproszeń i wizytówek? Pies nie, a muszla tak? Proszę mi ją zabrać z oczu, bo ją kiedyś rozbiję, brzydzę się jej nawet dotknąć!

Chwyciła stojącego na koralowych nóżkach nautilusa, który przewędrował do mojej matki z konsoli Marii Rickl po likwidacji mieszkania przy ulicy Kismester, z obrzydzeniem wyniosła go wraz z zaproszeniami i wizytówkami do kuchni, postawiła obok puszek na cukier i grysik, a na jego miejscu umieściła psa o wyszczerbionym uchu. To już nie przeszło.

Godziłam się na to, by Emerenc uczestniczyła w moim życiu, ale nie mogła zamiast mnie kształtować mojego otoczenia.

- Emerenc - odezwała się niezwykle poważnie. - Niech pani będzie łaskawa wynieść tego psa na ulicę lub, jeśli go pani żal wyrzucić, proszę go postawić tam, gdzie ja go postawiłam. To jest rzecz jarmarczna, wyszczerbiona, w złym guście, i nie może stać w pokoju, bo nie tylko gospodarz jej nie ścierpi, ale ja też jej nie potrzebuję. To nie jest dzieło sztuki, tylko kicz.

Zwróciła ku mnie świetliste, niebieskie spojrzenie. Pierwszy raz zobaczyłam w jej oczach nie zainteresowanie, sympatię czy uwagę, lecz pogardę.

- Co to jest kicz? - zapytała. - Co to słowo znaczy? Proszę mi wytłumaczyć.

Łamałam sobie głowę, jak mam jej wytłumaczyć, co jest grzechem tego niewinnego, ale nieproporcjonalnie zbudowanego, jarmarcznego pieska.

- Kicz to jest coś, co jest pozbawione smaku, co zrobiono dla powierzchownej ludzkiej uciechy. Kicz to coś sztucznego, fałszywego. Kicz to namiastka.

- Ten pies jest fałszywy? - zapytała z oburzeniem. - Oszukany? A czy on nie ma wszystkiego, co trzeba, uszu, nóg albo ogona? Przecież sama pani kazała przybić lwią głowę z mosiądzu do szafy z papierami i uwielbia ją pani, i wszyscy pani goście ją uwielbiają, i kołaczą nią jak głupi, chociaż ten lew nie ma nawet szyi i w ogóle nic nie ma, tylko łeb. Lew, który nie ma nic poza łbem, nie jest fałszywy, a pies, który ma wszystko jak prawdziwy, to i owszem? Co mi tu pani gada, może pani spokojnie powiedzieć, że niczego ode mnie nie potrzebuje i kropka! Bo to, że ma wyszczerbione ucho, chyba pani nie przeszkadza, przecież pani trzyma za szkłem jakąś skorupę, którą pani grecka przyjaciółka wykopała na jakiejś wyspie. A może ma pani czelność powiedzieć, że to brudne

czarne coś jest całe? Przynajmniej siebie niech pani nie okłamuje, niech się pani przyzna, że to ze strachu przed gospodarzem, wtedy zrozumie, i nie kryje swojego tchórzostwa, mówiąc: kicz!

Najgorsze było to, że prawie trafiła w dziesiątkę. Ja też uznałam, że pies jest odrażający, ale nie to było prawdziwym powodem, że go ukryłam za moździerzem, lecz, jak stwierdziła, bałam się o mojego męża i całe zbiory irakliońskiego muzeum nie były warte tego, bym znów przysporzyła mu złych chwil, paplałam więc jak lichy krytyk sztuki. Emerenc słuchała pogardliwie, potem wrzuciła psa na dno torby, którą zawsze nosiła, i poszła. Wychodząc, spostrzegła ustawiony przy wieszaku oficerek, złapała go i wyrzuciła zeń parasole. Była tak oburzona, że poczerwieniała jak burak i wrzasnęła:

- Czy pani się wściekła? Jak pani myśli, czy normalny człowiek trzyma parasole w bucie, czy ja po to go przyniosłam, na stojak? Uważa mnie pani za taką kretynkę, która nie wie, co do czego pasuje?

Wyszarpnęła z przedpokojowej meblościanki szufladę, w której trzymaliśmy narzędzia, chwyciła śrubokręt i zabrała się do buta. Stała do mnie tyłem, twarzą do światła, i nie przestawała wyklinać. To było niezwykle przeżycie, nawet w dzieciństwie mi nie wymyślano, rodzice karali mnie w sposób znacznie bardziej wyrafinowany, nie słowami, lecz milczeniem, bardziej bolało, gdy ktoś nie zaszczycił mnie ani słowem, ani pytaniem, niczego mi nie tłumaczył. Emerenc wsadziła but pod pachę z całkiem wyraźnym zamiarem zabrania go ze sobą, mnie zaś cisnęła zdjętą ostrogę.

- Bo pani jest i ślepa, i głupia, i tchórzliwa - wyliczyła. - Bóg jeden wie, za co panią kocham, ale w każdym razie nie zasługuje pani. Może jak się pani zestarzeje, nabierze pani i gustu, i odwagi.

Odeszła, zostawiając ostrogę na biurku. Wzięłam ją do ręki, mąż mógł wrócić lada chwila, nie chciałam ani nerwów, ani kłótni. Ostro, krwawo błysnęło coś pośrodku ostrogi. Stałam osłupiała, trzymając w ręce poczerniałe arcydzieło, które ktoś przyozdobił granatem. Emerenc, która wyczyściła wszystko, zanim przyniosła do domu, widziała, rzecz jasna, co znalazła na ulicy. Ona nie podarowała mi oficerka, lecz drogi kamień, który tkwił w srebrnej ostrodze. Jeśli każę go wyjąć jubilerowi, można będzie zrobić z niego prawdziwy klejnot, kamień jest czysty i wspaniały. Patrząc na mieniący się czerwienią granat, znów poczułam wstyd, najchętniej pobiegłabym za starą kobietą, ale potem zreflektowałam się, muszę ją odzwyczaić od wyrażania uczuć niedorzecznymi metodami. Dziś wiem już to, czego wtedy jeszcze nie wiedziałam, mianowicie, że uczucia nie można wyrażać spokojnie, rozważnie i karnie, i że nie mam prawa za nikogo decydować w tej materii.

Wrócił mój mąż, przyniósł plik gazet, wychodził z siebie całą złość, w mieszkaniu powitała go cisza, starannie prześledził wszystkie pomieszczenia, by sprawdzić, czy zniknęły zakwestionowane przez niego przedmioty. Kuchnię uznał wprawdzie za szokującą, ale wtedy on też był już znacznie spokojniejszy, a ponadto zdawał sobie sprawę, że naszej kuchni nie pomogłoby ani nie zaszkodziło, nawet gdyby na suficie zawisł wypchany wieloryb, jak w sklepie moich pradziadków, że przedtem też gromadziłam tam dla zabawy różne nieprawdopodobne przedmioty, więc najwyżej to pomieszczenie, które sprawia wrażenie muzeum poświęconego terapii przez pracę, wzbogaci się o kobietę ze wzrokiem pełnym szaleństwa i książęcą grzałką, krasnala na szczęście nie zauważył, bo w kącie pod zlewem było ciemno. Panowała u nas wreszcie cisza i znów nie wyczułam, że jest to cisza złowieszcza, przed wielką burzą, rozkoszowałam się tą

ciszą, choć przecież zwieszony łeb Violi i całe jego zwiotczenie powinno mnie było ostrzec, że coś się szykuje.

W południe okazało się, że muszę wyprowadzić psa, bo Emerenc zapewne postanowiła mnie ukarać i nie przyszła. W porządku. Sama go wyprowadziłam, Viola zachowywał się jak szatan, omal mi ręki nie wyrwał, aleją wyjątkowo przechadzał się akurat patrol policyjny, przez co nie mogliśmy wejść na trawę, na chodniku zaś wałały się resztki gratów, które Viola chciał obwąchać, względnie zaszczycić swoją wizytówką. Nagle z daleka ujrzałam Emerenc schylającą się po jakąś malowaną skrzynkę, odwróciłam się na pięcie i zaciągnęłam szalejącego Violę do domu.

Wieczorem zamiast niej zjawił się syn brata Józsiego, który, jeżeli nawet nieczęsto, to jednak regularnie odwiedzał ciotkę, przyszedł wraz z niską żoną, kosmetyczką o małych dłoniach. Zналиśmy się już od dawna, bo Emerenc przyprowadziła ich do nas w celu prezentacji. „Syn brata Józsiego” był sympatycznym, pogodnym człowiekiem, bawiło go, że nawet on nie może wejść do królestwa Emerenc, i nie czuł się tym urażony. Stara kobieta kochała tych młodych, choć wciąż miała do nich pretensję, że nie mają więcej dzieci, ale oni zbierali na dom i długie zagraniczne wycieczki, nie mieściło się w ich życiu nowe niemowlę. Emerenc zrzędziła, ale jednak zawsze dawała im mniejsze czy większe kwoty na wyjazdy lub wymianę samochodu, Emerenc miała dużo pieniędzy, co miesiąc przekazywano jej z zagranicy pewną sumę i kiedyś nawet zapytałam, kto jej pomaga, ale odparła, że nic mi do tego. I miała rację.

W ten dzień odgracania syn brata Józsiego był poważny i śmiał się zarazem, informując mnie, że ciotka kazała mu powtórzyć, abyśmy poszukali sobie na jej miejsce nowej pomocy, bo ona wymawia, odpracuje jeszcze pozostałe do pierwszego dziesięć dni i ten czas mi wystarczy, bym się



postarała o następczynię. Mój mąż wzruszył ramionami, poranna seria niespodzianek nie pogłębiła ich przyjaźni, ja natomiast uznałam za nieprawdopodobne, by ta wiadomość miała być na serio, to niemożliwe, żebym więcej nie zobaczyła u nas Emerenc. Przyjdzie, wmawiałam sobie, boczy się na razie, bo nie spodobał się jej mój wykład o kiczu. Jeśli nawet nie dla mnie, będzie tu przychodziła dla Violi. Syn brata Józsiego nie był takim optymistą.

- Proszę nie lekceważyć tego, co mówi, ona nigdy nie żartuje, jeśli już coś powie, to nie da się tego odwrócić. Teraz zdecydowała, że więcej do państwa nie przyjdzie, nie powiedziała, o co jej poszło, a ja już dawno zrezygnowałam z tego, żeby starać się ją zrozumieć albo na nią wpłynąć, to całkiem niemożliwe. Ona ni w ząb nie pojmuje dzisiejszego świata, a większość spraw rozumie opacznie, kiedy próbowałam jej wytłumaczyć znaczenie reformy rolnej, spoliczkowała mnie, krzyczała, że jej nie obchodzi, co się stało w czterdziestym piątym, jej ta zmiana ani niczego nie dała, ani nie odebrała. Niech pani nigdy nie stara się jej przekonać, agitatorzy omal przez nią nie powariowali i była jedyną osobą, która nigdy nie dała na pożyczkę narodową ani fillera (Chodzi o okres stalinowski i pożyczkę udzielaną partii przez ludność na rzecz „walki o pokój”. Udzielenie takiej pożyczki było co prawda dobrowolne, ale jej nieudzielenie często wiązało się z szykanami ze strony władz.), aż przykro pomyśleć, co przez nią przeszedł w swoim czasie pan podpułkownik. Zresztą mnie też dziś przepędziła, oznajmiła, że jak już przekażę wiadomość, mam się wynosić i to na dłużej.

- Nie będziemy jej błagać - powiedział mój mąż. - Jest wolnym człowiekiem. W końcu to ja ją obraziłem, nie godząc się na to, by robiła z mojego mieszkania pchli targ z niegustowną starzyzną.

Syn brata Józszego zamyślił się, po czym rzekł:

- Ona ma bezbłędny gust, panie doktorze. - Tu spojrział na mojego męża. - Myślałem, że pan to zauważył. Cały problem w tym, że ona nigdy nie przynosi czegoś dla dorosłych, gdy szuka dla państwa upominku, lecz zawsze wybiera dla dwojga dzieci.

Przypomniałam sobie nakryty stół i potrawy na półmiskach: Emerenc miała naprawdę znakomity smak i w tym też coś było, że dla mnie i mojego męża wybierała podług dziecięcych gustów. Możliwe, że ostroga wpadła jej w oko nie dla drogocennego kamienia, lecz pomyślała, że mały chłopczyk doceni chyba piękny oficerek, a skoro ja sprowadziłam do domu Violę, to pewnie ucieszę się z gipsowego pieska. Kuzyn napomknął jeszcze, że ciotka robiła aluzje na temat konieczności spisania testamentu, ale to spadnie teraz zapewne na podpułkownika, bo nas po dzisiejszym dniu chyba o nic nie poprosi, on nie może jej pomóc, ponieważż dziedziczy: staruszka powiedziała, że zapisze im swoje pieniądze. Tego, co dla nich przeznaczyła, jest pewnie niemało, bo przecież mieszkanie ma za darmo, a ktoś kiedyś na całe życie zaopatrzył ją w odzież, bieliznę pościelową i nawet meble, Emerenc wydaje tylko na żywność, opał zbiera w alei i pod lasem. Meble zapewne zniszczył kot, którego trzyma w mieszkaniu, ale oni mają własne, nie zależy im, natomiast pieniądze się przydadzą, bo chcieliby się pobudować, choć z całego serca ma nadzieję, że ciotka pożyje jeszcze tysiąc lat, bo mało jest na świecie tak dobrych i czystych ludzi, nawet jeśli, jak świadczy o tym jego obecna wizyta, jest nieobliczalna i popędliwa. Pożegnał się, poprosił, żebyśmy, niezależnie od tego, co się stało, zadzwonili, gdybyśmy wiedzieli, że Emerenc potrzebuje pomocy czy może zachorowała, aczkolwiek, odkąd sięga pamięcią, jeszcze się to nie zdarzyło, była zdrowa przez całe życie, choć pracuje

więcej niż pięciu młodych razem wziętych. Jakkolwiek się wszystko potoczy, nie miejmy do niej żalu, bo Emerenc to dobra kobieta.

Nie było nawet mowy o żalu, mój mąż, choć się tym nie chwalił, czuł jakąś niezręczną satysfakcję, ja byłam zachmurzona. Przywykliśmy, że w domu panuje nienaganny porządek i że każde z nas, a głównie ja, może siedzieć przy swojej wielowątkowej pracy, było oczywiste, że jest ktoś, kto wszystko za nas robi. Jednak nie to było przykre, że rozpada się ukształtowany ład naszego życia i pewnie tygodniami nie zdołam nic napisać lub że nie będzie komu zająć się gospodarstwem, lecz to, że wiedziałam: Emerenc naprawdę nas kochała, z pewnymi zastrzeżeniami także mojego męża. Czym zawiniliśmy, które to z surowych praw jej prywatnej konstytucji mogliśmy naruszyć, bo chyba nie karałaby nas tak okrutnie tylko za to, że nie chcieliśmy pieska o wyszczerbionym uchu?

Viola był jak obłąkany, a gdy pojął, że daremnie się wysiła, bo i tak musi się zadowolić moją osobą, cały czas leżał jak struty i było jego prywatną tajemnicą, skąd wiedział, co zawierało parę zdań syna brata Józsiego. Mój mąż zaczął analizować sytuację: to w końcu niesamowite, co się tu dzieje, Emerenc chyba nie może nam mieć za złe, że chcemy się otaczać przedmiotami, które nam się podobają, ale jeśli jednak o to jej poszło, to damy sobie radę i bez niej. Ja czułam, że jestem zmęczona, tak zmęczona, że to uczucie jest już nierealne, a przecież nie miałam ani powodu, ani prawa czuć się zmęczona, bo obiad, jak co dzień, znalazłam jeszcze w lodówce, napisać nie udało mi się oczywiście ani linijki, ale możliwość pisania to nawet w lepsze dni stan łaski. Na pewno oklapłam przez to, co się wydarzyło, dobry humor odświeża, zły sprawia, że człowiek czuje się wyczerpany. Teraz byłam nieszczęśliwa, ale, rzecz jasna, nie dlatego, że musiałam sobie

szukać kogo innego do pomocy, powód był prostszy, musiałam wreszcie przyznać: nie tylko Emerenc była do mnie przywiązana bardziej niż większość krewnych, lecz ja także kochałam Emerenc, kochałam ją, choć każdy zdrowo myślący człowiek wiedział, że moja niezmienna, równa uprzejmość kryje za sobą panikę, że wprawdzie potrafię być przyjacielska, ale na palcach jednej ręki mogłabym zliczyć ludzi, którzy mnie naprawdę obchodzą. Od śmierci mojej matki Emerenc była jedynym człowiekiem, z którym się zbliżyłam, i rozumiałam to dopiero teraz, kiedy odeszła z powodu piaska o wyszczerbionym uchu.

To był trudny wieczór, choć mój mąż robił wszystko, aby mi ulżyć, i nawet wyprowadził na spacer Violę, aczkolwiek wiedziałam, że będzie to dla niego tortura. Viola szarpał, nie słuchał, zawsze był okropny, kiedy wychodził z nim mój mąż. Usiadł potem ze mną przed telewizorem, choć lubił tylko słuchać radia, próbował naprawdę wszystkiego, żeby mi pomóc. Żadne z nas nie wspomniało nawet o Emerenc, ale oboje o niej milczeliśmy. Mój mąż uwielbiał wszystkie zwycięstwa, odmładzały go, wzmacniały, nawet czyniły zdrowszym, dzień wypowiedzenia przez Emerenc wojny był dla niego dniem zwycięstwa, siedział w ten sposób, że niemal widziałam na jego głowie triumfalny laur. Viola poszedł się położyć, nie pożegnał się, choć go namawialiśmy, a spuszczone ogon świadczył o jego smutku, wielkim smutku. Usiedliśmy na balkonie, a pies podreptał do pokoju mojej matki i zwałił się tam ostentacyjnie, jak ranny.

Był to drugi dzień odgracania. Po zapadnięciu zmroku zawsze panuje wówczas ruch na naszej ulicy, zwykliśmy obserwować z balkonu zbieraczy i o tym, że coś dziwnego dzieje się z Emerenc, świadczyła jej nieobecność wśród ludzi, którymi zawsze komenderowała. Staruszka miała stałych gości, wielbicieli i protegowanych, a do kręgu jej znajomych

należały także wyróżnione przez nią osoby, jak Sutu, która w narożnej budce zaopatrywała ulicę w owoce i warzywa, Adelka, wdowa po laborancie, i prasowaczka Polett, nieco garbata, wiekowa stara panna, która według Emerenc była niegdyś wychowawczynią, potem uczyła języków i pamiętała lepsze dni, ale później z jakiegoś powodu znalazła się pod wozem. Emerenc opowiadała, że Polett została doszczętnie obrabowana przez żołnierzy, po wojnie nikt nie potrzebował wychowawczynie ani nauczycielki francuskiego, rodzina zaś, u której pracowała, uciekła na Zachód, porzucając Polett i nie płacąc jej nawet pensji za ostatni miesiąc. Niespokojne życie musiała mieć ta leciwa panna, która niemal zawsze sprawiała wrażenie głodnej, choć sąsiedzi brali ją do prasowania, czyli nie była całkiem pozbawiona dochodów, i naprawdę znała francuski, o czym świadczył wciąż rozrastający się zasób słów Emerenc, do której tamta regularnie zachodziła na kawę: do rozlicznych talentów starej kobiety należało prawidłowe używanie obcych wyrazów, gdyż nigdy nie zapominała tego, co raz wpadło jej w ucho. Tego wieczoru tylko Sutu, Adelka i Polett krzątały się wśród cieni, taszcząc olbrzymie worki, Emerenc nie pokazała się, choć był to dla niej czas wielkich łowów, nawet w największych ciemnościach rozpoznawałam ją po ruchach. Kiedy pochylała się nad gratami, była niczym współczesna Dorottya Kanizsai (Dorottya Kanizsai - żona węgierskiego palatyna Imre Perenyiego; wsławiła się tym, że po bitwie pod Mohaczem (1526), w której Węgrzy ponieśli klęskę, pomagała zbierać i chować poległych bohaterów [przyp. red. wydania PIW].), która na polu bitwy sprawdza, czy w którymś tli się jeszcze życie.

Problem tym razem nie został rozwiązany przez Violę jego prymitywnymi, lecz skutecznymi metodami z czasów pierwszej potyczki. Chyba po raz pierwszy z całą mocą odczułam potęgę oddziaływania Emerenc: stara kobieta nie

uczyniła ani kroku w naszą stronę i jakimś radarem sparaliżowała psa. Sterowanie wolą może się odbywać różnie, ta forma była najbardziej zróżnicowana, Emerenc uwielbiała Violę i chciała go odzyskać w ten sposób, że go od siebie odpędziła. Życie toczyło się byle jak, uganiałam się za jakąś pomocą i nawet pojawiła się u nas na parę dni całkiem nieprzydatna Annuska, której działalność przejawiała się głównie w tym, że po półgodzinie pracy wskakiwała do wanny, podrzucała mydło, piszczła w wodzie, a potem naga, jak ją Pan Bóg stworzył, przechadzała się po mieszkaniu pod pretekstem, że musi się ochłodzić. Annuskę też sprowadziła do nas czarami Emerenc, musiała się dowiedzieć, że wciąż jestem sama, choć ja celowo nie wspominałam o tym nikomu na ulicy. Annuska pewnego razu po prostu przyszła i to z niebyle jakimi referencjami, miałam huk zaległej pracy, więc ją przyjął na próbę, ale jej gościnne występy trwały nie dłużej niż tydzień i to nawet nie z powodu scen łazienkowych, lecz przez Violę, który warczał na jej widok i tak samo warczał na każdego, kto zbliżał się do odkurzacza czy ścierki. Emerenc znikła nam z oczu i sparaliżowała wokół nas świat, niczym jakaś postać rodem z wielkiego eposu rozplynęła się w rzadkim powietrzu, nawet jej nie spotykaliśmy, znała nasz rozkład dnia i jakoś tak to urządziła, że kiedy my byliśmy lub mogliśmy być na ulicy, jej tam nie było. Kiedy z powodu braku czasu byłam zmuszona odrzucić trzecią z kolei ofertę pracy, mój mąż, po pewnej nieudanej kolacji, powiedział bez cienia dramatycznego akcentu, że za dużo kosztuje nas pies o wyszczerbionym uchu, więcej niż warte jest parę pojednawczych słów. Nie ma się co wypierać, nie poradzimy sobie bez Emerenc, trzeba więc ustawić figurkę na honorowym miejscu i chować ją, gdy ktoś ma przyjść, nie mogą przecież od tego pieska zależeć nienapisane powieści. Prawie nie pracujemy, ja jeszcze mniej niż on, bo to na mnie

spoczywa prowadzenie domu, trzeba więc dać Emerenc zadośćuczynienie, jakiego sobie życzy.

Nie poprowadziłam Violi do Canossy, zresztą wcale sobie tego nie życzył, pętały go jeszcze paraliżujące czary, więc nawet nie wstał, tylko patrzył na mnie ludzkim spojrzeniem, badając, czy mam dość odwagi, żeby iść, i co kryje się za moim postanowieniem, czy tylko to, że za wszelką cenę chcę zapewnić nam dwojgu - sobie i mężowi - spokój tworzenia, czy też czuję, że jestem dłużna tę drogę godności Emerenc. Starej kobiety nie było w sieni, ostatnio nigdy jej tam nie było, z początku na próżno stukałam do drzwi, potem stanęłam z boku i załomotałam w drewnianą płytę.

- Niech pani wyjdzie, Emerenc, musimy porozmawiać.

Myślałam, że będzie chciała odwlec tę chwilę, ale zaraz otworzyła. Stała przed drzwiami poważna, niemal smutna.

- Przyszła pani przeprosić? - zapytała bez gniewu.

To jednak przesada, musiałam bardzo starannie formułować myśli, abyśmy obie mogły pozostać w granicach zdrowego rozsądku.

- Nie. Mamy inne gusta, ale to nie ma znaczenia, i nie chcieliśmy pani urazić. Jeśli pani sobie życzy, gipsowy piesek zostanie w pokoju. Nie radzimy sobie bez pani. Wróci pani?

- Zgadza się na pieska?

Jej głos nie był konfidencjonalny. Mówiła jak stawiający warunki mąż stanu.

- Tak - odparłam.

- Gdzie będzie stał?

- Gdzie pani zechce.

- Nawet u gospodarza?

- Powiedziałam: gdzie pani zechce.

Wyruszyłyśmy, Viola wciąż jeszcze nie dawał znaków, dopiero kiedy Emerenc na schodach cicho wymówiła jego imię, myślałam, że wyłamie drzwi mieszkania. Emerenc

grzecznie życzyła mojemu mężowi dobrego wieczoru i znów podała mu rękę, jakby godziła się do nas po raz drugi, pogłaskała szalejącego Violę, potem się rozejrzała. Figurka psa stała na kuchennym stole, drzwi kuchni były otwarte, mogła ją więc zauważyć od razu, i zauważyła. Popatrzyła na nas, potem na pieska, znów na nas i na jej twarzy zajaśniał specyficzny, chowany na rzadkie okazje, niezapomniany uśmiech. Wzięła figurkę, otarła ją z kurzu, przyjrzała się jej i cisnęła ją na ziemię. Nikt się nie odezwał, nie było słów, które byłyby odpowiednie dla tej chwili. Emerenc stała wśród gipsowych szczątków niczym jakiś władca.

I odtąd przez długie lata żyliśmy nie tylko spokojnie, lecz także szczęśliwie.



Polett

Mój mąż i Emerenc jakoś się tolerowali, potem zaś, sami się temu dziwiąc, nawet się polubili, z początku dlatego, że oboje bez żadnej nadziei uwolnienia się od tego uczucia kochali Violę i mnie, później, bo oboje zaczęli rozumieć wysyłane do siebie nawzajem sygnały. Mój mąż pogodził się z formami wypowiedzi Emerenc, ona zaś zaczęła normalnie traktować nasze - właściwie dla niej niezrozumiałe, a nawet, jej zdaniem, próżniacze - życie, w którym niekiedy przez pół dnia nie można było nawet pisnąć, bo któreś z nas patrzyło na topole w końcu ogrodu, całkiem widocznie nic nie robiąc i twierdząc, że pracuje. Wydaje mi się, że naprawdę cieszyliśmy się życiem. Obcy, którzy odwiedzali nas po raz pierwszy, sądzili, że krzątająca się w kuchni Emerenc jest moją ciotką lub matką chrzestną, a ja nie wyprowadzałam ich z błędu, bo niemożliwe byłoby naświetlenie charakteru naszych stosunków ani wyjaśnienie tego, że Emerenc nie przypominała matki żadnego z nas, a jednak była jakby wskrzeszoną matką obojga. Nigdy nas nie wypytywała, my też jej nie wypytywaliśmy, mówiła o sobie tyle, ile uważała za stosowne, ale właściwie mówiła mało, jak prawdziwe matki, których przeszłość jest już prawie nieistotna i interesują się tylko przyszłością swoich dzieci. Viola w miarę upływu lat spoważniał, mnożyły się również jego umiejętności, umiał otworzyć drzwi klamką, na rozkaz przynosił gazetę i pantofle, a w dzień urodzin mojego męża jemu też składał życzenia. Emerenc torowała nam wszystkim drogę, najwięcej wolności osobistej dała gospodarzowi, potem był Viola, na końcu ja. Mnie często zamawiała sobie na kawę, gdy było na mnie zapotrzebowanie w kręgu jej znajomych, zwłaszcza Adelka lubiła ze mną dyskutować o swoich problemach. Adelka była osobą, która natychmiast omawiała z trzema czy czterema przyjaciółkami słuszność otrzymanej rady, i Emerenc omal nie

rzucala się wtedy na nią z pięściami. Sutu i Polett mówiły mniej, zwłaszcza Polett stawała się coraz bardziej milcząca i bardzo też schudła, aż pewnego dnia znikła z naszego życia.

Z wiadomością o jej samobójstwie przybiegła do nas Sutu, codziennie o świcie kupowała towar w hali targowej i to ona, poza Emerenc, wstawiała najwcześniej na całej ulicy. Nie mogła przyjść o gorszej porze, niechętnie otworzyłam drzwi, ale wiadomość mną wstrząsnęła, posmutniałam. Znałam już dobrze Polett, często spotykałyśmy się na kawie u Emerenc, i miałam poczucie, że wszyscy mamy pewien udział w jej śmierci, w końcu coś musiało zapowiadać to, co się stało, a my nie zwróciliśmy uwagi. Jak to powiedzieć Emerenc?, zapytała Sutu, przecież jeszcze wczoraj jadły razem obiad, Emerenc była najbliżej z Polett i wiedziała o niej wiele takich rzeczy, o jakich Polett nigdy nie powiedziała Sutu. To ja mam zawiadomić Emerenc, ona, Sutu, się tego nie podejmuje, musi czekać na policję, bo przecież znalazła tę biedaczkę. Proszę, jaka ta Polett była taktowna w wyborze metody rozstania się ze światem, nie komplikowała ludziom życia, znikając i kładąc się szukać, lecz powiesiła się w ogrodzie na orzechu, nawet nie weszła do mieszkania, żeby nie trzeba było wyłamywać drzwi. A co najciekawsze, naciągnęła przed śmiercią czapkę na twarz, widocznie nie chciała nikogo przestraszyć, choć widok i tak był przerażający, kiedy tak wisiała w tysiakkroć przez nas widzianej, przyozdobionej mosiężnymi guzami odświętnej czapce, która teraz zakrywała jej głowę po szyję. Adelka już wie, słabo się jej zrobiło na tę wieść, no, ale ona musi już teraz pędzić, nie może godzinami trzymać budki zamkniętej. Mam się pospieszyć do Emerenc, bo jeśli nie dowie się w porę o tym, co się stało, znów będzie śmiertelna obraza, a chyba wiem, że Emerenc jest straszna, kiedy się gniewa.

Powiedzieć Emerenc coś nowego, zanieść jej wiadomość?

O wszystkim już wiedziała.

Łuskała w sieni groszek, kiedy przyszedłam, znów spuszczała ku misce twarz jak jezioro, beznamiętną, i może była odrobinę bledsza niż zwykle, ale chyba nawet w młodości nie miała rumieńców. Czyżbym przyszła z powodu Polett?, odezwała się takim tonem, jakby pytała, czy Viola był na spacerze. Widziała ją nad ranem, kiedy wył pies, wyszła z domu, słysząc to wycie, czyżby nas nie obudził? Nie. Mój mąż spał, a ja się ocknęłam, bo Viola naprawdę był niespokojny, rozwył się po północy i nawet się zastanawiałam, jakie to jeszcze dźwięki potrafi wydawać ten pies. Viola sygnalizował śmierć, ciągnęła tym samym bezbarwnym tonem stara kobieta, pomyślała więc, że pochodzi po okolicy i poszuka, gdzieś przecież oświetlone okno wskaże nieszczęście, ona podejrzewała starą Boorową, która już od tygodni patrzyła na księżą oborę, ale nigdzie nie było światła w oknie, wtedy zaczęła zaglądać do ogrodów, zupełny przypadek, że znalazła Polett, gdyby tamta nie zostawiła otwartych drzwi domku, w którym mieszkała, ona, Emerenc, nawet by nie weszła, ale Polett zawsze się bała być w tym kurniku i nigdy nie sypiała przy otwartych drzwiach, więc Emerenc od razu pomyślała, że coś się stało. Mieszkanie było puste, Emerenc zapaliła światło i zobaczyła, że nie ma nikogo na tapczanie i nawet nie rozłożono koca, poszła więc poszukać, gdzie się Polett ukryła, i wtedy ujrzała ją w ogrodzie na drzewie, w blasku księżycy brązowa czapka na jej głowie sprawiała wrażenie czarnej.

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu, tylko patrzyłam na Emerenc, która nie dość, że nie była smutna, ale przyjęła nowinę z kompletną obojętnością. „Nie rozmawialiśmy o czapce - ciągnęła, sypiąc kulki zielonego groszku. - Nie mówiła, że ją naciągnie, uzgodniłyśmy tylko suknię i sprawę pogrzebu, nawet dałam jej halkę, bo nie miała czarnej. Dość

dziwnie wyglądała w tej czapce, która jej opadła aż na szyję. I but jej zleciał, ale go nie znalazłam. Czy ktoś go znalazł?"

Jednak musiałam zapytać, czy to znaczy, że wiedziała, do czego się szykuje Polett. Jakżeby nie, odparła Emerenc i zamieszała groszek, a nawet oszacowała, czy wystarczy go dla nas wszystkich. Zdecydowały wspólnie nawet o tym, że nie wypije trucizny. Bo kiedy Emerenc pracowała u śledczego, którego zawsze posyłano do samobójców, to ten jej gospodarz powiedział, że większość tych, co się truli, znajdował tuż przy drzwiach, na progu, jakby się rozmyślili i chcieli wyjść, kiedy zaczynali się dusić. Po truciźnie człowiek cierpi, chyba że jest bogaty i ma do dyspozycji inne środki, jakich rejonowy lekarz nie zapisze. Ale najlepiej się powiesić, to prosta sprawa, dość się tu w Peszcie napatrzyła na wisielców, bo kiedy rządzą biali, wieszali czerwonych, a kiedy czerwoni, wieszali białych, nawet teksty przed egzekucją, którymi hańbili skazańców, były do siebie podobne, a wszyscy oni wierzgali nogami całkiem tak samo, niezależnie od tego, za jaką barwę musieli umierać. Sznur nie jest zły, przyjemniejszy od kuli, bo kula nie zawsze trafi i potem człowiek tylko patrzy, ile razy celują do skazańca, i trzeba jeszcze do takiego podejść i go dobić, czyli strzelić mu w kark, gdyby nie zginął od razu. Ona wie, jak wyglądają takie egzekucje, dość się napatrzyła.

Podobne uczucie miałam ostatnio w Mykenach przed grobem Agamemnona, jak w ten czerwcowy dzień, kiedy spod sękatech palców Emerenc sypały się ziarenka groszku, i zawróciłam myślą nie tylko w czasie, lecz także w przestrzeni i historii: widziałam nie tylko małą Emerenc ze zmarłym przedwcześnie ojcem, matką rusałką, poległym w Galicji ojczymem i zwęglonymi bliźniętami, lecz także i tę młodą dziewczynę, która służyła u pewnego śledczego, możliwe nawet, że u niejednego, bo to mało prawdopodobne, by gospodarz, który wieszał czerwonych, był tym samym

gospodarzem, który aresztował białych. Zapytałam Emerenc, czy nie próbowała powstrzymać Polett, skoro wiedziała, co jej chodzi po głowie.

- Ani mi się śniło - odparła. - Nie usiądzie pani? Niech pani siada i pomoże mi łuskać groszek, za mało go na nas czworo. Kto chce odejść, niech odchodzi, na co miałyby tu zostawać? Głodna nie chodziła, z domu jej nikt nie wyganiał, pozwalali jej mieszkać w tym kurniku za darmo i nawet towarzystwo jej załatwiłam, ale my jej nie starczyłyśmy, ani Sutu, ani Adelka, ani ja, chociaż z sercem wysłuchiwałyśmy tych jej wszystkich bzików, nawet jeśli nie rozumiałyśmy, bo mówiła po francusku; przeważnie jednak wiedziałyśmy, że nawet w obcym języku wciąż gdacze, że jest samotna. Chciałabym wiedzieć, kto nie jest samotny, nawet ten, kto kogoś ma, też jest samotny, tylko jeszcze o tym nie wie. Zaniósłłam jej kocurka, bo tam lokatorzy pozwalają trzymać, ale ona się wściekła i powiedziała, że to nie towarzystwo, naprawdę nie wiem, kogo by ona chciała, skoro ani my, ani kot. Jedno oko miał niebieskie, a drugie zielone i tak potrafił patrzeć tymi różnymi ślepkami, że nawet nie musiał miauczeć, bo człowiek i tak rozumiał, czego chce. Ale nie był dość dobry dla Polett, bo to nie człowiek, jakbyśmy wszyscy nie byli zwierzętami, tyle że mniej doskonałymi. One przynajmniej nie potrafią ani pisać donosów, ani szkalować, a jak już kradną, to mają powód, przecież nie mogą iść do sklepu czy restauracji. Jak ja ją prosiłam, żeby go wzięła, nawet jeśli jej nie pomoże na samotność, bo ten kot to przecież sierota, jakiś drań go wyrzucił, zginie sam bez dachu nad głową, jest jeszcze taki mały, a ona nie, nie i nie, ona potrzebuje człowieka. Dobrze, niech sobie kupi na targu, bo tu w okolicy nie ma nikogo poza nami i kotem. No więc teraz się pokuma z łopata i nie będzie już sama. Kto panią tu przysłał, Sutu czy ta głupia Adelka? Obie były ślepe, żadna się nie połapała, na co się szykuje

Polett, co prawda nic im nie mówiła, ale mnie nie musiała mówić, Violi też, oboje czuliśmy, co się święci. Nie zdjęłam jej czapki i nie widziałam, jak wygląda, pani mogłaby zamiast mnie zobaczyć, czy miała lekką śmierć. Ja nie pójdę, bo jeszcze jej nie wybaczyłam, jeśli o mnie chodzi, mogła się powiesić, wszystkie trzy się z nią pieściłyśmy, Viola też ją lubił, cierpliwie słuchałyśmy jej narzekań, zaniósłłam jej stworzenie, a ona nie chciała, skoro zatem postanowiła odejść, to po co ją było zatrzymywać? Nie miała tu już żadnych spraw, wciąż ją bolał żołądek i nie mogła już nawet brać roboty, choć prasowała ładniej niż którakolwiek z nas, zobaczyłaby pani, co była warta Polett przy desce do prasowania. No, starczy tego groszku. Idzie pani czy zostaje? Jeśli pani zobaczy Sutu, niech ją tu pani przyśle, musi mi pomóc, bo chcę dziś zrobić czereśnie na zimę.

U bram Myken poruszyły się lwy, obydwie miały żywe, zwierzęce ślepię, po jednym niebieskim i jednym zielonym, i nawet miauczały te mykeńskie lwy. Szłam do wyjścia i modliłam się, żeby nie spotkać Sutu, potem zaczęłam się zastanawiać, co jej powiedzieć, bo przecież Emerenc i przed nią nie przemilczy tego, o czym poinformowała mnie. Należałoby ją przekonać, żeby przynajmniej władzom o niczym nie wspominała, bo co sobie o niej pomyślą, jak się wyda, że pozwoliła tej biedaczce popełnić samobójstwo i jeszcze udzieliła jej praktycznych rad. Kiedy wychodziłam, Emerenc zabierała się już do czereśni, wytaszczyła kocioł podobny do tego, w którym gotowała prześcieradła, gdy rozmawiałam z nią po raz pierwszy. Przystanąłam.

- Emerenc - zaczęłam ostrożnie. - Czy nie trzeba by omówić, co zeznacie na policji? Sutu może palnąć jakieś głupstwo.

- Tere - fere! - machnęła ręką. - Chyba pani nie sądzi, że ktoś będzie tracił czas na Polett? Kogo może obchodzić stara

panna, która się powiesiła i jeszcze napisała w liście, dlaczego to robi? Myśli pani, że nie kazałam jej napisać pożegnalnego listu? Wszystko zostało załatwione. Uzgodniłam z nią i suknię, i list, ale niestety nie potrafię załatwić, żeby jej samcy nie macali przy sekcji, a przecież żaden mężczyzna nie widział Polett, i prosekto będzie pierwszy, ale dla takiego dziewczyna to nie nowina, jest przyzwyczajony do trupów, wiem, bo u prosekto też służyłam.

Grób Agamemnona pogłębił się. O prosektoze też nigdy mi nie mówiła.

- Nikt by nie uwierzył, że pani jest taka głupia - ciągnęła Emerenc - a przecież tyle razy mówiłam. Pani myśli, że życie trwa wiecznie i nawet warto, żeby trwało, i że zawsze będzie ktoś taki, kto ugotuje i posprząta, i pełna miska, i papier do zapisania, i gospodarz, który panią kocha, i będziecie tu po wsze czasy żyć jak w bajce, i nigdy nie spotka pani nic złego, chyba że ktoś panią obsmaruje w gazecie, co jest niewątpliwie wielką hańbą, ale po co wybrała pani sobie taki marny zawód, żeby byle drań mógł na panią wylewać pomyje? Nie wiem, dlaczego stała się pani sławna, bo rozumu niestety niewiele, a o ludziach też wie pani tyle co nic. Nawet o Polett, a ileż to razy piła pani z nią kawę? Ja się znam na ludziach.

Sypały się do kotła czereśnie. Teraz już wszystko było mitologiczne: owoce, kiedy rozdzielały się na połowy ich wydrylowane kulki, sok, który wciąż płynął jak krew z rany, Emerenc przy kotle, w czarnym fartuchu, ocieniona zawiązaną na kształt kaptura chustką, wcielenie idealnego spokoju.

- Lubiłam Polett. Co to znaczy, że pani nie rozumie? Jej to nie wystarczało. Sutu też ją lubiła, ale i to było dla niej za mało. Adelka nawet ją szanowała, idiotka, lubiłyśmy ją wszystkie trzy, a ponieważ w porównaniu z nią jesteśmy bogate, bo mamy pracę, to znaczy Adelka emeryturę, dawałyśmy jej, co trzeba, żeby nie chodziła głodna, kiedy nie

zarabiała. Dostawała jedzenie, opał i nawet kolacje. Ale jej trzeba było czegoś innego, czegoś więcej, sama nie wiem czego, nawet kota nie chciała, chociaż jego też bym karmiła, no i przebrała się miarka. Czego ona wiecznie jęczała? Jeśli komuś nie można pomóc, to i nie trzeba, skoro miała dość życia, nikt nie miał prawa jej powstrzymywać.

Podyktowałam jej, co ma napisać dla policji, i grzecznie napisała: ja, Polett Dobri, niezamężna, kończę życie z własnej woli, z powodu choroby, starości, a zwłaszcza samotności. Wszystko, co posiadam, zostawiam moim przyjaciółkom, Etelce Vamos, Adeli, wdowie po Andrasie Kurcie, i Emerenc Szeredas. Chyba jasne, że jeszcze w nocy przyniosłam żelazko, po co się o nie kłócić. Więc o co by jeszcze mogli pytać?

Sprawą Polett, jak wszystkimi skomplikowanymi problemami w otoczeniu Emerenc, zajął się podpułkownik. Dowiedziałam się od niego, co wyświetlił komputer: Paulette Hortense D'Aubry urodziła się w 1908 roku w Budapeszcie, jej ojciec Emil D'Aubry był tłumaczem przysięgłym, matka Katalin Kemenes nie miała wykształcenia, ostatnio zaś pracowała jako prasowaczka. Papierów świadczących o wyznaniu Polett nie znaleziono, ale Emerenc przysięgała, że zmarła była kalwinistką. Wielebny nie był zachwycony, kiedy go poproszono na pogrzeb, powiedział, że Polett, podobnie jak Emerenc, nie uczęszczała do zboru i że nie podoba się Bogu, gdy ktoś sam decyduje o godzinie swej śmierci. Na szczęście nie słyszał komentarza Emerenc, która odświeżyła swoją dawną historię z paniami z dobroczynności, przy tym podziale darów obecna była także Polett, ale ona nie dostała nawet tyle co Emerenc, wieczorowej sukni z pajetkami, panie przebąkiwały, że to nadęta osóbka, a ponadto nigdy jej nie widać na nabożeństwach, co było szczerą prawdą, bo gdy tamte się modliły, Polett w świętek czy piątek prasowała ich



rzeczy i to na dodatek żelazkiem na węgiel, bo wtedy jeszcze w tej dzielnicy nie wszystkie przewody elektryczne były w porządku i prąd też dawano tylko na parę godzin dziennie, więc omal jej głowa nie pękała od czadu i pewnie określenie „nadęta” dotyczyło właśnie tego stanu.

Wówczas jeszcze z uporem trzymałam się mego panińskiego stylu życia, bywało, że w wielkie święta nawet dwa razy dziennie chodziłam do zboru, tak jak przywykłam w domu i na pensji; gdy spotykałam po drodze Emerenc, patrzyła za mną ironicznie, uciekałam więc przed nią, by nie słyszeć zawsze tego samego komentarza, że do zboru chodzą ci, którzy mają za dużo czasu, co już choćby dlatego nie było prawdą, że ja naprawdę nie miałam czasu na nic, nocą nadrabiałam godziny, których nie przesiedziałam przy maszynie, literatura nie jest łagodną panią, przerwane w połowie zdanie nigdy nie wyjdzie już tak, jak zamierzaliśmy, w nowym ujęciu łuk tekstu wykrzywia się i nic więcej nie gwarantuje jego statyki. W każdym razie przekonałam pastora, że Polett była starą kobietą o nieposzlakowanej opinii i skoro już zostanie pochowana jak nędzarka na koszt miasta, niech on przynajmniej należycie ją doceni w mowie pogrzebowej. Nawiasem mówiąc, odprowadzający ją na cmentarz Farkasret podziwiali ostatnie przesłanie Emerenc, bo na głównym miejscu pod urną, obok paru skromnych wiązanek, stała - zamiast wieńca - doniczka kwitnących pelargonii przewiązana śnieżnobiałą szarfą z napisem: „Tu już nie ma samotności, spoczywaj w pokoju, czego ci życzy Emerenc”. Urna była z gatunku najtańszych, grób w złym miejscu, żałobników mało, a i sama ceremonia jakby przykrótka. Emerenc jeszcze została, kiedy cementowano urnę, my odwiedziliśmy znajome groby i potem, kiedy wreszcie szliśmy do wyjścia, znów ją spotkaliśmy, zapewne skończyła właśnie swoje osobne rekwiem. Oczy miała zapłakane, wargi obrzmiałe, jeszcze nie

widziałam jej tak przygnębionej. Wieczorem przyszła po Violę, pies też nie był wesoły, nie skakał z radości, że idzie na spacer, po powrocie Emerenc odkomenderowała go na koc i bez protestu poszedł spać. Porządkowałam szafę i odwróciłam się, kiedy Emerenc odezwała się do mnie:

- Zabiła już pani jakieś zwierzę? - zapytała.

Powiedziałam, że nie.

- Jeszcze to pani zrobi. Violę też pani zabije, jak przyjdzie na niego czas, każe mu pani dać zastrzyk. Niech się pani nauczy, że komu przesypał się piasek, tego nie należy zatrzymywać, bo nie potrafi mu pani niczego dać w zamian za pozostanie przy życiu. Myśli pani, że ja nie kochałam Polett, że było mi obojętne, jak się jej znudziło i postanowiła odejść? Tylko że w miłości też trzeba umieć zabijać, nie zaszkodzi, jeśli sobie to pani zapamięta. Niech pani zapyta Boga, z którym jest pani w tak dobrej komitywie, co mu powiedziała Polett, kiedy się spotkali.

Pokręciłam głową. Dlaczego ona mnie wiecznie drażni? To nie pora na sprzeczki.

- Kochałam Polett - powiedziała Emerenc. - I po co ja to wszystko mówiłam, skoro pani jest taka głupia, że znów nic pani nie zrozumiała? Gdybym jej nie kochała, powstrzymałabym ją, bo jak krzyknę, to każdy się słucha. Polett bała się mnie, wiedziała, że jeśli będzie niegrzeczna, to pożałuje. Myśli pani, że kto opowiadał mi o Paryżu i o cmentarzu, gdzie pewnej kobiecie wciąż przynoszą kwiaty i gdzie jest pochowany cesarz, no, kto potrafił opowiadać tak jak Polett, dopóki widziała jeszcze jakiś sens w życiu? Jak mogłam się jej odwdzięczyć za to, że mnie tyle nauczyła, chyba tylko w ten jeden jedyny sposób, że, kiedy zrozumiałam, że już nijak nie można jej pomóc, dodałam jej odwagi, żeby to ona wypowiedziała ostatnie słowo. Sutu nie kochała jej naprawdę, pogardzała nią z powodu jej

przeszłości, o której dotychczas pani nie mówiłam, ale teraz już wszystko jedno. Otóż jakiś przodek tej biedaczki był bandytą, skończył z katowskiej ręki i cała rodzina była poszukiwana, więc musiała uciekać i w ten sposób znalazła się na Węgrzech. Polett nie wstydziła się tego, opowiedziała nam i tylko Adelka się przyczepiła, że co to za towarzystwo, nie wiem, czemu ona tak zadzierała nosa, jej ojciec siedział za nożownictwo i kradzież z włamaniem i wprawdzie go nie powiesili, ale też był niewiele lepszy niż rodzina Polett. Adelka tylko się śmiała z gilotyny, ale ona jest głupia jak gęś i nie lubiła opowieści Polett, bo ich nie rozumiała, chociaż sama zabiła niejedną kure. Jak dobrze trafić, to zaraz się odetnie głowę, byle nie rznąć tępym nożem. Polett przysięgała, że ten jej przodek był niewinny i że to wszystko przez politykę, że go schwytali i zabili, ja jej wierzyłam, Sutu też, bo takie rzeczy się zdarzają, choćby i u nas ilu to niewinnych pozabijali, kiedy byłam jeszcze młoda i byłam zaręczona z piekarzem, to wprawdzie nie ścięli mu głowy, ale go rozszarpali. Nie wierzy pani? Niech pani nie wierzy. Tłum go rozszarpał, a on przecież nic nie zrobił, tylko otworzył sklep, i choć komendant zakazał mu dawać chleb cywilom, ulitował się nad ludźmi i dzielił chleb, póki miał, a jak już nie miał, nie uwierzyli mu, wyciągnęli go ze sklepu i zabili, rozszarpali go jak bochenek chleba; kiedy tłum się za kogoś weźmie, to z nim nie skończy w minutę, to jest powolna śmierć. No, pójdę już, chciałam jeszcze tylko to pani opowiedzieć. Gdybym miała łóżko, dziś wyjątkowo bym się położyła, ale odkąd starzy Grossmannowie załatwili młodym ucieczkę i zadbali też o Ewę, a potem wypili cyjanek i to ja znalazłam ich martwych w łóżku, mogę zasnąć tylko w fotelu albo na kanapce. No to dobranoc. Niech pani nic nie daje Violi, dość się nażarł.

Usiadłam na balkonie nad ogrodem i spoglądałam w niebo ponad kwiatami, czas jakby się zatrzymał, wieczór, przeróżne zapachy, wokoło cisza. Polett, hugenota i piekarz narzeczony umościł się w mojej świadomości wraz z nieznanymi dziadkami nazwiskiem Grossmann, których system nerwowy nie wytrzymał Hitlera. Pod gilotyną kury podglądały, jak odbywa się umieranie, i mocno pachniało zaczynem. Emerenc nigdy więcej nie wspomniała o piekarzu, którego zdjęcie znalazłam później na manekinie; nie od razu odgadłam, kogo przedstawia ta fotografia.

## Polityka

Emerenc nigdy już nie mówiła o Polett, jakby tamta w ogóle nie istniała, natomiast przebywała u nas więcej niż kiedykolwiek, właściwie jakby już zawsze chciała być tylko z nami. Nasze sprzeczki były rezultatem takich niemal niemożliwych do zdefiniowania uczuć jak miłość, aczkolwiek musieliśmy się godzić na mnóstwo ustępstw, by móc ze sobą nawzajem wytrzymać. W oczach Emerenc każda praca niewykonywana rękami, za pomocą siły fizycznej, była obijaniem się, nieomal kuglarstwem, ja natomiast zawsze uznawałam moc ciała, ale nigdy nie uważałam jej za coś lepszego od mocy intelektu, lata kultu jednostki oduczyłyby mnie tego nawet w tym przypadku, gdyby kiedykolwiek w życiu fascynowała mnie przesadnie twórczość Giona. Podstawę mojego świata stanowiły książki, moim fachim były słowa, ale nie byłam tak zaślepiona jak Emerenc. Staruszka, choć nigdy tego nie sformułowała i nawet nie wiedziała, co to znaczy antyinteligencckość, była antyinteligentką i tylko uczucia uczyniły wyłom w jej świadomości. Jej wyobrażenie o imperium tak zwanych panów ukształtowało się w nader specyficzny sposób, mianowicie w jej oczach każdy, kto w dawnym bądź nowym ładzie społecznym, zapowiadającym już narodziny socjalplutokracji, nie wykonywał swej pracy dwiema rękami, a zamiast niego pracowali inni, od razu stawał się inteligentem. Własnego ojca, który w początkach wieku był zdolnym rzemieślnikiem, uważała za robotnika, bo jego sylwetka utrwaliła się jej wśród wiórów - to nic, że miał dom, ziemię, sążnie szlachetnego drewna i cenne narzędzia. Emerenc, choć za żadne skarby nie wymówiłaby skompromitowanego słowa „burżuj”, była przesiąknięta tym pojęciem. Liczne domy, w których służyła, nauczyły ją tylko poprawnego zachowania, ale nie zmieniły jej mentalności: mężczyźni, którzy nie posługiwali się przy pracy narzędziami,

choćby nawet wypełniali najważniejsze funkcje, byli dla niej wszyscy - oczywiście z wyjątkiem podpułkownika, który pilnował porządku - pasożytami, zaś panie wygłaszające rozmaite hasła - darmozjadami, do której to kategorii z początku zaliczała także mnie. Podejrzana była w oczach Emerenc każda kartka papieru, każde biurko, każda broszura i książka. Nie tylko nie znała Marksa, ale w ogóle nic nie czytała, nawet gazet, myślę, że i nami próbowała pogardzać jako osobnikami chronicznie uchylającymi się od pracy i była wstrząśnięta, kiedy zorientowała się, że w chwili gdy przekracza nasz próg, coś tę jej niechęć osłabia. Widocznie wytłumaczyła sobie, że to coś, w co walimy, to także maszyna, a więc jest w naszym sposobie zarobkowania odrobina przyzwoitości. Ta antyinteligencckość nie przeszkadzała jej w podejmowaniu się każdej pracy, wykonywany przez nią zawód, który w następstwie przemian politycznych stał się deficytowy, gwarantował jej pełne bezpieczeństwo, od każdego z gospodarzy czegoś się nauczyła, ale o wszystkich miała swoje zdanie. Na nasze książki patrzyła tylko wtedy, gdy je odkurzała, wspomnienia trzech klas szkoły wydziałowej dawno wywietrzały jej z głowy i zapamiętała tylko wierszowane powinszowania na Dzień Matki. Od dnia sceny przy pastwiskowej studni literackie wykształcenie Emerenc kształtowali liczni pracodawcy, zaś dziesięciolecia najnowszej historii Węgier zapoznały ją tylko z retoryką, którą znienawidziła i która wyrugowała z niej wszelkie zainteresowanie wobec poetyki. Zanim zdołała usłyszeć co innego, już nie miała ochoty wzbogacać się intelektualnie, piekarza rozszarpano podczas rewolucji 1918 roku (Chodzi o „rewolucję astrów”, która doprowadziła do detronizacji Habsburgów i ustanowienia republiki.) - później opowiadała, że bohater jej wielkiej miłości odszedł, a jego niegodny następca ją okradł. Emerenc

nigdy się nie dowiedziała, że doszła do tego samego wniosku co kapitan Butler z Przemineło z wiatrem: podobnie jak ten bezwzględny powieściowy bohater, ona też nie życzyła sobie więcej wystawiać dla kogokolwiek serca na próbę. Po drugiej wojnie otworzyły się przed nią bezkresne horyzonty, mogła była z nich zaczerpnąć, ile by chciała, miała dobry, trzeźwy, analityczny umysł, ale nie miała ochoty ani się kształcić, ani wybijać, nie miała też zamiaru robić czegokolwiek na rozkaz czy w ramach kampanii, nawet dla dobra ogółu, ona sama decydowała, w jakiej i czyjej sprawie wkroczy do akcji, pozostała w kręgu zupy dla chorych i pstrych kotów. Nie czytała gazet, nie słuchała wiadomości, nie dopuszczała do swojego świata słowa „polityka” i jeśli już przypadkowo mówiła: Węgry, to nie miało to w jej ustach żadnego łzawego ani nawet świadomego wydźwięku.

Emerenc była jedynym mieszkańcem jednoosobowego mocarstwa, bardziej suwerennym niż papież, jej postawa, doskonała obojętność wobec życia publicznego, doprowadzała niekiedy między nami do ostrych starć; gdybyśmy urządziły te sceny przy świadkach, musiałyby na nich robić wrażenie kabaretowych skeczów, ja, z moimi przodkami pamiętającymi czasy Arpadów (Arpadowie - pierwsza wielka węgierska dynastia, wywodząca się od legendarnego wodza Arpada (IX w.)), niemal płacząc z wściekłości, próbowałam przekonać Emerenc o tym, co znaczył dla naszej ojczyzny rozwój, który rozpoczął się po wojnie, co reforma rolna, co nieograniczone możliwości otwierające się przed klasą robotniczą - w końcu nie moją klasą, tylko jej. Emerenc odpowiadała, że zna chłopską mentalność, przecież jej rodzina to chłopci, a im całkiem wszystko jedno, kto kupi jajka czy śmietankę, byle się mogli bogacić, zaś robotnicy walczą o swoje prawa, póki sami nie staną się panami, jej masy proletariackie - nie użyła tego określenia, tylko opisała zjawisko - nie interesują, szczególnie

zaś nienawidzi zakłamanych darmozjadów. Ksiądz kłamie, lekarz jest niedouczony i łasy na forszę, adwokatowi wszystko jedno, kogo reprezentuje, mordercę czy ofiarę, inżynier już z góry kalkuluje w ten sposób, żeby wygospodarować materiał na własny dom, wielkie przedsiębiorstwa, fabryki, zakłady naukowe to szajki przestępców. Wrzeszczałyśmy na siebie, ja, niczym Robespierre, byłam za władzą ludową, choć właśnie w tych latach próbowano mi uniemożliwić pracę i wygnać wraz z już niebędącym w stanie pracować mężem do wyznaczonego nam getta, w nadziei że może wreszcie zdecyduję się stąd odejść, albo z życia, albo jedynie z kraju, tylko że mnie trzymała na nogach nienawiść, która zawsze wiedziała, że prześladowcę obchodzi tylko jego własna, nędzna kariera, kraj miota się w porodowych skurczach i nie jest winien, że postawiono przy jego łożu tak nikczemne akuszerki, ani że oddano władzę w ręce tak brudne, że za czasów świętego Władysława odcięto by je toporem, bo są gorsze od rąk złodziei, na dziesiątki lat zagarnęły kredyt zaufania narodu.

Emerenc, przed którą mimo podeszłego wieku otwierały się wielkie możliwości, przynajmniej w okresie przemian, ironicznymi uwagami kwitowała kolejne historyczne transformacje i mówiła agitatorom ludowym w oczy, żeby jej o niczym nie deklamowali, bo kazania są dobre w kościele, ją jako dziecko zagnali do garów i nikt nie pytał, czy podoła, w wieku trzynastu lat służyła już w Peszcie, więc niech gość grzecznie idzie sobie, skąd przyszedł, a już zwłaszcza z jej sieni, bo ona żyje z pracy rąk, a nie z gadania jak agitator i nie ma czasu na wysłuchiwanie bzdur. Naprawdę chyba tylko cudem jej nie internowano, gdy nadeszły czasy niepokoju, w jej pogardzie zwracającej się przeciwko wszystkiemu było coś groteskowego. Agitatorzy ludowi musieli przeżywać straszne chwile, kiedy Emerenc zapoznała ich ze swoją filozofią



państwa, w jej oczach Horthy (Miklos Horthy - regent Węgier w latach 1920 - 1944, przez komunistyczną propagandę przedstawiany jako faszysta i wróg narodu.), Hitler, Rakosi (Matyas Rakosi - węgierski komunista, sekretarz generalny, a potem pierwszy sekretarz Węgierskiej Partii Robotniczej [Magyar Dolgozók Partja] w okresie stalinowskim.) i Karol IV byli tacy sami, jasne, że kto ma władzę, rozkazuje, i zawsze coś nieuchwytnego kryje się w imieniu kogoś, kto komukolwiek i kiedykolwiek może cokolwiek rozkazywać. Ten, kto był na szczycie, niezależnie od tego pod jakim znakiem, nawet jeśli znalazł się na tym szczycie w interesie Emerenc, musiał być ciemieżcą, wszyscy oni byli tacy sami. Świat Emerenc rozróżniał dwie kategorie ludzi: zamiatających i niezamiatających, ten zaś, kto nie zamiata, jest do wszystkiego zdolny i całkiem obojętne, wśród jakich haseł i sztandarów obchodzi święta narodowe. Nie było siły, która mogłaby złamać Emerenc, agitatorzy ludowi, przerażeni, znikli z jej otoczenia, Emerenc była nie do pokonania, nie można się z nią było ani skumać, ani zaprzyjaźnić, ani nawet pogadać, była odważna, cudownie, niegodziwie mądra i wyjątkowo bezczelna. Nikt nie potrafił jej przekonać, że gdyby przyjąć jej niedorzeczny podział i uzależniać honor od zamiatania bądź niezamiatania, to wyłącznie ona sama miałaby wpływ na to, czy chce znaleźć się wśród tych, którzy nie zamiatają, lecz każą zamiatać, bo po czterdziestym piątym państwo dało jej szansę. Gdy nie miała już innej karty do przebiccia, wyciągała ostatni atut i zgrywała biedną staruszkę, która ma już za sobą wszystkie ziemskie sprawy, marzycielsko spogląda przed siebie i dla której już na wszystko za późno. „Gdzież tam za późno - próbował młody agitator. - Wszystkie drogi stoją przed wami otworem, przecież pochodzicie z chłopów, gdzież tam byłoby za późno, wyślą was na naukę, zbadają wasze zapewne niecodzienne zdolności i wkrótce

wszystko nadrobicie, zdacie maturę, możecie jeszcze stać się wykształconą osobą". Wykształconą? To była woda na młyn antyinteligencji Emerenc, bo o ile natychmiast rzucała się w oczy niezwykłość jej umysłu, to ona sama wszystkich informowała o swoim wstępie do liter, a była wielkiego formatu mówcą, z krwi i kości.

Ledwie umiała czytać, pisać z wielkim trudem, z podstawowych działań arytmetycznych pozostały jej tylko dwa, dodawanie i odejmowanie, natomiast jej pamięć działała jak komputer. Cokolwiek by to było, o czym informował napływający przez okna głos radia czy telewizji, jeśli miało wydźwięk pozytywny - ganiła, jeśli negatywny - chwaliła, nie miała pojęcia, w jakiej części świata leży dane państwo, ale bezbłędnie powtarzała mi, co usłyszała w wiadomościach o jego rządzie, wyliczała nazwiska węgierskich i zagranicznych mężów stanu zawsze z komentarzem: „Oni chcą pokoju. Wierzy im pani? Ja nie, bo kto wtedy będzie kupował broń, i jakie będą mieli prawo wieszać i grabić, a poza tym, skoro nigdy dotąd nie było światowego pokoju, to dlaczego teraz miałyby być?". Liczne działaczki ruchu kobiet traciły humor, gdy chciały ją zaprosić na zebranie i wyrwać z nieprzyjaznego braku zainteresowania, mąż zaufania ulicy i radny uważali ją za klęskę żywiołową i to ich zdanie podzielał pastor: Emerenc była jak Mefisto, wszystko negowała. Powiedziałam jej kiedyś, że gdyby nie walczyła tak wytrwale z szansą własnego szczęścia, byłaby pierwszą kobietą ambasadorem, premierem lub czy ja wiem kim, ma więcej rozumu i inteligencji niż Akademia Nauk. „Dobrze - rzekła Emerenc. - Szkoda, że nie wiem, co robi ambasador. Ja nie chcę już niczego poza kryptą, dajcie mi spokój, nie pouczajcie mnie, dość wiem, obym wiedziała mniej. Niech sobie wezmą ten kraj, który według pani jest pełen możliwości, ci, którzy jeszcze sobie czegoś od

niego życzą, ja już nie potrzebuję nikogo ani niczego i niech pani to wreszcie zrozumie".

Naprawdę nie był jej potrzebny kraj, nie pragnęła przejść na stronę szefów zamiataczy, niczego się nie domagała i nawet nie zdawała sobie sprawy, że także przez swą ustawiczną negację wciąż politykuje. Jeśli robiła to również za Horthy'ego, dobrze się musieli bawić jej ówcześni pracodawcy, syn brata Józsięgo zdradził mi, że przesiedziała wtedy parę dni za wygłaszanie podżegających tekstów. Paskudny obraz musiały przedstawiać poszczególne okresy życia Emerenc; kiedy zaczynała przemawiać, lepiej było od niej zmykać, zmykał więc każdy, kto słyszał, jak komentuje lot Gagarina czy psa Łajki. Kiedy usłyszeliśmy bicie serca Łajki, zaczęła przeklinać, że to dręczenie zwierząt, później zaś pocieszała się tym, że nadawali tykanie zegara, bo akurat by im rozumny pies wszedł do kuli czy czegoś tam, żeby się uganiać po niebie, kto w to uwierzy, natomiast jeśli chodzi o Gagarina, miała złe przeczucia, nie wolno wyprawiać takich rzeczy, bo Bóg na ogół nie słucha, gdy się Go o coś prosi, ale zawsze ześle nam to coś, czego się obawiamy. Skoro zatem ona policzyłaby się z sąsiadem, który by jej zdeptał kwiaty na grządkach, to i Bóg policzy się z tym intruzem, nie po to istnieją ciała niebieskie, żeby się ktoś wśród nich włóczył. W dzień śmierci Gagarina, kiedy musiała zauważyć reakcję wstrząśniętego i przerażonego świata, uciekła od Emerenc nawet beznadziejnie głupia Adelka, bo tamta, wymachując w sieni rękami, wyjaśniała, że Bóg nie znosi, gdy wkracza się w jego kompetencje, i ona to przepowiedziała. Wyraziła to innymi słowami, ale taki był ich sens. Była jedyną ludzką istotą na całej kuli ziemskiej, która nie żałowała przeistoczonego w gwiazdę młodego mężczyzny i podobnie nie było jej żal Kennedy'ego czy Martina Luthera Kinga, Emerenc bez współczucia i bezstronnie obserwowała obie

półkule i głosiła, że także w Ameryce są zamiatacze i ich rozkazodawcy, Kennedy też był rozkazodawcą zamiataczy, Murzyn zaś, który nie pokazywał się w cyrku, tylko wciąż występował na wiecach i jeździł po kraju, był głównym rozkazodawcą, zresztą każdemu kiedyś należy się śmierć, a jak przyjdzie na niego pora, to zaraz płaczą. Później, kiedy czasami spotykaliśmy się przy grobie Emerenc z synem brata Józsiego i zamienialiśmy parę zdań na temat jej niepodlegającego żadnym zewnętrznym wpływom światopoglądu, młody mężczyzna bezradnie rozkładał ręce, uważał, że dla jego ciotki pokój nastął za późno; jego ojciec miał trzeźwe osądy, on jeszcze dobrze pamiętał dawne trudne lata, był zadowolony i postępowy, natomiast w życiu jego ciotki wciąż następowały wybuchy o ujemnym ładunku. Na pewno zauważyłam, że ten jej sprzeciw był specyficzny, niemal bezprzedmiotowy, skierowany tak samo przeciwko Franciszkowi Józefowi, jak i każdemu innemu, kto miał wpływ, choćby nawet pozytywny, na historię tego kraju. Nie pisałam ani słowa o synu adwokata, choć wydawało mi się, że rozwiązanie tego wszystkiego łączy się z jego osobą, potem wreszcie podpułkownik wykoncypował, że Emerenc prawdopodobnie nienawidziła władzy, w czyichkolwiek rękach się ona znajdowała, i gdyby kiedykolwiek znalazł się taki człowiek, któremu udałoby się rozwiązać wszystkie problemy pięciu kontynentów, to również do jego działalności podeszłaby z wrogością, już choćby dlatego, że zwyciężył. W jej świadomości wszystkich można było sprowadzić do wspólnego mianownika: Boga, wójta, funkcjonariusza partii, kata, króla, przewodniczącego ONZ, a jeśli nawet w drodze wyjątku decydowała się na solidarność z kimś, jej współczucie było uniwersalne, dostawało się nie tylko temu, kto zasługiwał. Każdemu. Komukolwiek. Nawet zbrodniarzowi.

O tym najwięcej ja mogłabym powiedzieć, bo w mojej obecności Emerenc niekiedy stawiała się wymowna, ale nie byłam głupia, tego by jeszcze brakowało, bym rozgłaszała jej opowieści. Pewnego razu zbierała mokrą szmatą z dywanu sierść, bo Viola liniał. Klęczała przede mną, słyszałam znad maszyny, jak peroruje. „Boże słodki - mówiła Emerenc do mokrej szmaty. - Ukrywałam Niemca, bo wisiała mu noga, to znaczy ten kawałek nogi, który mu został po tym, jak oberwał z broni maszynowej, pomyślałam sobie, że jak go znajdą, to zabiją, później schowałam razem z nim także Ruskiego, tylko się na siebie gapili w zamkniętej piwnicy. Czegoś takiego jeszcze pani nie widziała i nie zobaczy, a jak się pani wygada, to się z panią policzę. Kiedy się wprowadziłam do willi, jeszcze nikt tam nie mieszkał, tylko sparaliżowany staruszek, pan Szłoka, którego później pochowałam, właściciele uciekli już wtedy do Szwajcarii, a z innych lokatorów żaden się jeszcze nie napatoczył. Obeszłam cały dom od piwnicy po strych i zobaczyłam, że na dole można odgrodzić kawałeczek miejsca, jeśli się odpowiednio poukłada drewno na opał, i że na samym końcu są tam drzwiczki do pomieszczenia bez okna, no więc narzucałam byle jak tego drewna przed drzwi i ukrywałam tam każdego, kto potrzebował. Może sobie pani wyobrazić, jakie oni obaj mieli miny, kiedy przyprowadziłam Ruskiego, musiał mieć chyba przestrelone płuco, bo pluł krwawą pianą, coś tam do siebie gadali, chociaż jeden drugiego nie rozumiał, a ich broń schowałam i mam ją do dziś, nie żeby warto jej było używać, jest za głośna, ale umiałabym się nią posłużyć, bo mój gospodarz, oficer, był zapalonym myśliwym. Zanim się zdążyli lepiej zaprzyjaźnić, obaj umarli, i musiałam ich nocą wyciągnąć przed dom, do dziś nikt na ulicy nie rozumie, jak oni mogli tak spokojnie leżeć jeden obok drugiego. W tym samym miejscu ukryłam też pana Brodaricsa; Rakosi kazał go szukać, ale gdzież ja bym go

wydała, mogli mnie prosić, on zawsze nosił kask przy wierceniach, a jak wracał, to ledwie mógł odmyć naftę z rąk. Szpieg, guzik tam szpieg, ten, kto to o nim mówił, sam był szpiegiem, akurat bym pozwoliła, żeby go zabrali i żeby osierocił żonę, która całymi dniami tylko szorowała i sprzątała, zresztą pan Brodarics potrafił uszanować człowieka, kiedy rozpalałam w kotle, nieraz przy mnie przykucnął i nauczył mnie, jak można oszczędzać węgiel, od niego znam tajemnicę ognia, bo wszystko ma swoją tajemnicę, nawet ogień.

Przychodzą ludzie Rakosiego, otwieram bramę, szukają, jego tu nie ma, mówię, już go inni o świcie zabrali, ale niech go odnajdą, bo mnie też jest winien pieniądze. No więc pan Brodarics wszystko u mnie przeczekał, później kryjówka była przez pewien czas pusta, a jeszcze później wpakowałam tam awosza (Awosz - słowo utworzone od skrótu AVH, oznaczające funkcjonariusza węgierskiej służby bezpieczeństwa [Allatmedelmi Hatóság] w czasach stalinowskich.), który ranny upadł w ogrodzie, to był porządny awosz, znałam go, byłoby mi go żal, przed laty, kiedy miałam złamaną rękę, przyszedł do mnie i założył mi suszarkę, czemu nie miałabym go ukryć. Ale za tego drugiego, którego przyjąłem później, już nie włożyłabym ręki w ogień, choć i jego parę dni przetrzymałam, bo był wynędzniały jak nieszczęście i wyglądał jak pies, kiedy już ma kij nad głową.

Milczałam, nie zrobiłam żadnej uwagi. Święta Emerenc z Csabadul, opętana bezkrytyczną litością, która wszystkich ratuje, bo jeśli kogoś prześladowają, to trzeba go ratować, tak samo Grossmannów, jak i ich prześladowców, na jej sztandarze widnieje po jednej stronie suszarka, po drugiej kask pana Brodaricsa. Tej staruszce brak nie tylko świadomości narodowej, ale jakiegokolwiek świadomości, jej jasny umysł świta, ale zza mgły. „Niech pani powie - poprosiłam ją kiedyś.

- Czy tylko ratować pani lubiła, czy także kiedyś pani kogoś zadenuncjowała?" Spojrzała na mnie nienawistnie: za kogo ją uważam? Nie doniosła nawet na fryzjera, choć ją oszukał, ograbił ze wszystkiego i nawet sny miał kłamliwe, nic nie powiedziała, kiedy ją porzucił i ulotnił się z łupem, skoro potrzebował, to niech mu tam, od tamtej pory, gdy zbliżał się do niej jakiś mężczyzna, zawsze miała wrażenie, że to wykapany fryzjer, a ona nie daruje jeszcze raz tego, czego się dorobiła, a już zwłaszcza pieniędzy. Zaplanowała sobie przyszłość, ale nie ma w niej fryzjerów, Kennedych ani psów w kosmosie, tylko ona i ci zmarli, których do siebie dopuszcza. Nagle cisnęła, co miała w ręku, i pobiegła, przypomniała sobie bowiem, że miała wykupić lekarstwo dla chorego, jeszcze tylko zapytała, czy może i dla mnie ma coś kupić. Patrzyłam za nią, zastanawiałam się, dlaczego mnie polubiła, skoro tyle nas różni, nie mogłam pojąć, co jej się we mnie podoba. Wspominałam już, że byłam wtedy młoda, nie analizowałam do końca, jakim to nielogicznym, nieobliczalnym uczuciem jest miłość, a przecież znałam literaturę grecką, która nie przedstawiała nic innego, jak wspólną siekierę połyskującą w splecionych dłoniach namiętności, śmierci i miłości.

## Nadori - Csabadul

Prawie nigdy nie wspominała o tej wsi, gdzie przyszła na świat, położonej nieopodal miejsca moich narodzin. Ja wciąż narzekałam na tutejszą wodę i powietrze; wczesną wiosną, kiedy wszędzie leżały jeszcze łaty śniegu, ale rozmiękła ziemia zaczynała już parować, ogarniała mnie nostalgia i chciałam jechać do domu, Emerenc nigdy nie asystowała przy tych moich wybuchach, choć ona także odbierała wonie zapowiadające wiosnę i ledwie widoczne zielone migotanie wśród gałęzi, które nie jest ani welonem, ani pąkami, ani tym bardziej liśćmi, a jednak sygnalizuje, że ruszyła w polu praca, a w domu, w naszych stronach, w wiosennym załamaniu nowo narodzonego blasku pryzmat wciąż jeszcze ukazuje tę dawną dziewczynkę, która tam skakała i tańczyła beztrąsko i bezmyślnie, dziewczynkę, którą byłam ja, którą była ona. Pewnego takiego dnia pod koniec lutego zaprosiła mnie telefonicznie do Csabadul tamtejsza bibliotekarka, natychmiast pobiegłam do Emerenc i zapytałam, czy ze mną pojedzie, jeśli przyjmę zaproszenie. Nie musi mnie słuchać, niech mi tylko towarzyszy, a podczas odczytu może iść na cmentarz albo odwiedzić rodzinę. Odeszła, nic nie odpowiadając, uznałam więc za pewnik, że odmawia, jednak na wszelki wypadek przyjąłam zaproszenie. Od wyznaczonej daty dzieliło nas osiem, tygodni, po dobrym miesiącu Emerenc wspomniała o wyjeździe. Zapytała, czy trzeba tam będzie przenocować, bo o tym nie może być mowy, ale gdybyśmy pojechały rano i wróciły wieczorem, to chyba pisze się na ten wyjazd. Sutu obiecała pozamiatać chodniki, Adelka zająć się śmietnikami, więc pojedzie, jeśli ją zabiorę. Niecodzienna decyzja tchnęła w jej zawsze bladą twarz odrobinę koloru, poprosiła, żebym, gdy już będziemy w Csabadul, nie mówiła nikomu, jaki jest charakter naszej znajomości. Rozzłościła mnie tą prośbą, a któż ją traktuje jak



służącą?, zapytałam, czy będzie zadowolona, jeśli ją przedstawię jako kuzynkę mojego męża, bo jako własną nie mogę, zaprzeczy temu jej rodzina, ale przecież może ją łączyć jakieś pokrewieństwo z nieznanym peszteńczykiem. Nigdy nie spojrzała na mnie z tak ironiczną pogardą jak wtedy. „Gospodarz byłby zachwycony - rzekła sucho. - Niech się pani nie fatyguje, byłam tylko ciekawa, czy się pani zgodzi, no i zgodziła się pani. Jasne, bo z pani patentowana oślica i nie ma pani do niczego wyczucia. Sądzi pani, że oni tam, na wsi, wyobrażają mnie sobie na tronie? Już w dzieciństwie oddali mnie do służby, moja rodzina to nie marzyciele. Powiem im, że jestem dozorczynią, to też stanowisko". Wtedy byłam już na nią wściekła, miotałam się w złości, jeśli o mnie chodzi, może powiedzieć, co chce, że jest hyclem albo wyprawia psie skóry, nie ma człowieka, który by nie docenił, że utrzymuje w porządku paropiętrowy dom i poza tym jeszcze inne domy, a także prowadzi nam gospodarstwo; zwłaszcza za to ostatnie ją docenię, bo - czy ona wierzy w to, czy nie - Csabadul zaprosiło mnie właśnie za to, co ona lekceważy, za to, co piszę, i są jeszcze ludzie, właśnie w miejscu, gdzie się urodziła, którzy nie uważają pisarza za darmożjadę i nie plują jak ona na Aranya czy Petofiego. Nie odpowiedziała i więcej nie mówiła o wyjeździe, do ostatniego dnia nie wiedziałam, czy pojedzie, ale jej nie wypytywałam, bałam się, że jeśli zacznę nalegać, zostanie w domu.

Żyliśmy przed odczytem jak zwykle, Emerenc odkurzała regały, odbierała pocztę, słuchała, gdy mówiłam w radio, ale nie komentowała; nie interesowało jej. Przyjmowała do wiadomości, że od czasu do czasu biegniemy na konferencję, odczyt w jakimś towarzystwie literackim czy pozarozkładową lekcję węgierskiego w jakiejś szkole, widziała na książkach nasze nazwiska i po odkurzeniu odstawiała tomiki na miejsce, jak świecznik czy pudełko zapalek, były jej obojętne, były

wybaczalną ułomnością, jak łakomstwo czy alkoholizm. Z jakąś dziecinną ambicją chciałam ją jednak pozyskać dla nieodpartego według mnie uroku klasycznej literatury węgierskiej i pewnego razu zadeklamowałam jej Kurę mojej matki (Wiersz Sandora Petofiego (1823 - 1849) [przyp. red. wydania PIW].), pomyślałam bowiem, że ten wiersz może być jej bliski, przecież lubi zwierzęta. Ręka ze ścierką znieruchomiała, Emerenc popatrzyła na mnie i roześmiała się zgrzytliwie. Oznajmiła, że znam nieprawdopodobne teksty. „Co to znaczy »waszeć«? Nikt tak nie mówi”. Dławiąc się z irytacji, wyszłam z pokoju.

Na wycieczkę jednak ze mną nie pojechała. Nikt nie był temu winien. Tego dnia wezwano Sutu do rady w sprawie koncesji na budkę i w wigilię wyjazdu wieczorem przybiegła do Emerenc, by ją zawiadomić, że nic na to nie poradzi i bardzo jej przykro, ale nie może jej zastąpić, bo nie wiadomo, kiedy przyjdzie na nią kolej, i ile czasu ją przetrzymają, jak już wejdzie. Trudno sobie wyobrazić brutalność sceny, która się między nimi rozegrała. Zniewagi Emerenc były tym gwałtowniejsze, im lepiej rozumiała niewinność Sutu, przecież i jej nieraz się przydarzyło, że to, co zaplanowała na tę czy inną porę dnia, brało w łeb, bo ktoś gdzieś zarządził inaczej. Wiedziała, że Sutu jest taką samą niewolnicą jak my wszyscy i że skoro ją wzywają, nie może powiedzieć, że ma co innego do roboty, więc ani kłótnia, ani obelgi nie miały najmniejszego sensu, ale Emerenc nie potrafiła się pohamować. Sutu wycofała się niczym Koriolan. Dużo wody upłynęło w Dunaju, zanim ich stosunki stały się na powrót dobre. Przed moim wyjazdem Emerenc o świcie wyprowadziła zaspanego Violę, a nie jak zwykle rankiem, później już mnie nie odstępowała, kiedy się szykowałam, wszystkiemu miała coś do zarzucenia, moim włosom, ubraniu, a mnie rozsadzały nerwy, że tak się do wszystkiego wtrąca i

komenderuje mną, jakbym się wybierała na dworski bal. Nie była w Csabadul, powiedziała, zmagając się z moimi włosami, od czterdziestego piątego, a i wtedy tylko wpadała tam - jeśli akurat jeździły pociągi - i wymieniała to i owo na żywność, za to w czterdziestym czwartym spędziła u swojej rodziny tydzień, nie za dobrze się bawiła, no, ale jej rodzina nie składała się wtedy z wesołków, dziadek był zawsze straszliwym tyranem, a reszta krewnych ze strony matki też się denerwowała przez ten cyrk. Cyrk w słowniku Emerenc zawsze oznaczał narodowy kataklizm, w tym przypadku drugą wojnę światową, każdą taką sytuację, kiedy kobiety stają się nerwowe, chciwe i głupie, mężczyźni zaś awanturują się i walczą na noże, oczywiście w historycznej scenerii. Gdyby to zależało od Emerenc, zamknęłaby w piwnicy marcową młodzież (Chodzi o członków ówczesnej literackiej bohemy gromadzących się w kawiarni Pilvax, będących zarzewiem powstania w marcu 1848 roku.) i pouczyła ją, że nie ma literatury ani wznoszenia okrzyków, niech sobie znajdą jakąś pożyteczną działalność i żeby już nie słyszała rewolucyjnych tekstów, bo ich wszystkich urządzi, jazda z kawiarni, niech się wezmą za rolnictwo czy jakieś rzemiosło.

Zlecenie dała mi dopiero wtedy, kiedy ujrzała skręcający samochód z wydziału kultury z napisem: Nadori - Csabadul. Wtedy powiedziała, żeby, gdy już tam będę, zobaczyła, w jakim stanie znajdują się rodzinne groby, i jeśli to możliwe, także stary dom, w którym przyszła na świat, chciałaby też, bym, jeśli zdążę, odwiedziła stację kolejową w Csabadul i przespacerowała się po rampie. Ta rampa jest ważna. Gdybym spotkała jej krewnych - muszą tam być, bo korespondują z synem brata Józsiego, nie Szeredasowie, bo tych już nie ma, tylko Divekowie ze strony matki - nie ma im nic do przekazania, ja też mam za dużo nie gadać, a jeśli zapytają, powiedzieć prawdę, że żyje i ma się dobrze. Niczego nie

obiecałam, skąd mogłam wiedzieć, na co mi starczy czasu, takie spotkania są uzależnione nie tylko od warunków jazdy, lecz także od miejscowych wydarzeń, prawie nigdy nie zaczynam o tej godzinie, na którą mnie zapraszają, bo trzeba czekać na audytorium, jeśli zaś bibliotekarka ugotowała obiad, byłoby nietaktem pytać o cmentarz, ale zrobię, co będę mogła. Samochód przyjechał po mnie znacznie wcześniej, niż było umówione, może, jak się bardzo postaram, zdążę wypełnić te wszystkie polecenia.

W ostatniej chwili pojawiła się na ulicy Sutu, otworzyła słowny ogień zaporowy, wykpiwała Emerenc, że zostaje w domu, choć zmieniła antabę na drzwiach, już ona wie, dlaczego Emerenc nawet jej, Sutu, nie ufa i myślała, że tego dnia, kiedy wszyscy będą wiedzieli, że ze mną pojechała, ktoś się do niej włamie. No a któż mógłby się włamać, jeśli nie ona, Sutu, która zgodziłaby się nawet zająć psem. „Żebyś zdechła!” - powiedziała zimno Emerenc, Sutu oniemiała, ale nie ruszyła się z miejsca, przekleństwo było niespodziewane i równie niesprawiedliwe, jak jej własne podejrzania, jeszcze z samochodu widziałam je stojące obok siebie, Sutu z przekrzywioną głową gapiała się na Emerenc, jakby w walce karate cios staruszki trafił ją w takie miejsce, że już nigdy nie zdoła się poruszyć. Zawołałam do Emerenc, że będę się spieszyła do domu, chciałabym wrócić przed północą, ale możliwe, że nie starczy mi już siły, żeby do niej wpaść, bo będę tak zmęczona, że nawet na rozmowę zabraknie mi energii. „Zmęczona? Czym? Zmęczą to się ci wszyscy biedacy, którym każą pani słuchać, bo kiedy ich zapędzą do domu kultury, będą już mieli za sobą karmienie, dojenie, zmianę ściółki i pięć milionów spraw, o których pani nie ma pojęcia, bo pani tylko siedzi i gada bez sensu”. Gdzieżbym tam jej tłumaczyła, ile mnie energii kosztuje, gdy przez kilka godzin muszę się koncentrować w dusznej sali, gdzie nawet w

upalne dni zamyka się okna z powodu hałasów na zewnątrz. Poprosiłam kierowcę, by ruszył. Byłam trochę zawiedziona, spodziewałam się, że Emerenc w drodze wyjątku nie będzie się mnie czepiać, tylko o coś poprosi, powiedzmy, o gałązkę z żywopłotu rosnącego przy dawnym domu albo czy ja wiem o co, ilekroć jadę w swoje rodzinne strony, zawsze przywożę dwukilogramowy bochen chleba, ona jednak o nic nie poprosiła. Kiedy ruszyliśmy, Viola szczerknął leniwie, jakby mnie uspokajał, że rozłąka nie potrwa wiecznie i że oboje wytrzymamy do wieczora.

Mieliśmy dobrą drogę, nigdzie się nie zatrzymywaliśmy. Przyzwyczaiałam się nic nie jeść w samochodzie, prawie zawsze częstują mnie w bibliotekach i gdybym odmówiła, byłaby obraza. Nadori było ładną wsią i nawet nie musiałam pytać o cmentarz, bo zaczynał się zaraz za tablicą obwieszczającą początek wsi. Ze starych, zapadniętych grobów napływała woń polnych kwiatów i szalwii. Zatrzymaliśmy się, weszłam, nieznajoma kobieta podlewała pod płotem kwiaty. Była dość stara, by znać ze słyszenia nazwiska Szeredas lub Divek, ale ona stąd nie pochodziła, tylko tu wyszła za męża i nic nie wiedziała o rodzinie cieśli. Na cmentarzu całkiem widocznie już nikogo nie chowano, kto obracał się tu w proch, czynił to przeważnie w nieoznaczonej już mogile, bo powywożono, rozkradziono większość nagrobków i krzyży, lub, jeśli zmarły był kimś ważnym, rodzina go stąd ekshumowała. Mało było tak wypielegnowanych grobów jak ten, wokół którego krzątała się stara kobieta, może ze dwadzieścia, przeszłam kawałek wśród zajęczych nor i kretowisk i sprawiło mi to przyjemność, latem jest w opuszczonych wiejskich cmentarzach jakaś wcale nie pesymistyczna siła przyciągania, przechadzałam się więc pomiędzy zarośniętymi zielskiem starymi grobami, ale tam, gdzie można było jeszcze odczytać jakiś wyblakły napis, nie

było nazwisk, których szukałam. Za to w Csabadul od razu mi się poszczęściło, bo kiedy wysiadłam na rynku z samochodu, na szyldzie dokładnie na wprost mnie zobaczyłam wypisane na czerwono panińskie nazwisko matki Emerenc: „Csaba Divek, zegarki tradycyjne i kwarcowe. Ildiko Kapros Divekowa, modna biżuteria”. W sklepie zastałam młode małżeństwo i jeśli sobie wyobrażałam, że moja wizyta i wiadomości od peszteńskiej krewniaczki (o ile oczywiście znajdowałam się we właściwym miejscu i młodzi byli spokrewnieni ze świętej pamięci Józsefową Szeredas z domu Rozalią Divek) wywołają sensację, to się pomyliłam. Wiedzieli o istnieniu Emerenc, choć nigdy jej nie poznali, i zegarmistrz poprosił, bym bezwzględnie odwiedziła jego chrzestną, która jest z domu Divek i dorastała razem z peszteńską kuzynką, chrzestna na pewno ucieszyłaby się z mojej wizyty, a zwłaszcza z tego, że po tylu latach mogłaby się wreszcie dowiedzieć, co się stało z córką Emerenc, której nie widziała, odkąd matka zabrała ją z powrotem do stolicy.

Teraz ja musiałam bardzo uważać, by się nie wydało, że moje informacje są niekompletne i właśnie po raz pierwszy słyszę o tym, że Emerenc miała dziecko. Na moje ostrożne pytania przywołali wspomnienia, które oni znali już tylko z opowiadań starszego pokolenia, a mianowicie, że Emerenc w ostatnim roku wojny zjawiała się z dziewczynką na rękę i że miała prawie rok mieszkała u pradziadka. O rodzinnych grobach nic nie wiedzieli, ale chrzestna zegarmistrza na pewno wszystko pamięta. Ze sklepu udałam się do biblioteki, miałam mnóstwo czasu nie tylko do odczytu, ale także obiadu, bibliotekarka była uszczęśliwiona, że mam swoje plany, i ochoczo mnie odprowadziła. Chrzestna mieszkała we własnym domu i była podobna do Emerenc, tak samo chuda i wysoka, z tą samą godnością w ruchach, tylko że całkiem widocznie nawet na starość dobrze jej było w życiu. Przez

duże okna gustownie urządzonego i świadczącego o materialnej niezależności domu wpadał słoneczny blask; poczęstowała mnie ciasteczkami ułożonymi na tacy, którą wyjęła ze starego, pięknego kredensu, i powiedziała, że ten mebel robił jeszcze ojciec Emerenc, który, jak zapewne wiem, był nie tylko cieślą, lecz także stolarzem meblowym, sam dziadek kazał tu przenieść kredens, kiedy spółdzielnia produkcyjna przejęła warsztat na własne potrzeby. Ona też zaczęła wypytywać, co się stało z dzieckiem Emerenc, bo mała albo zaszła wysoko, albo źle skończyła, gdyż na przykład syn brata Józsiego nigdy jej nie widział. Ich dziadek był trudnym człowiekiem, opowiadała, podczas gdy jadłyśmy żółte ciastka, popijając je znajomym mi lekkim winem z Wielkiej Niziny Węgierskiej, nigdy nie zrozumiał, że niebezpiecznie jest posyłać dziewczynkę do pracy w Peszcie, i gdy Emerenc zjawiła się z dzieckiem, myślano, że ją zatłucze, i pewnie by to zrobił, gdyby nie był akurat po wylewie. Dziś, rzecz jasna, inaczej się na to patrzy, i rodzina, jeśli się nawet nie cieszy, nie okazuje tego, chyba zauważyłam, że zarówno władze, jak i społeczeństwo chronią matki. Wtedy mieli prawo wypytywać, kto jest ojcem dziecka, ale Emerenc nic nie powiedziała, nie przywiozła nawet papierów małej i gdyby dziadek nie był tu tak szanowany, i nie dawał wójtowi tego i owego, mogliby mieć kłopoty, ale wójt załatwił, co trzeba, znalazły się dla małej jakieś dokumenty zamiast tych zapomnianych w Peszcie, a ponieważ ojciec był nieznany, nazwano ją Divekówną. W końcu stary przywiązał się do niej bardziej niż do wnuków z prawego łóża, bo dziewczynka, która nie miała tam ani matki, ani nikogo, pokochała go, wdrapywała mu się na kolana, tuliła się do niego i stary Divek aż się rozplakał, kiedy Emerenc ją odebrała, do śmierci żałował, że ją oddał, taka była słodka. Nawiasem mówiąc, zawsze chętnie zobaczą Emerenc, samą czy z córką, która na

pewno już wyszła za męża, dziadek, niestety, podobnie jak jej biedny mąż, już umarł i ze wszystkich Diveków tylko oni tu pozostali, rozproszyła się rodzina.

Kuzynka była pełna dobrej woli, nawet w paraliżującym upale zaofiarowała się, że mnie zaprowadzi do grobów, stary i jej rodzice leżą tutaj, rodzina Emerenc w Nadori, na nieużywanym już cmentarzu. Mówiła to nieco ciszej, była zakłopotana, bo i nie było się czym chwalić, że dziadek - który od początku był przeciwny temu, by jego córka wyszła za Szeredasa, choć nikt nie wiedział dlaczego, bo cieśla, dopóki nie zabrała go śmierć, dobrze zarabiał, a ta straszliwa tragedia to już nie jego wina - nie przeniósł bliżej siebie prochów córki, zięcia czy bliźniąt. Ojczym Emerenc natomiast nie ma nawet grobu, na pewno mi opowiadała, że pochowano go w Galicji w zbiorowej mogile. W każdym razie, jeśli peszteńska kuzynka chciałaby przedsięwziąć jakieś kroki, niech z tym nie zwleka, w ubiegłym roku Nadori i Csabadul połączyły się pod względem prawnym w jeden organizm administracyjny i wkrótce zaorzą ten stary cmentarz, ona zresztą nie potrafi powiedzieć, gdzie, w którym grobie spoczywają Szeredasowie, bo nie była tam od dzieciństwa, ale możemy obejrzeć groby leżących tu Diveków i Koprów, ona jest z domu Divek, a jej mąż nazywał się Kopro. Ponieważ wciąż jeszcze miałam trochę czasu, obejrzałam gustowny obelisk, był z granitu i - jak należy - wyryto na nim nad imionami wody Babilonu, wierzby (Wierzba płacząca jest bardzo popularnym na Węgrzech motywem nagrobnym na kalwińskich cmentarzach.) i porozwieszane na ich gałęziach skrzypce. Kuzynka nawet mnie obdarowała, dała mi dwie fotografie, długo szukała, zanim znalazła je w jakiejś szufladzie: matka Emerenc była naprawdę ładną panną młodą, ale moje zaskoczenie wywołało nie to zdjęcie, lecz stara amatorska fotka o powycinanych w ząbki brzegach, na której



widać było Emerenc z dzieckiem na ręku, było złe oświetlenie i tylko dziewczynka wyszła ostro, głowę Emerenc już wtedy zakrywała chustka, ale jej odzienie było nieco bardziej pstrokate i niezbyt na nią pasowało, pewnie odziedziczyła je w jakimś miejscu pracy. Jej twarz nie zmieniła się w sposób istotny, tylko w oczach, zamiast złośliwości, miała pogodę. Wszyscy Divekowie i Koprowie przyszli na mój odczyt, choć pierwotnie zapewne nie mieli tego w planie, jednak wypadało im, skoro ich już odwiedziłam. Na spotkaniu było mało ludzi, jak rzadko, obecni słuchali mnie bez zainteresowania, wszystkim było gorąco, a ja wygłaszając swój sto razy powtarzany tekst, zastanawiałam się, gdzie mogło się podziąć to dziecko z fotografii.

Przed odjazdem nie zapomniałam poprosić bibliotekarki, byśmy zahaczyli o stację kolejową. Jeśli nawet się zdziwiła, to tego nie okazała, przeszłam się więc po rampie, jak sobie tego życzyła Emerenc: była taka jak wszędzie, wysoka, z pasami betonu, zaniedbana. W drodze powrotnej kierowca zatrzymał wóz przed dawnym domem Emerenc w Nadori, okazało się, że do dziś tak się go nazywa: dom Szeredasów. Dobrze go widziałam w zapadającym właśnie zmierzchu, był to jeden z tych nierealnych letnich wieczorów, kiedy słońce nie chowa powoli swych promieni, lecz po prostu nagle znika, a za szarością żarzą się rozmaite smugi, pomarańczowa, niebieska, fioletowa. Obejrzeliśmy całe to miejsce i było takie jak w opowiadaniu Emerenc, tak samo wyglądał budynek od frontu i z boku, Emerenc nic nie powiększyła i nic nie zmniejszyła, a co najdziwniejsze, znakomicie pamiętała proporcje, nie wyśniła baśniowego pałacu w miejsce swego dawnego, pięknego domu, takiego, jakim wybudował go József Szeredas. W miejscu dawnego warsztatu teraz też był warsztat, ale stała w nim elektryczna piła, a uwiązane na łańcuchach duże psy rozszczękały się na mnie. Był też

ogródek, róże porozrastały się w drzewka, ktoś posadził przy platanach parę klonów, orzech się rozrósł, a na jego gałęzi kołysała się huśtawka i bawiły się pod nim dzieci. Nie zauważyłam klepiska, zamiast niego było tam pole kukurydzy zapowiadające obfite plony, stałam i patrzyłam na jej wojskowy ład i zastanawiałam się, jaka też może być pamięć ziemi, która kryje tyle krwi, trupów i pogrzebanych snów. Jak ta ziemia może rodzić, mając takie wspomnienia? A może właśnie dlatego rodzi? Kierownikiem zakładu był młody mężczyzna, zobaczył, że zatrzymuje się samochód, że wysiadam, i pomyślał, że przyjechałam po szczeniaka owczarka, bo miał je na zbyciu, ale powiedziałam mu, że mam już psa i chcę tylko popatrzeć na ten dom, bo mieszkała w nim niegdyś osoba będąca obecnie moją sąsiadką. Kiedy okazało się, że nie potrzebuję owczarka, od razu przestał się mną interesować. Wahałam się, czy nie poprosić go o różę ze starego drzewka dla Emerenc, w końcu jednak nie poprosiłam. Skąd mam wiedzieć, jaka jest sonda studni pamięci Emerenc, skoro do dziś nie powiedziała mi, że ma czy też przynajmniej miała dziecko. Tu, w miejscu, które niegdyś było, niepodważalnie, sceną jej życia, próbowałam nakreślić w swojej świadomości prawdziwe współrzędne jej bytu, ale nic mi z tego nie wyszło. Tu już nie miała domu, tam, gdzie była teraz, jeszcze go nie miała, a jeśli nawet miała, to zamknęła go przed światem. W ten wieczór, błękitniejący wśród świetlnych smug, które już utraciły blask i tylko podbarwiały zmierzch, oczywisty był tylko jeden fakt: dla Emerenc wieś się skończyła, przyjechała do miasta, które ją przyjęło, ona natomiast nie przyjęła miasta: jej przestrzeń życiowa kryła się za zamkniętymi drzwiami i byłaby postrzegalna jedynie wtedy, gdyby je kiedykolwiek otworzyła, ale nie miała zamiaru. Wróciłam do samochodu, nie zerwałam na pamiątkę nawet listka z krzaka, i wyruszyliśmy do Pesztu.

Wiedziałam, że nie będzie czekała w domu, jest na to za dumna, raczej nigdy się nie dowie, co jeszcze pozostało z jej dawnego życia, niż pokaże, że ją to obchodzi. Przywitałam się z mężem, który mnie poinformował, że zjedli z Violą znakomity, świąteczny obiad, potem poszłam do staruszki, z sieni wypadł mi na spotkanie pies, a Emerenc nawet nie wstała, odpoczywała na ławie. Poczekaj tylko, pomyślałam, zaraz wybuchnie bomba, chyba sobie zdajesz sprawę, że usłyszysz parę takich szczegółów, o których zapomniałaś mnie poinformować. Najpierw opowiedziałam o warsztacie zegarmistrzowskim, potem zapuściłam sondę głębiej, plotłam, w jakich to dobrych warunkach żyje jej kuzynka, i że dziadek musiał być naprawdę twardym człowiekiem, bo dlaczego ukarał zmarłych, i tak byli przecież dość nieszczęśliwi, dlaczego pozwolił zmarnieć grobom, to nieprzyzwoitość z jego strony. Emerenc patrzyła gdzieś daleko, jakby widziała w ciemności coś, co mnie nie dotyczy, a ja poczułam ogarniającą mnie falę wstydu, po co wdzieram się w sferę jej prywatnych spraw, czego się po niej spodziewam, wyznania? W ciągu tylu lat nie dopuściła mnie do siebie ani na centymetr bliżej, więc chyba nie wymagam, żeby zdała mi sprawę z pozamałżeńskiego dziecka, które w swoim czasie przysporzyło jej na pewno wielu kłopotów, sprowadziło na nią upokorzenie i nieuchronne troski. Czyja jestem zboczona? Sadystka? Miałam nadzieję, że będzie się chwaliła czymś takim, co według jej dawnego sposobu myślenia należało ukrywać? Emerenc odwróciła się plecami do ogrodu i odtąd patrzyła już tylko na mnie, tuląc łeb Violi do kolan. Śmiesznie mi to pisać, ale odniosłam wrażenie, że pies wiedział o córeczce Emerenc, bo przecież zawsze opowiadała mu o wszystkim, czego ja byłam ciekawa.

- Mówiłam już pani - zaczęła w tonie konwersacji - że od dawna mam pieniądze, ale postanowiłam, że poczekam z

budową krypty na własną śmierć, wtedy wszystko załatwi syn brata Józsiego. Nie czuję nienawiści do dziadka, był, jaki był, zazdrosny, szorstki, nigdy nie wybaczył mojemu ojcu, że zabrał mu córkę, mnie też nie kochał, ale co się zmarłemu należy, to się należy. Każę ich tu wszystkich sprowadzić, zobaczy pani, że będziemy mieli taką kryptę, jakiej jeszcze nie było w Budapeszcie, któryś z pani przyjaciół malarzy czy rzeźbiarzy zaprojektuje ją według tego, co powiem. Nie doszłoby do tego, do czego doszło, bo dziadek bałby się, że go obgadają w Csabadul, ale sprowadziłam mu na kark małą, a stary był mądry jak szatan, wiedział, że i tak nas obgadają, a mnie najbardziej zabol, jak nakicha na groby, więc pozwolił, by krzyże zmurszały, ja przecież byłam w Peszcie i nie mogłam chodzić tam na cmentarz.

Dzięki Bogu sama zaczęła, zatem mogę jej oddać zdjęcia. Długo patrzyła na obydwu i na jej twarzy nie było emocji, wyobrażałam sobie, że może się wzruszy albo zaczerwieni, choć naprawdę nie wiem, dlaczego tak myślałam, przecież za drzwiami mogła mieć cały album zdjęć tego dziecka, co ja wiedziałam o przedmiotach z Zakazanego Miasta Emerenc. Nie patrzyła na to zdjęcie jak matka, a już najmniej jak wzruszona matka, której oczom ukazuje się przeszłość, lecz jak żołnierz, który przywykł do tego, że to zawsze on zwycięża w bitwie.

- To jest Ewunia - wyjaśniła. - Na nią ostatnio czekałam, to ona mieszka w Ameryce i przysyła mi pieniądze. Przysyła też paczki, z których to i owo rozdaję i z których pani także dostaje różne duperele jak kremy i szminki. Taka była, kiedy ją przywiozłam z Csabadul do Pesztu, ale teraz nie chcę już widzieć żadnej jej twarzy, bo nie przyjechała, kiedy ją zamówiłam. Jeśli ją wzywam, a wtedy ją wezwałam, powinna była przyjechać, nawet gdyby miał być koniec świata, bo

gdyby nie ja, rozwaliliby jej główkę o mur albo posłali do gazu.

Pchnęła ku mnie zdjęcie, jakby dawała do zrozumienia, że go nie potrzebuje.

- Myśli pani, że to było proste? - Wyczuwało się, że nawet teraz niełatwo jej o tym mówić. - Przedtem wszyscy mnie szanowali: Emerenc Szeredás czysta, porządna, trzeźwa, która na własnej szkodzie nauczyła się, jacy są mężczyźni, i kiedy odszedł ten człowiek, a potem uciekł fryzjer z pieniędzmi i tym wszystkim, czego dorobiła się w ciągu lat i co miało jakąkolwiek wartość, nie wypłała ługu, tylko się otrząsnęła, jakby to wszystko nie jej się przydarzyło, i powiedziała sobie, że z nikim się więcej nie zwiąże, nie pozwoli zbliżyć się do siebie mężczyźnie, niech sobie robią idiotki z innych, niech je okradają. Nigdy nikt mnie nie tknął, więc jak się pani domyśla, przyjemnie mi było zjawić się u dziadka z dzieciakiem na ręku, że to niby moje, i powiedzieć, że ma je karmić do końca wojny, bo ja sobie w Peszcie nie daję rady i nie mam czasu go niańczyć, niech się tu pęta, nic nie poradzę, że jakiś drań mnie urządził i zostawił z bachorem. W Peszcie nie mogłam jej trzymać, to byłoby niebezpieczne, nie można jej też było zamknąć, dziecko potrzebuje ruchu i powietrza.

Szeleściły krzaki, Viola zasnął z łbem opartym na bucie Emerenc.

- Chyba pamięta pani jeszcze ustawę, nie? Starzy wypili cyjanek, a młodzi kupili sobie ucieczkę, ale przecież nie mogli wybrać się w drogę przez góry piechotą, na czworakach, z niemowlęciem, więc zostawili je mnie. Grossmannowa wiedziała, co Ewa dla mnie znaczy i co ja znaczę dla niej. Ewunia płakała, ktokolwiek się do niej zbliżył, nawet od matki wyrywała się do mnie. Nie każdy Niemiec był draniem, ta willa należała do niemieckiego fabrykanta i to on załatwił

Grossmannom człowieka, który miał ich przeprowadzić przez granicę, i także on zgodził mnie tu na dozorczynię, zanim powrócił do swej ojczyzny. Umówiliśmy się, że jak tylko Grossmannowie wyruszą na granicę, zabiorę małą na wieś, lepiej, by myślano, że znikła wraz z rodzicami. Niech pani nawet nie pyta, co dostałam po przyjeździe, bo to nie było zwyczajne bicie, myślałam, że już nigdy więcej nie będę mogła chodzić. No, bijcie, kopcie, mówiłam do dziadka, możecie też wszystkim opowiedzieć, tylko nie skrzywdźcie dziecka. Pieniądze i biżuterię, które dostałam od Grossmannów, oddałam na utrzymanie małej, myślał, że je ukradłam w wojennym bałaganie, że obrabowałam Grossmannów, bo tego, co przywiozłam, było niemało, ale wziął, niech się pani o niego nie boi. Przez dobry rok uczciwie karmili ją za te pieniądze, a potem wrócili Grossmannowie, więc po nią pojechałam. Mogli ci biedacy zacząć tu życie na nowo, powrócili jednak na obczyznę, a to, co im jeszcze zostało, i meble, które uratowałam w willi, podarowali mi z wdzięczności i zniknęli, bali się tu zostać, bo Rakosi już zaczął nowy cyrk. Była pani na rampie?

Powiedziałam, że tak.

- Chciałam, żeby ją pani zobaczyła, bo ja ją często widuję we śnie i zawsze wygląda tak samo jak ostatnim razem, kiedy to stworzenie rzuciło się za mną z wagonu. Mieliśmy płową jałówkę, którą wychowałam od cielaka, i dla mnie obok dwojga małych to było trzecie dziecko, miała tak samo jedwabistą sierść jak włosy bliźniąt, taki sam różowy, miękki nosek i pachniała mlekiem jak moje rodzeństwo. Wszyscy się ze mnie śmieli, bo za mną chodziła, ale potem trzeba ją było sprzedać, więc mnie zamknęli na strychu i zabrali drabinę, żebym nie mogła za nią pogonić, wtedy jeszcze nie były na wsi w modzie histerie, lało się dzieciaka, mówiło, co ma robić, a jak nie rozumiał, dostawał po łbie. Mnie na wszelki

wypadek dano po łbie i zamknięto, ale jakoś udało mi się uciec, wiedziałam, że jeśli sprzedali jałówkę, pojedzie koleją, pobiegłam więc na rampę, ale zanim tam dotarłam, już ją załadowano do wagonu razem z innym sprzedanym przez gospodarzy bydłem. Ryczała w środku, ja wykrzykiwałam jej imię, a ponieważ jeszcze nie zasunęli drzwi, skoczyła do mnie z wysoka. Dziecko jest głupie, nie wiedziałam, co robię, kiedy ją wołałam. Przewróciła się i złamała obie przednie nogi, wezwano Cygana, żeby ją dobił, dziadek wyklinał, że lepiej byłoby, gdybym to ja zdechła, a nie ta cenna jałówka, takie ze mnie ladaco i darmozjad. Zabili ją i poćwiartowali, kazali mi patrzeć, jak ją mordują i dzielą, niech pani nie pyta, co czułam, tylko niech się pani nauczy, żeby nikogo tak nie kochać, bo się na tym traci. Jeśli nie od razu, to później. Najlepiej, jeśli się w ogóle nikogo nie kocha, bo wtedy nikogo na pani oczach nie poćwiartują, a i pani też nie wyskoczy z wagonu po śmierć. No, niech pani już idzie do domu, dość się nagadałyśmy, pies też śpiący, niech go pani zabierze. Viola. Tak nazywaliśmy w domu tę jałówkę, jeszcze matka ją tak nazwała. Idźcie już, bo pies jest śpiący.

Pies, nie ja, która od świtu byłam w drodze, nie ona, która uwijała się, sprzątała, zamiatała, wieczne imago, Viola na rampie lub na naszej ulicy. Poszłam do domu, jak sobie tego życzyła, czułam, że teraz chce zostać sama z tym, co jej opowiedziałam. Teraz na pewno miała wokół siebie to wszystko, Grossmannów i fabrykanta, który nie był złym człowiekiem, pustą willę, w której na początku żyła sama jak palec, potem ze zmieniającymi się wciąż lokatorami: najpierw wprowadzają się Niemcy, potem żołnierze węgierscy, po nich przychodzą strzałokrzyżowcy (Strzałokrzyżowiec (węg. nyilas) - członek faszystowskiej Partii Strzałokrzyżowców [Nyilaskeresztes Part] założonej przez Ferencza Szalasiego, której symbolem były strzały rozpięte w formie krzyża [przyp.

red. wydania PIW].), a kiedy i ci znikają, w willi zamieszkują Rosjanie. Emerenc gotuje im, pierze, dom przechodzi na własność państwa, przekształca się w spółdzielnię mieszkaniową, a do tego wszystkiego piekarz, którego rozszarpał tłum, fryzjer, który okazał się draniem, hańba w Csabadul przez Ewę Grossmann, jałówka, powieszony na kłamce kot i wielka miłość. Czy kot też nazywał się Viola?



## Film

Podczas studiów nie znosiłam Schopenhauera, później zrozumiałam, że muszę przyjąć z jego tez przynajmniej twierdzenie, iż każdy związek uczuciowy stanowi możliwość ataku i że im więcej ludzi dopuszczę do siebie, tym liczniejszymi kanałami może ku mnie napływać niebezpieczeństwo. Nie było mi łatwo przyjąć do wiadomości, że odtąd muszę się liczyć także z Emerenc, że jej istnienie stało się jednym z elementów mojego życia i z góry przeraża mnie myśl, że mogę ją kiedyś stracić i że, jeśli ją przeżyję, powiększy armię cieni i jak one wszystkie będzie wszechobecna i nieuchwytna, a to niszczy mnie i doprowadza do rozpacz.

Na tę świadomość nie miał nawet wpływu fakt, że zachowanie Emerenc zmieniało się według trudnego do przewidzenia klucza, czasami bywała wobec mnie tak odpychająca i niegrzeczna, że obcy ludzie dziwili się, jak mogę to znieść. Ale dla mnie było to nieważne, już od dawna nie zwracałam uwagi na wybryki Emerenc i także ona, choć - jak kapitan Butler - nie chciała ponownie wystawiać serca na próbę, nie umiała się ustrzec przed uczuciem, którym mnie obdarzyła. Gdy byłam chora, pielęgnowała mnie, dopóki mój mąż nie wrócił z pracy, ja natomiast nie mogłam się jej zrewanżować podobną przysługą, bo Emerenc nigdy nie chorowała, nie przejmowała się wypadkami, które spotykały ją w kuchni czy przy innej pracy, nawet nie zakłęła, gdy chlapnęła sobie na nogę rozpalonym tłuszczem czy do kości zraniła się nożem, stosowała na rany jakieś domowe środki. Emerenc nie szanowała narzekających ludzi. Później nie potrzebowała już pretekstu, by przybiec do naszego mieszkania, obydwie wiedziałyśmy, że lubimy być razem. Kiedy zostawałyśmy same, a obie akurat miałyśmy czas, rozmawiałyśmy. Niezmiennie nie można jej było namówić, by

przeczytała którąkolwiek z moich książek, ale teraz już ją bolało, gdy przyjmowano coś nieżyczliwie, falowanie polityki literackiej odbierała jako ataki skierowane przeciwko mojej osobie, drażniły ją, denerwowały recenzje i kiedyś nawet zapytała, czy nie powinna poskarżyć na krytyka podpułkownikowi. Daremnie ją uspokajałam, była wtedy wściekła, nienawistna. Teraz już nie opierała się przeciw uznaniu, że moja praca ma jakiś sens, choć nigdy nie uznała jej za pełnowartościową; żeby nią nie pogardzać, dorobiła sobie ideologię: pisanie to takie zajęcie jak zabawa, dziecko traktuje to poważnie i choć od tego, co wykonuje z wielkim staraniem, nic istotnego nie zależy, choć jest to tylko zabawa, może się nią naprawdę zmęczyć. Wypytywała mnie o takie rzeczy, których pisarz nie może merytorycznie wytłumaczyć ani dziennikarzowi, ani czytelnikowi, na przykład, jak z niczego, ze słów, powstaje powieść, nie potrafiłam jej wyjaśnić codziennej magii tworzenia, nie można było wyłożyć, jak i skąd na czystym papierze biorą się litery. Powstawanie filmu wydawało się łatwiejsze do zrozumienia, więc kiedy zaczęła się interesować, co powstaje w wytwórni czy plenerze, co oznacza, że kręcimy, miałam nadzieję, że wreszcie zdołam ją przyciągnąć choćby na skraj własnej sfery. Była szansa, pracowaliśmy nad filmem. Co rano przyjeżdżał po mnie samochód i jechaliśmy do wytwórni, a kiedy wracałam do domu, zameczała mnie pytaniami, co się działo, kto tam jeszcze był, co powiedział, jak minął dzień i co tam właściwie robimy. Pewnego razu oznajmiłam jej, że jutro zabiorę ją do studia. Właściwie nie liczyłam na to, że pojedzie, bo przecież poza wyprawami na cmentarz nigdy nie oddalała się zbytnio od domu, ale nazajutrz wczesnym rankiem czekała w bramie na samochód, odświętnie odziana, z nieposzlakowanie czystą chusteczką i gałązką majeranku w splecionych palcach. Wtedy zawstydziłam się wszystkich

cynicznych uwag padających w studio i tego, że niekiedy skaczymy sobie do oczu, lub, co gorsza, zamrażamy naszą złość, zamrażamy zemstę, do czasu aż znów będziemy mieli okazję kogoś dźgnąć, bo godziny biegną, a w trakcie kręcenia każda sekunda to pieniądz. Emerenc, odświętnie odziana, czeka, chcąc coś zobaczyć, i traktuje to ze śmiertelną powagą.

Nikt o nic jej nie zapytał, na portierni wzięto ją pewnie za statystkę, bo szła przez podwórze wytwórni z równie naturalnym spokojem jak ja, jak aktorzy. Usiadła w miejscu, które jej wskazano, była cicha, uważna, nie zadawała pytań, nie ruszała się, nikomu nie przeszkadzała. Przyszła kolej na trudną scenę, która musiała wyjść spontanicznie, inaczej nie wywarłaby efektu, trwała zwykła bieganina, charakteryzacja, powtarzanie tekstu, ustawianie świateł, wymierzanie odległości, na miejsca, gotowe, klaps, a potem szykowaliśmy się do wyjazdu, bo dalsze ujęcia miały być kręcone na Wyspie Małgorzaty, Emerenc wyglądała przez okno samochodu, myślę, że od dziesiątków lat nie była w pobliżu Grand Hotelu, jeśli w ogóle kiedyś go widziała. Kręciliśmy plenerowe zdjęcia, w helikopterze pracował drugi operator, Emerenc spoglądała to na niego, to na dźwig z innym operatorem. Technika była tu co najmniej tak samo ważna, jak aktorzy grający zakochaną parę w wielkiej scenie miłosnej. Mężczyzna i kobieta jakby omdlewali pod naporem fal namiętności. Zdawało się, że zaraz runie na nich las, wirowały drzewa, ziemia, cały świat, obejrzeliliśmy to na monitorze, znakomicie udały się wszystkie ujęcia, jak rzadko.

Przekąsiliśmy coś. Emerenc nie była skłonna wejść do Grandu, wtedy była już wroga, nieprzyjazna, nawet się nie rozglądała. Znałam jej twarz, wiedziałam, że dość się już napatrzyła, nie chce tu zostać, sugeruje, byśmy wracały. Czulałam, że jest źle, i jak tyle razy znów nie mogłam odgadnąć przyczyny, pomyślałam, że mi powie, kiedy będziemy w

domu, na szczęście skończyłam już na dziś, pożegnałam się więc i pojechałyśmy. W samochodzie od razu rozpięła dwa guziki odświętnej sukni, jakby się dusiła. Rzadko słyszałam tyle goryczy w jej głosie, jak kiedy wreszcie wyznała mi, co ją dręczy: jesteśmy kłamcami, oszustami, oznajmiła. Wszystko to jedno łgarstwo, mamy jakieś sposoby, żeby poruszać drzewami, z których potem widać tylko listowie fotografowane z helikoptera. Ten helikopter krąży nad brzozą, brzoza ani drgnie, a tymczasem ona, widz, myśli, że brzoza podskakuje, tańczy, że wiruje cały las. Czyste oszukaństwo, ohyda. Nie ma racji, broniłam się, to tańczące drzewo jednak tańczy, bo tak to odbiera widz, ważne jest wrażenie, jakie się wywołuje, nie to, czy ta brzoza naprawdę się porusza, czy też wrażenie ruchu jest dziełem fachowca, w końcu co ona sobie myśli, jak las mógłby chodzić, skoro drzewa są przytwierdzone korzeniami. Uważa, że stworzenie pozoru rzeczywistości to nie sztuka? „Sztuka - powtórzyła z goryczą. - Gdybyście naprawdę byli artystami, wtedy wszystko byłoby prawdziwe, nawet taniec, bo potrafilibyście sprawić, żeby liście poruszały się od waszych słów, a nie od jakiejś tam maszyny, ale wy nic nie potraficie, ani pani, ani ta reszta, wszyscyście błazny, a nawet jeszcze gorsi, gorsi od łotrów”.

Patrzyłam zdumiona, jak na moich oczach opuszcza się na dno jakiegoś niepojętego dla mnie piekła, była jak ktoś, kto wpadł do studni i tylko słycać stamtąd jego sapanie i przekleństwa. Pod koniec już tylko szeptała, poinformowała mnie, że i owszem, jest taka chwila, kiedy ten typ operator nie musiałby nawet ręką ruszyć, nie trzeba byłoby nawet helikoptera, bo rośliny same ruszyłyby w tan. Panie Boże, czym musiała być owa faustowska chwila jej życia, której Emerenc krzyknęła: stój!, bo wirowały wokół niej drzewa? Nie odgadnę, a przecież ona gdzieś tam w czasie istnieje. Kiedy zapoznała się u nas z konstrukcją magnetofonu i

nauczyła, że można wielokrotnie odtwarzać tekst czy melodię, powiedziała pewnego razu, że co by to było, gdyby nagrać na taśmę ludzkie życie i cofać je, zatrzymywać i powtarzać do woli. Ona by swoje przyjęła - powiedziała - takim, jakie było, względnie jakie będzie do śmierci, ale pod warunkiem, że mogłaby w nim cofnąć, co zechce. Nie miałam odwagi zapytać, gdzie zatrzymałaby taśmę, ani tym bardziej dlaczego. Myślałam, że i tak mi nie powie.

## Chwila

Jednak powiedziała. Nie w takich okolicznościach, kiedy byłoby to uzasadnione bądź logiczne, lecz gdy poczuła, że nadeszła pora. Jeśli w ogóle Emerenc wierzyła w jakąkolwiek sprawczość, to był nią czas, w jej prywatnej mitologii Czas mełł niczym młynarz w bezkresnym młynie i podług tego, czyj worek się przed nim znajdował, z jego gardzieli sypały się wydarzenia. Emerenc wierzyła, że nikt nie zostawał pominięty, najwyżej mógł nie doczekać, była jednak także święcie przekonana, że ten młynarz miele i sypie do worka również ziarno umarłego, tyle że już kto inny taszczy na plecach mąkę i piecze z niej chleb. Na mój worek przyszła kolej po bitych trzech latach, kiedy już biały żar jej uczuć oznaczał nie tylko miłość, lecz także zaufanie. Zaufanie do Emerenc mieli wszyscy, ona do nikogo, a dokładniej mówiąc, rzucała okruchy zaufania wybrańcom, podpułkownikowi, mnie, dawniej Polett, synowi brata Józsiego, wielu ludziom, jednym dostawały się takie okruchy, drugim inne. Informowała Adelkę o czymś, co, jak sądziła, tamta zrozumie i co jej dotyczy, co innego znów opowiadała podpułkownikowi, Sutu czy majster - klepce, mnie na początku zdradziła powód śmierci bliźniaków i dopiero znacznie później okazało się, że na przykład nigdy nie mówiła o tym bratankowi, którego utrzymywała w przekonaniu, że poza jego ojcem nie miała rodzeństwa. Jakby chciała nas wszystkich drażnić jeszcze zza grobu, nikomu nie opowiedziała o wszystkim, musiała się z nas potem natrzęsać w gronie zmarłych, kiedy próbowaliśmy złożyć w całość jej historię, dopasowując swoje fragmenty układanki do tego, co wiedzieli inni. Co najmniej trzy istotne elementy zabrała ze sobą na zawsze: gdy na nas spoglądała po śmierci, mogło być dla niej zadośćuczynieniem, że wciąż jeszcze brak nam

wyjaśnienia dla niektórych jej uczynków i na pewno nigdy go już nie znajdziemy.

Dzień, w którym jej mitologiczny młynarz podstawił sobie mój worek, pamiętam dokładnie, bo była to Niedziela Palmowa i nie ucieszyłam się, że Emerenc mnie zatrzymuje, kiedy idę do zboru, nie chciałam się spóźnić. Rozmawiać z Bogiem chodzę daleko, do ulubionego zboru moich panińskich czasów, przy Alei, który strzeże moich zwątpień i radości z okresu po przeprowadzce do Pesztu. Emerenc zamiatała akurat przed naszą furtką, wiedziałam, że tak właśnie zaplanowała sobie pracę, abym ją spotkała, idąc do zboru, jakby dając mi do zrozumienia, że komuś takiemu, przed kim stawia się pożywienie i kto po nabożeństwie wraca do domu na gotowe, łatwo być pobożnym. Powiedziała, żebym, gdy się już uwolnię od moich grzechów, wpadła do niej po obiedzie, bo ma do mnie pewną sprawę. Nie byłam zachwycona tym pomysłem, nie tylko dlatego że Niedziela Palmowa to moje ulubione święto, ale także z tego powodu, że odkąd moja matka obraca się w proch na cmentarzu Farkasret, mam własny program na niedzielne popołudnia. Poprosiła, żebym wpadła o czwartej. O trzeciej, odparłam. Pokręciła głową, na trzecią zamówiła kogoś z przyjaciół i syna brata Józsiego. W takim razie o drugiej. O drugiej też nie. O drugiej wydaje obiad dla Adelki i Sutu, mam im nie przeszkadzać, tylko przyjść o czwartej i koniec. Nie przyjechałam Wieczery Pańskiej w to święto, bo brakowało mi wewnętrznej ciszy, która jest potrzebna do wyznania grzechów i rozgrzeszenia: Emerenc mnie rozdrażniła, przyszłam do domu nie ukojona, lecz spięta, w domu zaś okazało się, że nie ma Violi, bo go zabrała Emerenc, mówiąc, że jego też zaprasza na obiad.

Emerenc potrafiła we mnie budzić najszlachetniejsze uczucia, a zarazem przychodziły mi do głowy na jej temat najgorsze grubiaństwa, kochałam ją, ale potrafiłam być na nią

tak wściekła, że czasami mnie samą zaskakiwała własna pasja. Przywykłam już, że psem mogę rozporządzać tylko do pewnych granic, gdybym nie usłyszała tej bzdury, że go zaprosiła na obiad, może nie wyszłabym z siebie do tego stopnia, ale tak mnie to rozzłościło, że jak stałam ubrana do zboru, pobiegłam do niej. Kiedyś walny zjazd Związku Pisarzy zbiegł się w czasie z kolacją u pewnego zachodniego ambasadora, do którego spóźniliśmy się niemal godzinę i nigdy więcej nas już nie zaprosił, nawet w święta narodowe schodził nam z drogi. Zachowanie pani ambasadorowej po kolacji było wręcz słodkie w porównaniu z tym, jak mnie przyjęła Emerenc, kiedy przyszłam nieproszona, a ona przy obficie zastawionym stole zatopiona była w rozmowie z Sutu i Adelką. Gdy szczęknęła ogrodowa furтка, wypadł ku mnie Viola, skoczył mi na suknię, Emerenc nawet nie wstała, tylko popatrzyła na mnie i zaczęła nalewać na talerze rosół z kury. Sutu odsunęła się, żeby mi zrobić miejsce, ale staruszka poinstruowała ją wzrokiem, by tego nie robiła, bo ja tu nie zostanę. Zapytała mnie, po co przyszłam. Byłam tak wściekła, że nie potrafiłam jej wyjaśnić, dlaczego tu jestem, i rzekłam tylko:

- Wezmę psa.

- Jak pani chce. Ale niech go pani nakarmi, bo jeszcze nie jadł obiadu.

Viola skakał wokół stołu, gdzie unosiła się przyjemna woń rosółu, tłumiąc zapach chloru i odświeżacza powietrza.

- Idziemy! - powiedziałam do psa.

Emerenc wciąż nalewała zupę. Sądziłam, że wszystko w porządku, bo Viola poszedł ze mną posłusznie i nawet się nie obejrzał, ale odprowadził mnie tylko do furtki, zatrzymał się, znów zamierdał ogonem i omal mi nie powiedział, żebym go niepotrzebnie nie drażniła, bo on chce jeść. Nie poniżyłam się do tego stopnia, by mu rozkazywać, Emerenc potrafiła



programować jego myśli jak wideo. Nawet się nie zawahał, wykręcił się do mnie tyłem i bez tchu pognął z powrotem do stołu Emerenc. Tak mnie rozdrażnił, że w domu nie udało mi się nawet przełknąć zupy, położyłam się więc na balkonie z książką, ale nie rozumiałam, co czytam. Z wysokości naszego balkonu widać było się przed mieszkaniem Emerenc, nie miałam zamiaru podglądać, kiedy przerzucałam kartki książki, ale, jeśli nawet nie umyślnie, to jednak zerkałam w tamtą stronę i widziałam, co się tam dzieje. Jadły, pochylając ku sobie głowy, rozmawiały, potem Sutu i Adelka odeszły, ale dopiero wtedy, gdy zjawił się syn brata Józszego, a potem zobaczyłam też podpułkownika; dla nich Emerenc nie miała obiadu, ale postawiła na stole wino i jakąś tacę, pewnie z ciastkami. Syn brata Józszego pochylił się nad jakimś papierem, wpatrywali się w ten papier wraz z podpułkownikiem, co było dalej, już nie wiem, bo weszłam do pokoju i postanowiłam, że jednak do niej nie pójdę, mną się nie będzie bawić. Minęła czwarta, kwadrans po czwartej, wpół do piątej, nawet nie wyjrzałam, żeby zobaczyć, co robi, za kwadrans piąta zadzwonił do drzwi sąsiad z piętra i powiedział mężowi, że Viola leży przed furtką i nie chce się ruszyć, choć go wołał, nie ma obroży ani kagańca, i wprawdzie w niedzielę jest małe prawdopodobieństwo urzędowej kontroli, to jednak lepiej go przyprowadzić.

Emerenc - Metternich z Csabadul. Mistrzynie intrygi! Śmieje się w domu, bo wie, że na pewno zejdę, choćby przez Violę, który ani drgnie, dopóki mnie nie zobaczy lub nie otrzyma od niej innego polecenia. Na pewno mu przykazała, żeby poszedł mnie przyprowadzić. Po drodze znów przemknęło mi przez myśl, że daleko by zaszła z tymi specyficznymi talentami i logiką, gdyby nie była wrogiem własnych możliwości. Oczyma duszy widziałam Emerenc przy boku Goldy Meir i angielskiej pani premier, i ten obraz

wcale nie wydawał mi się dziwny, raczej nie rozumiałam, dlaczego ona się tak maskuje. Jeśli trzykrotnie obróci się dookoła własnej osi, zdejmie chustkę, fartuch, a potem także twarz i powie, że miała kostium i maskę, które nałożyło jej boskie fatum, ale odtąd już nie musi ich nosić, uwierzę, czemu nie miałabym uwierzyć. Viola obtańcowywał mnie, on wiedział najlepiej, że już po kłopotcie i że znów, jak tyle razy, Emerenc zwyciężyła, a ja właściwie nawet się już nie gniewam.

Na stole stało francuskie ciasto, niepokrojone, przykryte tiulem i czekało na mnie. Emerenc wiedziała, co lubię. Była ode mnie wyższa o dobre półtorej głowy, spojrzała na mnie z góry i nie powiedziała ani słowa, tylko pokręciła głową, i oboje z Violą wiedzieliśmy, że nie zachowałam się rozsądnie czy słusznie, tylko po prostu źle, a przecież jestem już na tyle dorosła, by wiedzieć, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Emerenc wysłała Violę do mieszkania, w słodką woń ciasta wmieszał się wypływający przez uchylone drzwi zapach chloru, jeszcze silniejszy od tego w sieni, mnie zaś wskazała miejsce na ławie. Przed nią, przyciśnięty dużym, okrągłym kamieniem, który służył Violi do zabawy, leżał papier; popchnęła go ku mnie. Z mieszkania nie dobiegał żaden szmer, pomyślałam, że Viola się położył, chciałabym zobaczyć, na czym leży i gdzie, ale tylko on miał wstęp pomiędzy tajemnice, nie ja. Mnie zawstydzono.

- Ma pani straszny charakter - powiedziała Emerenc. - Nadyma się pani jak żaba i kiedyś jeszcze pęknie. Nic pani nie rozumie, tylko każe swojemu kumplowi z helikoptera, żeby tańczyły drzewa. Za pomocą oszustwa. Pani nigdy nie pojmie tego, co proste, zawsze chce pani wejść od tyłu, choć furka jest od frontu.

Na to nie można było odpowiedzieć. Nie wiedziałam nawet, czy ona tak naprawdę nie ma racji.

- Popsułam pani święto, prawda? Ale właśnie w święto załatwia się takie sprawy. W święto należy powiedzieć, co ma się stać z człowiekiem po jego śmierci.

Już wiedziałam, co zawiera złożony papier.

- Mogłam panią poprosić razem z gospodarzem, ale my dwoje nie zawsze się ze sobą zgadzamy, sama pani dobrze wie. Nie żeby był złym człowiekiem, bo on jest dobry, tylko że ani gospodarz się nie chce dzielić, ani ja. Nie lubimy się, bo każde z nas wyprosiłoby to drugie z pani życia. Niech pani nie przerywa, teraz ja mówię.

Znów zmieniła się jej twarz, była jak twarz człowieka, który w słonecznym blasku stoi na jakimś szczycie i aż się wzdraga na myśl, jak daleką i trudną drogę ma za sobą, tak właśnie spogląda z góry na dolinę, z której przyszedł, a w kościach ma jeszcze znój wędrówki, jej niebezpieczeństwa, przebyte rzeki i lodowce. Było też na tej twarzy współczucie, jakby się litowała: biedni wy, biedni, którzy jeszcze nie wiecie, jaka jest ta droga, wiecie tylko, że o zmierzchu wierzchołki gór wydają się różowe.

- Nie mogłam pani wcześniej zaprosić, bo jest pani stroną zainteresowaną, i syna brata Józsiego też nie mogłam zaprosić, zanim nie omówiłam wszystkiego z Sutu i Adelką i póki nie podpisały dokumentu. Służyłam u adwokata, wiem, jak należy sporządzać testament. To żadna sztuka i może mi pani wierzyć, że będzie ważny.

Adwokat. Nigdy o nim nie mówiła.

- No i co pani tak patrzy? Opowiadałam, że kiedy skończyłam trzynaście lat, dziadek oddał mnie na służbę do adwokata. Do Grossmannów nastąpiłam dopiero później, kiedy mecenasostwo już nie mogli i nie chcieli mnie trzymać, bo oboje, ich syn i ja, dorośliśmy. Nie dlatego pani nie zaprosiłam, żebym żałowała pani jedzenia, sama wiem, że w takiej chwili wszyscy powinniśmy być razem, tyle to i ja

nauczyłam się z religii, że Chrystus spożywał ostatni obiad z przyjaciółmi. Niech pani nie podskakuje, wiem, że to była wieczerza i nie w Niedzielę Palmową, tylko w Wielki Czwartek, ale Chrystus zawsze miał czas, a ja nie mam. Nie mogłam zaprosić na obiad pani i mojego bratanka, bo to wy jesteście spadkobiercami.

Chrystus spożywał ostatnią wieczerzę gdzieś w Betanii, może w domu Łazarza, a Betanię uważano jeszcze za Jerozolimę. Nie chciałam tego widzieć w ten sposób, że oto w świętej dłoni ostatnia wola, po prawicy siedzą Sutu i Adelka, po lewicy bratanek i podpułkownik, a naprzeciwko ja i Viola. Nie chciałam tego tak widzieć, ale widziałam.

- No, niech pani uważa. Uzgodniliśmy z moim bratankiem, że pieniądze, które po mnie zostaną, są dla niego. Nikt z rodziny nic nie dostanie, bo jak sama pani powiedziała, nie dbali o grób mojej matki, a poza tym oni wszystko mają. Syn brata Józsiego okazał się, jak do tej pory, godnym zaufania człowiekiem, pozbiera moich zmarłych i jak już wybudują kryptę, mnie też tam pochowa, pieniądze na kryptę i transport zmarłych znajdziecie na pocztowej książeczce oszczędnościowej, reszta pieniędzy jest na zwykłej książeczce i obydwie są u mnie. Wszystko, co znajduje się w moim mieszkaniu, dziedziczy pani, bratanek podpisał przy podpułkowniku, że zgadza się z moją wolą i nie zakwestionuje ani jednego zdania. On i tak nie wiedziałby, co zrobić z tym, co daję pani, ma inny gust, a gdyby nawet wiedział, i tak starczy mu to, co ode mnie dostanie. Odziedziczy bardzo dużo pieniędzy. Niech pani nie dziękuje, bo się rozgniewam.

Patrzyłam na swoje kolana i próbowałam odgadnąć, ile może kosztować krypta, ile ekshumacja, ale znałam tylko cenę nagrobków, moja rodzina nie leżała w krypcie. Nawet nie próbowałam sobie łamać głowy zgadywaniem, co odziedziczę, te minuty były tak nierealne, jakbym śniła.

Emerenc wstała i zapaliła pod szklaną kolbą ekspresu, jej kawa zawsze była lepsza niż moja. Gdzie się tego nauczyła, u którego nieznanego mi jeszcze gospodarza?

- Skąd pani właśnie teraz przyszła do głowy myśl o śmierci? - zapytałam wreszcie. - Chyba nie jest pani chora?

- Nie. Tylko mówili w radio, że umarł syn adwokata, i znów wszystko sobie przypomniałam.

W dzieciństwie tak uparcie, zawzięcie obserwowałam krążenie motyla, chcąc zmusić go siłą woli: niechże wreszcie usiądzie. Nie chciałam go złapać, tylko mu się przyjrzeć. Z bliska.

- Od wielu dni oplakują go w radio, niech pani obejrzy jego pogrzeb w kronice, ja nie chcę widzieć i na cmentarz też nie pójde, na pewno nie. Szkoda, że mnie nie zapytali razem z tymi wszystkimi, którzy się o nim wypowiadają. Też miałabym co opowiadać. Kiedy wyliczali, kogo i co tu zostawił, pomyślałam sobie, to dobrze, że tylu ludzi się do niego przyznaje, bo ja nie, on także się nie zgodził, żebym mu była tym, kim pragnęłam, a potem dość długo byłam dla niego zmarłą, ledwie mi się udało zmartwychwstać, kosztowna zabawa. Więc dlatego napisałam testament, żebyście wy dostali to, co mam, i to tak, jak ja sobie tego życzę, żeby nikt nie rozdrapał nic z tego, co uzbierałam. Raz już mnie ograbiono, drugi raz nie pozwolę, kota też można mi zabić tylko dwa razy. Już nikt nie ukradnie mi ani dobytku, ani duszy.

Jej oczy były zimne i lśniące jak diamenty. Jezu - pomyślałam - ona jego też ukrywała, nie tylko pana Brodaricsa, nie tylko awosza, ale jego także, jak to było, kiedy? Prasa nie pisze o niczym innym, tylko o nim, wielka żałoba. Kiedy to mogło być? Tylko w latach trzydziestych.

- Niech pani zobaczy w kinie, jaka jest jego żona. Kiedy go szukali, zapukał do moich drzwi, wtedy nie miał jeszcze

narzeczonej, pewnie ją poznał, kiedy nic mu już nie groziło. „Zostanę u ciebie, ukryję się u ciebie, schowasz mnie - powiedział. - Jesteś taka pewna i czysta, Emerenc, jak woda”. Tylko niech pani sobie nie wyobraża jakichś romansów, mnie pani, mam nadzieję, zna, to i o nim na tej podstawie może pani sobie wyrobić zdanie. Nie pytałam nawet, kto go ściga, tylko go ukryłam w służbówce, wtedy już starzy Grossmannowie oddali mnie młodemu, a młodzi Grossmannowie nie mieli o niczym pojęcia, myśli pani, że matkę Ewy obchodziło, co się dzieje w mieszkaniu służącej? Ewy nie było jeszcze wtedy na świecie, młodzi podróżowali, bawili się, mieli osobny dom dla służby i mieszkaliśmy w nim we dwoje. Niech pani pije kawę i przestanie się gapić, nie ja pierwsza byłam zakochana. Kiedy uciekł za granicę, myślałam, że oszaleję, a byłoby szkoda, bo w najbardziej niestosownym czasie ujrzałam go ponownie. Przyszedł nocą, świecił księżyc, było jasno i od razu go poznałam, choć był dziwacznie ubrany, człowiek w takich chwilach widzi chyba sercem. To właśnie wtedy poruszyły się tu w ogrodzie drzewa i krzewy, kiedy księżyc oświetlił mu twarz, zobaczyłam, że za jego plecami podskakuje i tańczy świerk, pomyślałam, że może z innego powodu tu wrócił, może podczas swego pobytu za granicą coś sobie uprzytomnił i teraz wraca już do mnie na zawsze, albo mnie stąd zabierze, skoro już wyśledził, gdzie się przeniosłam z domu Grossmannów, bo chyba tylko to mogło być powodem, dla którego mnie odszukał, choć wcale nie obiecywał. On nigdy mi nic nie obiecywał, bo on nie kłamał. Zaraz też wyjaśnił, po co przyszedł: znów mam go ukryć. Ma fałszywe papiery, legitymację, kartki żywnościowe i potrzebuje tylko dachu nad głową, na pewien czas, przecież nikt lepiej ode mnie nie dopilnuje, żeby go nie znaleźli. Potem, kiedy tylko mógł, odszedł i zostawił mnie. A teraz nie żyje.

    Nie potrafiłam przełknąć kawy, tylko gapiłam się na nią.

- Wtedy zesłałam się przez zemstę z fryzjerem. Nie słyszała pani plotek? Przyjęłabym nawet diabła, gdyby mnie przekonał, że mogę być potrzebna mężczyźnie, ale coś musi ze mną być, bo ten nie tylko mnie porzucił, ale jeszcze okradł, a przecież wcale nie byłam brzydka. Wszystko jedno. Nie umarłam z tego powodu.

Chwilę milczała, rozcierała w palcach i wachała listek mięty.

- Niech się pani nauczy, że człowiek tak łatwo nie umiera, tylko mu się wydaje, a potem staje się taki mądry od tego, co przeżył, że pragnie znowu być głupi. Głupi jak but. Otóż ja zmądrzałam i niech się pani temu nie dziwi, bo mnie kształcono dniem i nocą. Dwa lata mieszkał ze mną w służbówce u Grossmannów i przez pewien czas także tu, a gdy miałam wolną chwilę, wciąż mówił, mówił i mówił, co wiedział. Myśli pani, że chciało mi się potem słuchać jeszcze agitatorów?

Teraz i to wskoczyło na swoje miejsce, ta jej antyinteligencja, pogarda dla kultury.

- Kiedy odszedł i skończyła się wojna, zaraz znów się pojawił, ale nie żeby ze mną zamieszkać, żyć ze mną, tylko żeby mi znów tłumaczyć, choć ja nie tego chciałam. Ja chciałam czego innego. Powiedziałam, że już dość mnie uczył, więc teraz dajmy temu spokój. Chciał mnie zapisać do szkoły, ale mógł sobie długo czekać, żebym poszła się uczyć, przedstawił mnie do odznaczenia, ale mu powiedziałam, że jeszcze nie było w parlamencie takiego skandalu jak ten, który ja tam zrobię, co on sobie myśli, że mnie obchodzi, co on planował, knuł, sam lub z przyjaciółmi, podczas gdy ja go kochałam, a on mnie nie? Kochałam go. Słyszysz pani? Nie jego rozum i wiedzę, bo to one mi go odebrały, tylko jego ciało, które pojutrze zostanie pochowane. Teraz już wszystko jedno. Nie uwierzyłaby pani, ale powiedział, że dużo mówił o mnie

żonie, chciał mi ją nawet przedstawić, ale ja nie chciałam, niech sobie z nią zostanie i niech odbuduje Budapeszt, ja też odbuduję moje życie. Zeszłam się z fryzjerem. Dowiedział się, był wściekły. Cieszyłam się z tego.

Nie wyglądała, jakby się cieszyła. Jej twarz przypominała maskę, zaciśnięte wargi tworzyły kreskę.

- Czy pani wie, jaka byłam szczęśliwa, kiedy go w pięćdziesiątym zamknęli i omal nie wykończyli jako angielskiego szpiega? Myślałam: niech go biją, niech cierpi tak okrutnie, jak tylko pies potrafi, jak ja. Nawet nie umiał po angielsku, u pijarów, gdzie się wychowywał, uczyli tylko francuskiego, niemieckiego i łaciny, służyłam u nich, wiem, czego się uczył jako gimnazjalista. Takie bzdurne oskarżenie! Ale ja się cieszyłam, bo jestem podła, głupia i zazdrosna. Teraz już minęło. Będzie miał galowy pogrzeb. Będzie aksamitna poduszka, bo ma chyba wszystkie węgierskie i zagraniczne odznaczenia. Myślę, że nie wspomniał o mnie w swoim życiorysie, choć i ja w nim byłam.

- Wspomniał, Emerenc - powiedziałam i poczułam się taka straszliwie zmęczona, jakby mnie zbito. W tym momencie lepiej niż kiedykolwiek rozumiałam historię niedalekiej przeszłości. - Nie nazwisko, tylko że dużo ludzi go ukrywało, a najdłużej pewna bardzo dzielna osoba. Wczoraj to słyszałam w trzecim dzienniku.

- Zawsze umiał się znaleźć - rzekła sucho. - No, dość się nagadałam, wszystko przez ten testament. Był taki odważny, taki silny, taki wesoły, jakby nigdy nie miał umrzeć. I ta masa książek, i ta bezgraniczna wiedza! Niech pani powie, kto by się chciał tego wszystkiego nauczyć? Ja na pewno nie. Ale niech go pani nie bierze za oszusta, powtarzam: niech pani zapamięta, że on mi nigdy niczego nie obiecywał. Dobrze robił, że przychodził się do mnie ukrywać. Jestem taka głupia,



że gdyby ośmielił się mnie tknąć, wyrzuciłabym go. No, niech już pani idzie, na dziś mam pani dość.

Wzięła talerz i wyładowała go francuskim ciastem.

- Gospodarz lubi słodczyce.

Wstałam, ale zatrzymała mnie, uchyliła odrobinę drzwi i wypuściła psa. Znów uderzył mnie ten specyficzny zapach. Czuję, że Emerenc na mnie patrzy. Ja też na nią spojrzęłam.

- Jeszcze coś - powiedziała. - Coś jeszcze dostanie pani w spadku i lepiej, żeby pani o tym wiedziała. W mieszkaniu jest pełno kotów, powierzam je pani. Nie będzie pani miała co z nimi zrobić, bo nie znają nikogo poza mną, tylko Violę, i gdyby przypadkowo znalazły się na ulicy, nie byłoby ratunku, bo pies to dla nich przyjaciel. Jest pani zaprzyjaźniona z weterynarzem, który szczepi Violę, więc niech je pani każe uśpić po mojej śmierci. Nie może pani ofiarować nikomu więcej niż to, że nie pozwoli mu pani cierpieć. Dlatego nie otwieram drzwi, bo co by było, gdyby się wydało, że trzymam w mieszkaniu dziewięć kotów, a ja żadnego z nich nie oddam i nie będzie już tu żadnego wieszania. Są uwięzione, ale żyją. To moja rodzina, inna mi się nie dostała. No, niech już pani idzie, bo mam jeszcze coś do roboty. Długie było to popołudnie.

## Post

W tych dniach właściwie nie bardzo mogłam się zajmować czym innym niż tym, co się wydarzyło. W Niedzielę Palmową po południu Emerenc zwołała swój prywatny parlament i nie prosząc go o zdanie ani dyskusję, wygłosiła, niczym papież, swoje brewe. O tym, że syn brata Józszego przeżył ten sam sztorm co ja, świadczyło to, że zatelefonował do mnie i poprosił, byśmy się spotkali, umówiliśmy się, że przyjdzie do mnie w kolejny wtorek, dla mnie ta rozmowa też była ważna. Bratanek niepokoił się, czy Emerenc, która, jak się okazuje, jest w posiadaniu niemałych pieniędzy, mądrze robi, trzymając w domu dwojakiemu rodzaju książeczki oszczędnościowe, może należałoby inaczej ulokować te pieniądze, bo jeśli ukradną jej którąkolwiek z książeczek, zarówno bank, jak i poczta wypłacą okazicielowi. Sprawa książeczek oszczędnościowych interesowała także mnie, ale z innego względu. Jeśli Emerenc z jakiegoś powodu jednak je straci, znajdę się w idiotycznej sytuacji, bo Viola tylko mnie wpuści do mieszkania, a już naprawdę tylko tego mi brakuje do szczęścia, żeby syn brata Józszego zaczął mnie podejrzewać, co byłoby nieuniknione, choć nielogiczne. Naradzaliśmy się, co zrobić, młody mężczyzna denerwował się pieniędzmi, ja byłam przerażona niespodziewaną odpowiedzialnością i coś tragicznego było w tym, że Viola nagle otrzymał znaczącą rolę, w jednoosobowej republice Emerenc został dowódcą straży przybocznej, stróżem bezpieczeństwa i skarbnikiem. Staralam się odpędzić od siebie myśl o kotach, przerażająca była nie tylko ich liczba, ale i to zadanie, które miałam wykonać po jej śmierci. Kto mógłby się tego podjąć? Nie jestem Herodem. Niech Emerenc otworzy sobie konto depozytowe, radził syn brata Józszego, porozmawiajmy z nią, a najlepiej, żebym porozmawiała z nią ja i podpułkownik, bo on by nie chciał wyglądać na takiego,

co to myśli tylko o pieniądzach i za wszelką cenę chciałby je zabezpieczyć, ale przecież tyle rzeczy może się zdarzyć. Co będzie, jeśli Emerenc zapomni kiedyś zakręcić gaz albo Viola zdechnie, albo zepsuje się tradycyjne centralne ogrzewanie i zimą podczas nieobecności Emerenc wybuchnie pożar? Obiecałam się nad tym zastanowić, uzgodniliśmy też, że zapytamy podpułkownika. Potem już nie było mowy na ten temat - jest jednak w człowieku jakiś głupi wstyd.

Przede wszystkim miałam zamiar w jakiejś mądrej i serdecznej formie przestrzec Emerenc, ale po Niedzieli Palmowej wyraźnie mnie unikała, w tym małym rejonie potrafiła się tak przed nami ukrywać, jakby była niewidzialna, do jej licznych talentów należało znikanie z oczu, byłaby nieoceniona w każdej konspiracji. W Wielki Piątek, kiedy wychodziłam z domu wcześniej niż zazwyczaj, bo chciałam jeszcze iść na cmentarz, spotkałam ją wreszcie, ogromną wierzbową miotłą zamiatała przed naszą furtką. Poradziła mi, żebym dała na tacę okrągłą sumkę, niech się panie z dobroczynności ucieszą. Uciekłam od niej, nie chciałam, by mnie znów rozdrażniła, jak ostatnio, i żebym znów przez to nie mogła uczestniczyć w obrzędku, powiedziałam jej nawet, że byłabym wdzięczna, gdyby przynajmniej w Wielki Piątek darowała sobie cyniczne uwagi, męczeństwo Chrystusa to naprawdę taka tragedia, że gdyby zobaczyła je na scenie, nie powstrzymałaby się od łez, a poza tym, jeśli mnie już prosi o grzeczność, to nie spodziewam się rewanzu, zrobię, o co mnie prosi, ale niech mnie przynajmniej nie drażni, a jak zamiecie, niech będzie łaskawa ugotować zupę śliwkową, owoce są na kuchennym stole. Emerenc tylko mi się przyjrzała, potem zaproponowała mi miotłę, ma dobry, twardej kija, więc czy nie zechciałabym na próbę pomóc jej przy zmiataniu. I tak chodzę do zboru płakać i wspominać, nie zaszkodziłoby trochę popracować, pomęczyć się zmiataniem, bo miotła

waży swoje, a drewniany kij nie pomaga palcom i według niej tylko ten, kto zna fizyczną pracę, ma prawo opłakiwać Chrystusa. Nawet na nią nie spojrzałam, tylko uciekłam do autobusu, wyparowała ze mnie cała pogoda, czemu ta kobieta znów mnie denerwuje? Jak może z powodu niewłaściwie podzielonych darów odrzucać szacowną wspólnotę wraz z całą jej przeszłością i staraniem o dobro?

Kompensuje to sobie tymi złośliwymi uwagami - pomyślałam, ale od razu wiedziałam, że to nieprawda, Emerenc nie kompensuje, sprawa jest bardziej skomplikowana, bardziej pasjonująca. Emerenc jest szczodra, ofiarna, dobra i jeśli nawet zapiera się Boga, to czci go swymi uczynkami. Emerenc jest gotowa do ofiar, dla niej naturalne jest to wszystko, na co ja muszę sobie zwracać uwagę, i nawet to się nie liczy, że o tym nie wie, dobroć Emerenc jest naturalna, mnie natomiast wpojono pewne normy moralne, a potem zmuszałam się do ich przestrzegania. Pewnego razu Emerenc zdołała mi udowodnić, choć nie powie ani słowa na ten temat, że to, co ja uważam za wiarę, jest swego rodzaju buddyzmem i pielęgnowaniem tradycji, a moja moralność to tylko zdyscyplinowanie i rezultat domowej, szkolnej, rodzinnej i własnej tresury. Wzburzone były moje wielkopiątkowe myśli.

Nie było nawet mowy o zupie śliwkowej. Czekał paprykarz z kurczęciami, krem szparagowy i karmelowy budyń, śliwki nieumyte i w ogóle nieruszone leżały na kredensie, tam gdzie je zostawiłam. Wielki Piątek był jedynym dniem, w którym mój ojciec wymagał postu, jak się tego nauczył w domu dziadka, był to dzień, kiedy naszym jedynym pożywieniem była zupa śliwkowa na obiad, a do kolacji nawet się nie nakrywało, bo nikt kolacji nie jadł. W Wielką Sobotę podawało się na śniadanie zupę kminkową bez chleba i post łągodniał dopiero w sobotnie południe, ale tylko łągodniał,

jadało się wtedy normalne, bezmięsne, choć nieświęteczne posiłki, naprawdę zaś pożywne dania stawały przed nami dopiero podczas kolacji spożywanej w mikroświatku rodziny, ale przyzwoitość nie pozwalała się nikomu objadać, natomiast wieko fortepianu zamykało się w Wielki Czwartek na klucz, żeby ktoś w tej maniacko muzykalnej rodzinie nie zapomniał się i nie zaczął grać. Emerenc od lat wiedziała, że przestrzegam tego, czego nauczono mnie w domu, i nie komentowała, tylko przynosiła gospodarzowi od siebie jakiś smakołyk, wtedy zawsze sprzysięgali się przeciwko mnie i wytwarzała się między nimi jakaś wspólnota, jakby bawili się moim kosztem. Nie zjadłam obiadu, wieczorem ze złością ugotowałam wręcz obrzydliwą w smaku zupę kminkową, przenosząc sobotnie śniadanie na piątkową kolację, ale już prawie ślaniałam się z głodu. Zjadłam ją i poszłam do Emerenc. Wcześniej zjawiała się wiosna tego roku, Emerenc siedziała przed domem na ławie i patrzyła w dal, sprawiała takie wrażenie, jakby na mnie czekała.

Nie przerywając mi, wysłuchiwała, co o niej myślę, że zmusza człowieka do nieprawdopodobnych rzeczy i jeszcze obraża, jak tylko może. Nie musi mieć tak triumfalnej miny, bo nawet nie spróbowałam tego kurczaka i nie zapłacę jej, jeśli już zrobiła ten paprykarz, to w czynie społecznym, bo ja go nie zamawiałam. Nawet w zapadającym zmierzchu zobaczyłam, że się uśmiecha. Miałam ochotę przewrócić na nią stół.

- Niech no pani posłucha - powiedziała pogodnie, bez złości, jakby cierpliwie pouczała niedorozwinięte dziecko. - Zaraz tak panią uderzę, że pani poczuje, a przecież właśnie dlatego panią w swoim czasie pokochałam, że znosiła pani razy, obserwowałam, jak układało się pani życie. Mnie nie obchodzi, jakie pani ma bziki, i może mi pani wierzyć, że to mniejsza robota nastawić śliwki niż obrać kurczaka, zawsze

też robiłam pani tę zupę, bo skoro się pani wydaje, że to się liczy w niebie, to niech pani ją sobie zjada. Dziwny jest ten pani Bóg, który mierzy śliwkami, bo mój, jeśli istnieje, jest wszędzie, na dnie studni i w duszy Violi, a nawet nad łóżkiem Boorowej, która miała taką piękną śmierć, że chyba na to nie zasługiwała, na to zasługują tylko bardzo dobrzy ludzie, ale i ona tak odeszła, bez bólu i z godnością. Co się pani gapi? Widziała pani rano, kiedy zamiatałam, że jej wnuczka biegnie drugą stroną ulicy, czy znów myślała pani tylko o sobie? Po mnie biegła, więc poszłam, może być pani pewna, że jeśli w godzinie śmierci trzymam kogoś za rękę, to mu nietrudno odejść. Nawet ją umyłam i przygotowałam do drogi, i to naprawdę była sztuka znaleźć jeszcze tyle czasu, żeby wam zrobić obiad, za co mi pani tak pięknie podziękowała. Niech pani uważa, bo teraz zaboli. Zasłużyła pani. Gospodarz nie będzie długo żył i pani o tym wie. Myśli pani, że nabierze sił od śliwek? A co on ze sobą stąd weźmie na pamiątkę, bo przecież każdy odchodzący coś sobie pakuje? Boorowa wzięła ten zaszczyt, że to ja, Emerenc Szeredas, ją wyprawiłam, i tę pewność, że zadbam o tę małą, pani też zadba, zaręczam, bo nie dam pani spokoju, nie musi pani wciąż dawać tym z dobroczynności, oni nawet nie wiedzą, że Boorowa ma wnuczkę w potrzebie, ale pani już teraz nie będzie mogła się wyprzeć, bo codziennie będę to pani powtarzać. A więc niech pani nie wyprawia gospodarza w drogę ani ze śliwkami, ani z tą lurowatą dietą, na której go pani trzyma, ani z tym, że pani albo gdzieś gna, albo jeśli już nawet siedzi w domu, to cały dzień tłucze w maszynę; teraz też, zamiast z nim pobyc, poszła się pani modlić. Jeśli choć raz go pani dobrze rozśmieszy, to tyle co Ojciec Nasz. Co pani sobie myśli o Bogu i Chrystusie, o których się pani wypowiada jak o osobistych znajomych? Bardzo tanio dostaje się u pani zbawienie. Nie dałabym grosza za pani religijność w tygodniu, pani tylko w

mieszkań jest nieporządna, bo w życiu to pani lubi ład, aż wstręt bierze. W poniedziałek o trzeciej, żeby się paliło i waliło, dentysta, szczerzymy zęby i z powrotem taksówką, bo na drogę to już brak czasu. Co czwartek fryzjer, co środę pierzemy, nigdy innego dnia, prasowanie w czwartek, czy wyszło, czy mokre. W święto i w niedzielę zbór, we wtorek mówimy tylko po angielsku, w piątek po niemiecku, żebyśmy nie zapomnieli. A poza tym bezustannie walimy w maszynę. Gospodarz jeszcze na tamtym świecie będzie słyszał trzaskanie maszyny.

Rozpłakałam się. Teraz już nie potrafię powiedzieć, czy płakałam przez to, co było prawdą, czy przez to, co nią nie było. Emerenc była wrażliwa na punkcie swego prania i wykrochmalonych fartuchów z rękawami. Teraz z kieszeni wykrochmalonego na sztywno fartucha wyjęła nieposzlakowanej bieli chustkę i położyła ją przede mną. Gdyby ktokolwiek to widział, pomyślałby, że dostało się przedszkolakowi, tak mu się dostało, że teraz już się na pewno ustatkuje.

- Chyba nie przyszła tu pani z powodu tego kurczaka? - zapytała Emerenc. - Dopóki gospodarz żyje, nie będzie w tym domu postu, przynajmniej ja nie ugotuję nic postnego. Po co tu pani przyszła w świąteczny wieczór, dziś piątek, niech pani wraca do domu ćwiczyć język, w piątki szwargocze pani po niemiecku. Już nawet pies się z pani śmieje. I po co pani te wprawki, Bóg zna wszystkie języki, lepiej byłoby, żeby pani nauczyła się zapominać, bo ma pani mózg jak żywica, co się raz przylepi, to już zostanie. Z kim tylko miała pani na pieńku, każdemu pani odpłaca, nawet mnie. I żeby pani przynajmniej wrzeszczała, ale pani się uśmiecha. Jest pani najbardziej mściwym człowiekiem, jakiego spotkałam, późno chodzi pani spać, a potem, jak przyjdzie pora, wyczekuje pani, żeby

dźgnąć. Pani nie drapie, pani, jeśli sprawa jest poważna, morduje.

Ja jej odpłacam? Jak? Czym? Jedyna rzecz, za pośrednictwem której mogłabym jej wyrządzić przykrość, od początku należy do niej - Viola jest jej własnością, nie naszą. Człowieka, którego kochała, pochowano, ona jednak nie poszła na pogrzeb. Doprowadziłam twarz do porządku, chustka Emerenc była chłodna i pachnąca. Powiedziałam jej, o co prosi syn brata Józsiego, i widziałam po linii jej warg, że jest wściekła. Najróżniejszą widziałam ją tego dnia, ale ponurą dopiero kiedy usłyszała słowo: pieniądze.

- Niech no pani posłucha. Niech pani powie temu łobuzowi, żeby nie przekazywał żadnych rad i nie zwracał pani głowy. Książeczki zostaną, jakie są, i nie będziemy nic zmieniać, po kiego diabła mi depozyt? Kto u mnie znajdzie te książeczki, ten zasługuje, żeby je sobie wziąć. Chyba żadne z was nie uważa mnie za idiotkę, więc dlaczego miałby u mnie wybuchnąć pożar, ja też pilnuję swojego domu. Pewnie już by mnie ten smarkacz chętnie pochował. Zawiadamiam go, że jeszcze jedna rada, a pomnę go w testamencie i pani wszystko odziedziczy, niech panią podaje do sądu, jeśli się ośmieli. Jest pani taka święta, że zasługiwałaby pani, żeby się pomęczyć z moimi nieboszczykami i budować kryptę, tam już naprawdę mogłaby się pani modlić. Tylko dlatego tak nie postąpię, że ten niewdzięcznik zaskarżyłby testament i dla pieniędzy pogodziłby się z rodziną z Csabadul, zatem, choć mam na pani temat swoje zdanie, nie chcę pani na to narażać. Chociaż pani zasłużyła. Królowa śliwek. No, niech pani idzie do domu, dziś piątek, więc niech pani sobie poczyta niemiecką Biblię.

Odprawiono mnie. Viola podniósł ku niej wzrok w oczekiwaniu na rozkaz, Emerenc położyła rękę na jego łbie i pies w odpowiedzi przymknął oczy, jakby inaczej nie potrafił wyrazić, że odczuł tę zbawczą moc promieniującą ze



zniekształconych ustawiczną pracą palców. Odwróciłam się, szłam ciężko i powoli, jak bardzo starzy ludzie, ten dzień ciążył jak żelazo. Szedł za mną nie tylko pies, także Emerenc, zauważyłam ją dopiero przy płocie, przy jaśminowej ścieżce, przecież nie mogłam usłyszeć jej kroków, gdy tylko było to możliwe, nosiła na żylastych nogach sukienne pantofle z filcowymi podeszwami. Po co za mną idzie, pomyślałam z goryczą, powiedziała już, co o mnie myśli, uważa mnie za hipokrytkę, formalistkę, snobkę, nie pojęła nawet, że to permanentne przeczucie jego śmierci staram się zwieść pozorami, przecież gdyby z nim było naprawdę źle, nie zasiadałabym tak spokojnie do pracy. Wyśmiewa we mnie to, co jest najsterylniej czyste, bojownika walczącego z Wielką Panią.

- No, niech pani wraca. Gospodarz nastawił sobie radio, słucha muzyki i cieszy się, że nie ma jeszcze w domu Violi. Niech pani wraca, nie będę pani dokuczać, właściwie nigdy nie chciałam pani dokuczyć. Nie jest pani mądra, ma pani ciężki pomyślunek. Po co zwracać uwagę na to, co plotę? Czy pani nie czuje, że teraz już tylko pani mi została? Pani i moje zwierzęta?

Stałyśmy, z domu, zza zamkniętych okien sączyły się ciche dźwięki, spokojni ludzie żyli nad mieszkaniem Emerenc, ściszyli wieczorny program, ale i tak miałam przed oczami czarno - złotą wizję Requiem Mozarta. Nie znajdowałam słów, przecież nie powiedziała nic nowego, ona nie rozumie, że choć się kochamy, potrafi mnie dźgnąć z taką siłą, że padam na kolana. Właśnie dlatego, że mnie kocha i że ja też ją kocham. Ból potrafi mi zadać tylko ktoś taki, kto mnie obchodzi, dawno mogłaby to zrozumieć, ale ona rozumie tylko to, co chce.

- Niech się pani nie upiera i wraca, obie mamy takie przekłete charaktery, bo obie jesteśmy z tych samych stron. No, chodźmy, co się pani gapi? Nie bez powodu panią proszę.

Dlaczego? O co jej jeszcze chodzi? Portret już gotowy, postawiła przede mną lustro i solidnie uderzyła mnie nim po głowie.

- Chodźmy, dostanie pani prezent. Zajączek zniesie dla pani wielkanocną pisanekę.

Mówiła głosem urzekającym okoliczne dzieci, gdy odzywała się tak do kogoś na ulicy, zatrzymywałam się albo zawracałam, dzieciaki leciały za nią tak samo jak Viola. Wielkanocny zajączek w Wielki Piątek, nie ugotowała śliwek, wyszydziła formę mojej żałoby, ale prezent, rzecz jasna, kupiła, ona mogła dawać, ja nie, mnie nie było wolno.

- Nie pójdę, Emerenc, wszystko już sobie powiedziałyśmy. Przekażę telefonicznie bratankowi to, co mi pani poleciła. Jeśli pani chce, proszę zatrzymać Violę także na noc.

Już nie widziałam jej twarzy, zachmurzyło się nagle. Cały dzień spodziewałam się deszczu, ale dotąd nie padało, a przecież w Wielki Piątek niemal zawsze wieje i chłupie. Teraz też nadeszło opłakiwanie Chrystusa, tyle że za późno. Nie mogłam wracać do domu, deszcz padał grubymi kroplami i zerwał się też wiatr w ów mitologiczny sposób, jak zwykły bez uprzedzenia pojawiać się przed burzą. Wiedziałam, że jedyną rzeczą, jakiej boi się Emerenc, jest burza, i również, że daremnie protestuję, jeśli nie pójdę dobrowolnie, wciągnie mnie do sieni. Viola podwinął ogon, skomlał, on już stał w sieni, drapał zamknięte drzwi, chciał się skryć. Niebo przeszywały błyskawice, wycie psa zagłuszył grzmot. Wszystko było samą elektrycznością i samym niebieskim płomieniem, i samą wodą, i samą ciemnością.

- Cicho, Viola. Zaraz, piesku. Zaraz.

Niebo rozniebieściło się, rozsrebrzyło, rozhuczało. Czas, kiedy błyskawica rzuciła pełne światło, wystarczył, bym zdążyła zauważyć, że z kieszeni wykrochmalonego fartucha wyciąga Emerenc klucz. Pies skomlał.

- Ciii, Viola, ciii!

Klucz się obrócił. Spoglądałyśmy na siebie w świetle błyskawic. Emerenc nie spuszczała ze mnie wzroku. Pomyślałam, że się mylę, muszę się mylić. Te drzwi jeszcze nigdy się nie otworzyły. Teraz też nie mogą się otworzyć. To niemożliwe.

- Niech no pani posłucha. Jeśli mnie pani wyda, przeklnę panią, a kiedy kogoś przeklęłam, zawsze źle kończył. Teraz pokażę pani coś, czego jeszcze nikt nie widział i nie zobaczy, póki mnie nie pochowają. Ale nic innego, co w pani oczach miałoby wartość, nie mam, a że dziś uderzyłam mocniej, niż powinnam, więc podaruję pani to jedyne, co posiadam. Kiedyś i tak by pani zobaczyła, bo to właściwie należy do pani, ale chcę to pokazać już dziś, póki jeszcze żyję. Proszę wejść. Niech się pani nie boi. No, niechże pani wejdzie.

Ona szła pierwsza, ja za nią. Viola od razu precisnął się do środka. W pierwszej chwili, kiedy moje nogi eksperymentowały z krokami wśród czarnej jak smoła niepewności, nie zapaliła światła. Viola sapał, pojękiwał, i poza tymi znajomymi dźwiękami dobiegały mnie ciche szmery, tak ciche jak szmer przemykającej się ciemną nocą myszy. Przystanęłam, bo nie miałam odwagi zrobić kroku, jeszcze nigdy nie poruszałam się w tak czarnej czerni. Później oczywiście przypomniałam sobie o okiennicach, których, odkąd tu mieszkamy, nikt nigdy nie widział otwartych.

Światło, które w następnej chwili rozlało się wokół nas, było brutalne, nie żółtawe, lecz śnieżnobiałe. Emerenc nie poskapiła na żarówkę, musiała się tu palić co najmniej setka. Pomieszczenie, w którym się znalazłam, było przestronne,

sterylnie czyste, świeżo wybielone, znajdowała się w nim gazowa kuchenka, zlew, stół, dwa krzesła, dwie duże szafy i spora, pamiętająca lepsze czasy kanapka o fiołkowym, postrzępionym obiciu. Czysta była ta kuchnia, czysta jak rząd ustawionych za przezroczystą firanką w staromodnym kredensie szklanek, stała tu równie staroświecka lodówka, patrzyłam na nią i zastanawiałam się, skąd Emerenc bierze do niej lód, przecież lodziarz nie bywał tu już od lat. Viola schował się pod kanapkę, co znaczyło, że burza dopiero się naprawdę zaczyna. W pomieszczeniu unosił się dławiący zapach chloru i odświeżacza powietrza, ale poza tym robiło wrażenie starannie i troskliwie urządzonej kuchni, którą zamyka się przed ciekawskimi oczami, choć nie ma w niej nic do ukrycia ani też nic nadzwyczajnego, wyjąwszy jeden niezwykle mebel, który hermetycznie zamykał wejście do pokoju: była to zadziwiających rozmiarów szafa pancerna, której nikt nie ruszyłby z miejsca, chyba że włamywacze stawiliby się całą brygadą. Szafa pancerna Grossmannów - pomyślałam - a w pokoju zostawione przez nich meble, ale kto tam zdoła wejść i w jaki sposób, ona sama bez pomocy nie da rady. Na zewnątrz grzmiało niebo, lał deszcz. Emerenc była biała jak kreda, ale hamowała się. Później okazało się, że w szafie pancerniej jest pełno kubków.

Rozejrzałam się dokoła w zakłopotaniu. Stały tu nawet w wazonie kwiaty, a na wyszorowanej do połysku kamiennej posadzce leżały małe kawałki dywanu, jakby ktoś pociął zniszczonego persa i zachował z niego to, co nadawało się jeszcze do użytku. Wtedy spostrzegłam to, czego Emerenc nie chce pokazać światu: szereg misek i blach z piaskiem, nieodzowne atrybuty kociej higieny. W rogu między kredensem i ścianą stało pod zlewem dziewięć emaliowanych miseczek, były puste, ale ze śladami po strawie, i było tam też dziewięć małych blach. Między dwiema szafami, jak pomnik,

manekin mojej matki. Był niczym naga kobieta marszałek, która nie nosi nic poza odznaczeniami. Całe płótno było pokryte przyszpilonymi fotografiami. Było tam też zdjęcie ze starej gazety: pełna zapału, młoda twarz.

- Tak, to był on - odparła Emerenc, choć wcale nie zapytałam. - Kiedy odszedł, znalazłam tego łaciatego kota, którego mi potem powiesili. Niech się pani nade mną nie lituje, nie zasłużyłam. Nie wolno tak kochać ani człowieka, ani zwierzęcia.

Viola zaskowyczał. Wydawał głos na każdy głośniejszy grzmot, jakby odpowiadał.

- Znalazłam innego kota, w okolicy jest ich zawsze aż nadto, wyrzucają je, przeganiają, najpierw biorą dla dziecka do zabawy, a potem, jak kociak zaczyna rosnać, wynoszą gdzieś daleko i ciskają do cudzego ogrodu. No więc na miejsce powieszzonego wzięłam drugiego, ale tego znów mi otruli, pewnie ten sam człowiek, który powiesił łaciatego. Wtedy już nic nie powiedziałam, pojęłam, że stworzenie nie powinno wychodzić, tylko siedzieć w domu jak pinczerek u jaśniepaństwa, bo tylko w czterech ścianach mogę je zachować przy życiu. Z początku nie miałam tylu zwierząt, nie jestem wariatką, no a chcieć to też chciałam tylko tego pierwszego, starucha, którego zaraz kazałam wykastrować, żeby mieć spokój. Drugi przybłąkał się chory, a kiedy go wyleczyłam, nie miałam serca wyrzucić, były miłe, łagodne, cieszyły się, kiedy przychodziłam, a jak nie ma już nikogo, kto się cieszy, kiedy człowiek wraca do domu, to lepiej nie żyć. Żeby mnie pani zabiła, nie umiałabym powiedzieć, skąd się ich wzięło aż dziewięć. Jedną znalazłam w Diabelskim Rowie, darła się na dole i chciała się wygramolić, ale wciąż spadała z powrotem, dwa dał mi śmieciarz, wie pani, ten porządny, wyrzucili biedactwa do śmieci w plastikowej torbie i myślałam, że nie wyżyją, ale teraz są najładniejsze, szarego

osierocił zdun, a te trzy czarno - białe to dzieci tej z Rowu, są takie pocieszne jak błazenki z cyrku. Likwiduję wszystkie nowe mioty, bo co mam robić, ale tej trójki nie mogłam. Mają gwiazdki na piersi, a takich nie wolno zakopywać.

Wciąż tylko stałam. Burza oddaliła się, grzmoty przycichły, już prawie się nie błyskało, płonęła tylko mocna żarówka w kuchni Emerenc.

- Wiedzą, że muszą siedzieć cicho, bo one wszystkie pamiętają niebezpieczeństwa i wyczuwają też śmierć, niech się pani nie wydaje, że kiedy przyjdzie pani z zastrzykiem, nie będą z góry wiedziały, co się święci, ale żeby się pani nad żadnym nie ulitowała, śmierć to większe dobrodziejstwo niż włóczęga i bezdomność. Zanim je pani wykończy, niech je pani dobrze nakarmi mięsem, nie przywykły do mięsa i jeśli doda im pani do tego trochę środków nasennych, nie będzie trudno ich złapać. I niech pani trzyma język za zębami, bo nikt poza panią o nich nie wie, wszystkie zostały wyrwane śmierci i są mi bliższe niż syn mojego brata Józsiego. Gdyby się w domu dowiedzieli, ile ich jest, zmusiliby mnie, żebym się siedmiu pozbyła, bo prawo zezwala tylko na dwa, albo napuściliby na mnie sanepid. Nie mogę pani dać nic więcej poza tym, że pani ufam i wpuściłam tu panią. Niech pani im się przyjrzy, tylko bez ruchu, bo są płochliwe, poza mną i Violą nie znają nikogo. Viola, gdzie jesteś? Nie rób komedii, już po burzy. Na miejsce!

Viola wypełzł spod kanapki i wskoczył na nią. Pośrodku widać było zagłębienie, które widocznie sobie wyleżał.

- Kolacja! - zawołała Emerenc. W pierwszej chwili nic się nie działo, wtedy odezwała się raz jeszcze, całkiem cicho, i nagle pokój poruszył się, usłyszałam specyficzne szmery i ujrzałam rodzinę Emerenc, wszystkie dziewięć kotów, które wychodziły z rozmaitych kryjówek, zza foteli i spod szaf. Nawet na mnie nie spojrzały i teraz słychać było już tylko

jeden dźwięk, wesołe uderzenia ogona Violi. Koty stanęły przy pustych miskach i ich diamentowe ślepia zwróciły się ku Emerenc, która z wielkiej miski stojącej na kuchence zaczęła rozdzielać coś w rodzaju leczy. Kiedy podawała każdemu jego porcję, kiedy się pochylała, a z jej twarzy nie znikał uśmiech, to ten nieprawdopodobny widok wydawał się cyrkowym numerem, to dopiero była tresura! Viola, żarłok, nawet nie drgnął, choć musiał być głodny, i tylko sygnalizował ogonem, że on też tu jest, koty nie bały się go, już dawno nie widziały w nim psa. Jako ostatni dostał Viola, on miał dużą miskę, która stała na parapecie okna, i choć w domu nawet by tego nie tknął, tu pożarł leczy, wylizał miskę, a potem popatrzył na mnie wyzywająco, czy widzę, jaki z niego chwata. „Na miejsce” - rozkazała mu Emerenc, wtedy wskoczył na kanapkę, koty za nim, otoczyły go, a który nie zmieścił się przy nim czy na nim, sadowił się zgrabnie na oparciu kanapki, siedziały też na ramionach manekina, nad zdjęciami, nad moją własną fotografią. Emerenc powiedziała, że teraz nie ma już ani minuty, musi sprzątnąć wodę, bo na pewno zalało piwnicę, Violi jeszcze nie puściła, niech sobie pogada z kotami, mnie odesłała do domu. Wyszłyśmy razem, na dworze już tylko pachniało deszczem i znów wszystko było tak jak w szóstej pieśni Eneidy, szłyśmy spowite w mrok, poprzez cienie, nad nami zwodnicze, rozproszone światło księżyca. Kiedy otworzyłam drzwi naszego mieszkania, rozplakałam się. Pierwszy raz nie potrafiłam i nie chciałam wyjaśnić mojemu mężowi, co oplakuję. To był jedyny raz w historii całego naszego małżeństwa, kiedy nie odpowiedziałam mu na pytanie.

## Gwiazdkowa niespodzianka

Viola już od dawna nie żyje, przechowuję wiele jego zdjęć, często na ulicy o zmierzchu zwodzi mnie gra światła i cieni, słyszę rytmiczny, lekki tupot, choć panuje kompletna cisza i tylko wyobrażam sobie, że to on za mną pędzi, że stukają jego pazurki lub że słyszę jego szybki, ciepły oddech. Jego obraz powraca też w niektóre letnie niedziele, kiedy przez otwarte okna napływa zza wystawionych na parapety słoiki z ogórkami woń rosołu i ciasta, nikt z takim nabożeństwem jak on nie potrafił pilnować kuchni, podglądać, co się tam robi, nie można go było wprost odpędzić, zresztą nikt nawet nie chciał, bo Viola podczas gotowania był pokorny i zdyscyplinowany, czekał tylko na jakiś smakowity kąsek. Jego pożądlivość wyrażała się w specyficznym dźwięku, czymś w rodzaju westchnienia, i ktokolwiek stał przy garnkach, zawsze mu coś rzucał na ten żalony głos. Pamięć często wyrzuca z siebie także i to westchnienie.

Najczęściej spogląda na mnie z Czasu ta twarz Emerenc, którą ujrzałam, gdy pewnego razu zapytała mnie całkiem beznamietnym głosem, czy mi się jeszcze nie znudziło, że tak wciąż wokół niej krążę i spoglądam na nią rozmarzona, jakby mnie poprosiła o rękę. Czego ja właściwie chcę, przyjaźnić się z nią czy czule paplać niczym z jakąś krewniaczką. „Pani o wszystkim myśli inaczej niż ja, panią nauczyli różności, a jednak nie dostrzega pani tego, co by należało. Nie widzi pani, że daremnie się wysiła, bo ja nie potrzebuję takiego kogoś, kto nie byłby ze wszystkim mój? Pani zapakowałaby ludzi do pudełka i wyjmowała ich w miarę potrzeby, to jest moja przyjaciółka, to mój kuzyn, to moja stara chrzestna, to moja miłość, to mój lekarz, a to znów zasuszony kwiat z Rodos, niech mi pani da spokój. Jak mnie już nie będzie, niech pani czasem zajrzy na cmentarz i to mi wystarczy; skoro nie zaakceptowałam tego człowieka jako przyjaciela, bo chciałam



go na męża, to pani też niech mi tu nie udaje mojego nienarodzonego dziecka. Coś pani zaproponowałam, pani się zgodziła, ma pani prawo dostać po mnie tych parę przedmiotów, bo było nam ze sobą dobrze, choć czasami się kłóciłyśmy. Coś pani dostanie, kiedy mnie już nie będzie, nie byle co, i niech to pani wystarczy, proszę też nie zapominać, że wpuściłam panią tam, gdzie nikt inny nie był. Nic więcej nie mogę pani ofiarować, bo nic więcej nie mam. Czego by pani jeszcze chciała? Gotuję, piorę, sprzątam, wychowałam pani Violę, ale nie jestem pani zmarłą matką ani niańką, ani koleżanką. Niech mnie pani zostawi w spokoju".

Właściwie miała rację, ale nie było mi przyjemnie. Tę przysługę, o którą mnie prosiła, by po jej śmierci zlikwidować ogród zoologiczny, oddałabym każdemu, ale miałam serdeczną nadzieję, że zanim do tego dojdzie, jej menażeria skurczy się lub całkiem wykruszy, chyba Emerenc nie będzie tak szalona, by brać nowe koty, już ta dziewiątka to koszmar. Naprawdę nie było to łatwe, ale niczego nie mogłam zmienić: musiałam przyjąć do wiadomości, że to ona określa nasze relacje, a termostat nastawia oszczędnie i racjonalnie. Takie uprzejme stosunki łączyły nas z małżeństwami dyplomatów, otrzymywaliśmy i odwzajemnialiśmy sympatię i przed każdym spotkaniem przepowiadaliśmy sobie niepisany paragraf służby zagranicznej: uczucia należy trzymać na wodzy, dyplomatów co trzy lata przenoszą gdzie indziej, nie mogą więc pozwolić sobie na to, by nawiązywać z tubylcami kontakty na całe życie, zatem i my dozujemy przyjaźń, ale dopóki tu są, cieszymy się ich obecnością, bo przecież tak nam miło przebywać w ich towarzystwie.

Do tego prawa stosowaliśmy się tylko my troje, czwarty członek rodziny, Viola, nie. Zdarzyło się, że w złości ugryzł Emerenc i otrzymał za to taki cios łopata, że pękło mu żebro. Viola z wyciem zniósł interwencję lekarza, Emerenc trzymała

go przy zabiegu i tłumaczyła mu przy tym: „Dobrze ci tak, ty wsiowy byczku, możesz mi nie mówić, że się suki gonia, i nie becz, cholerniku, bo dostałeś tylko to, na co zasłużyłeś. No, otwórz ten paskudny pysk!”. I ciastko nagroda zniknęło w paszczy pełnej połyskujących, śmiałych zębów. Emerenc stawiała warunek: jeśli ktoś ją kocha, ona musi być główną postacią w jego życiu. Za oczywiste uważał to jedynie Viola i przestrzegał tego nawet wtedy, gdy ją akurat gryzł. W zasadzie najbardziej harmonijnie żyliśmy zawsze wtedy, gdy działo się u nas coś złego, a na brak kłopotów nie mogliśmy narzekać, zawsze kogoś z nas dwojga w tych niezdrowych pod każdym względem latach ścinało z nóg, bo albo ciało nie mogło odeprzeć jakiegoś ataku, albo system nerwowy informował: gra przeciwko nam jest prowadzona bronią niekonwencjonalną. W krytycznych momentach Emerenc w sposób naprawdę wyczuwalny należała do nas obojga, jej zniekształcone palce przynosiły ulgę i zdrowie, nie było nic bardziej zbawiennego, niż gdy po ciężkiej chorobie myła nas lub masowała i posypywała jakimś aromatycznym talkiem przysłanym przez Ewę Grossmann. Mój mąż kiedyś nawet powiedział, że powinniśmy wciąż konać albo zanurzać się w wodzie bez dna, by nas mogła wyciągać, byłaby wtedy spokojna i zadowolona, gdybyśmy jednak osiągnęli w życiu jakiś prawdziwie trwały sukces lub względne bezpieczeństwo, straciłaby zainteresowanie nami; nie mogąc pomóc, nie widzi sensu swojego istnienia. Było rzeczą niezwykłą, że choć nigdy nic nie czytała, zawsze docierały do niej wszystkie złowróżbne nowiny ze światka literackiego, które niekiedy doszczętnie burzyły nasz spokój; zawsze wtedy stwierdzała, że zna sprawę, i uspokajała nas, że ona ze swojej strony poinformowała już każdego, kto się liczy na tej ulicy, na wypadek gdyby dana osoba sama nie zwróciła uwagi na to, że spiskowcy znów podejmują akcję; żądała też solidaryzujących

się wypowiedzi oraz potępienia nieprzyjaciół od osób należących do kręgu jej osobistych znajomych.

W taki to sposób ustabilizowały się z biegiem lat nasze stosunki, Emerenc należała do nas w granicach, jakie sama wytyczyła, nadal przyjmowała mnie w sieni, jak wszystkich, i już nigdy nie wpuściła do swego mieszkania. Nie zmieniła też innych zwyczajów, w dalszym ciągu podejmowała się różnych prac i choć widać było, że nie przychodzi jej to już z taką łatwością jak dawniej, nie zrezygnowała nawet z odmiatania śniegu. Czasami próbowałam odgadnąć, ile też może wynosić jej realny majątek, i podejrzewałam, że syn brata Józsiego poza kryptą zdoła wybudować spółdzielczy dom z mieszkaniami dla całej rodziny. Emerenc nagradzała nas w sposób zróżnicowany: podpułkownika szanowała, Viola dostał jej serce, mój mąż nienaganną pracą - on doceniał również i to, że powściągliwość Emerenc utrzymuje we właściwych ramach moje prowincjonalne przyjazne usposobienie - mnie powierzyła zadanie do wykonania po przeminieciu zbliżającej się decydującej minuty jej życia i zostawiła mi też życzenie, aby to nie maszyna poruszała w filmie gałęziami, nie technika, lecz prawdziwa namiętność - to było dużo, to była najważniejsza darowizna Emerenc, ja jednak czułam niedosyt, chciałam czegoś więcej, na przykład pragnęłabym ją czasami objąć, jak dawniej matkę, i opowiedzieć jej o takich rzeczach, o jakich nie mówiłam nikomu, zwierzyć się jej z czegoś takiego, co nawet moja matka pojmowała nie rozumem czy dzięki wykształceniu, lecz sercem. Ale ona mnie tak ze wszystkim nie potrzebowała, a przynajmniej sądziłam, że nie potrzebuje. Dawno nie było już po niej śladu, kiedy pewnego razu pani majster - klepkowa rzuciła mi się na szyję, bo widząc mnie ze ściętymi w ogrodzie kwiatami, wiedziała, że wybieram się na cmentarz. „Była pani jej oczkiem w głowie, jej córką - rzekła. - Niech pani spyta kogokolwiek w okolicy,

jak panią nazywała: moja dziewczyna. Jak pani myśli, o kim to ona opowiadała do znudzenia, gdy biedaczka wreszcie usiadła, żeby odpocząć? O pani. Ale pani widziała tylko tyle, że rozkochała w sobie i odebrała pani psa, a tego już pani nie spostrzegła, że to ona stała się dla pani Violą".

Z grubsza przez dwadzieścia lat towarzyszyła nam w życiu, w tym okresie bardzo często spędzaliśmy tygodnie, miesiące za granicą, a ona pilnowała wtedy domu, załatwiała pocztę i telefony, odbierała pieniądze, które nam przysyłano, i nawet na godzinę nie brała do siebie Violi, daremnie skomlił, niech dom pod naszą nieobecność nie stoi pusty. Kiedy wróciliśmy z Frankfurtu z Tygodnia Książki, przywieźliśmy jej mały telewizor. Choć byliśmy przyzwyczajeni, że nie wolno nam nic jej dawać, wyobraziliśmy sobie, że zabierze ten nieosiągalny u nas jeszcze przedmiot do Zakazanego Miasta, a ponieważ rzecz jest w kraju unikalna, to chyba tym razem jej dążący do wyłączności świat uczuć zareaguje inaczej niż zwykle: tylko ona na całej ulicy będzie miała minitelewizor. Przyjechaliśmy na święta, znów było Boże Narodzenie, jak wtedy, kiedy znaleźliśmy Violę, w tamtych czasach telewizja nie nadawała jeszcze tylu jednoznacznie religijnych programów, raczej muzykę ludową, i tego dnia też śpiewały dzieci w kozuchach i futrzanych czapach, natomiast po kolacji miał być piękny, sentymentalny film nakręcony jeszcze podczas drugiej wojny. Wyobraziliśmy sobie, jak cieszy się teraz Emerenc, która podała nam już kolację, ale jakoś nie bardzo było po niej widać, by była szczęśliwa, tylko patrzyła na mnie tajemniczym, poważnym wzrokiem, jakby właśnie coś chciała powiedzieć, ale się wahała. Byłam w euforii: naprawdę przyjęła podarunek. Podziękowała, życzyła nam wesołych świąt i odeszła. Tamtego roku była piękna Gwiazdka, jak na lakierowanych widokówkach z czasów mojego dzieciństwa, za oknami krążyły wielkie, miękkie

płatki śniegu. Przez całe życie zima była dla mnie najpiękniejszą porą roku, urzeczona, w świątecznym nastroju stałam przy oknie, patrzyłam, i wśród moich gwiazdkowych myśli była także Emerenc, dumna właścicielka telewizora, która siedzi teraz w swoim mieszkaniu i świętuje.

Mam wrażenie, że wszystko, co wydarzyło się później, nastąpiło z powodu tego, co miało miejsce tego wieczoru, jakby niebo cisnęło nam w twarz podarunek lub jakby Bóg Emerenc, którego się wprawdzie zawsze zapierała i którego wciąż obrażała, ale stał za nią przy każdym jej kroku i strzegł jej z ukrycia, dał mi ostatnią szansę, bym nie tylko patrzyła, ale także widziała. Staliśmy przy oknie nad uliczną latarnią, której światło przedzierało się nawet przez najdzikszą zadymkę, i patrzyliśmy na zimę w wirujących płatkach. Nagle w kadrze ulicy pojawiła się Emerenc, zamiatała, jej chustka, ramiona i plecy bieleły pod grubym, śnieżnym całunem, odmiatała śnieg w wigilię Bożego Narodzenia, bo chodnik nie mógł zostać nieposprzątany.

Krew nabiegła mi do twarzy, Emerenc wyglądała z góry jak słomiany chochoł. O słodki Chryste, który właśnie przyszedłeś na świat, co za prezent przywiozłam tej starej kobiecie? Kiedy ona może sobie spokojnie posiedzieć w domu, skoro od ranka do ranka wzywają ją obowiązki? To dlatego spoglądała na nas takim zranionym, osobliwym wzrokiem. Emerenc, gdyby nie to, że była delikatniejsza ode mnie, w ogóle nie przyjęłaby telewizora lub zapytała, czy choć od czasu do czasu odmieciemy za nią śnieg albo zastąpimy ją na dyżurze w pralni, bo kiedy ona wreszcie może paść na kanapę, Budapeszt nie nadaje już programu. Nie mieliśmy odwagi się odezwać, mój mąż odczuł to samo co ja, było nam wstyd nawet wyglądać przez okno, odwróciliśmy się plecami do miotły Emerenc, Viola drapał do balkonowych drzwi, chciał wyjść, ale mu nie pozwoliłam. Żadne z nas się nie

odezwało, po co, tu nie słowa były potrzebne, tylko działanie, ale my wróciliśmy do własnego telewizora i do dziś nie mogę sobie wybaczyć, że choć przeszło mi przez myśl, co powinnam zrobić, to na tej myśli poprzestałam. Zawsze umiałam filozofować, nigdy nie wstydziłam się też przyznać, gdy się myliłam, i tylko to jedno nie przyszło mi do głowy, że w porównaniu z nią wciąż jeszcze jestem młoda i silna, a jednak nie poszłam odgarniać śniegu i nie odesłałam jej do domu, żeby to ona obejrzała program, choć poradziłabym sobie z miotłą, dość się z nią natańczyłam na prowincji, bo to ja w panieńskich czasach utrzymywałam porządek przed domem. Nie zeszałam, ani mi się śniło. Była Wigilia, ja też dla urozmaicenia po ulubionych słonych i kwaśnych przysmakach chętnie jadam niekiedy słodyczne i z przyjemnością obejrzę piękny, miłosny, smutny film po tych wszystkich egzystencjalnych i groteskowych dziełach.

## Akcja

Tak, mam wrażenie, że to był właśnie początek końca. Gdzieś pod koniec lutego Emerenc złapała grasującą od jesieni gripę, oczywiście cały czas chodziła, nie zwracała na nią uwagi, zima tamtego roku była nadzwyczaj śnieżna, więc Emerenc całą swą energię skupiła na utrzymaniu ulicy w porządku, wszyscy słyszeli, jak kaszłała. Sutu i Adelka nosiły jej grzane wino z korzeniami, które nazywały herbatą, Emerenc wlewała w siebie słodzony alkohol, co pewien czas przystawała, opierała się na miotle i długo, przeciągle kaszłała. Adelka pielęgnowała ją, dopóki jej samej nie ścięło z nóg, była tak chora, że zabrali ją do szpitala. Emerenc wyraźnie ulżyło, kiedy przestała ją widywać, Sutu okazywała solidarność w dyskretniejszy sposób, natomiast wyszczekana Adelka nie zamykała ust i Emerenc było nie w smak już samo to, że tamta krzyczała na całą ulicę, że ta staruszka nawet się nie ma kiedy położyć, bo wciąż sypie ten przekłety śnieg i ona wciąż musi zaczynać od nowa przed którymś domem, a przecież jest taka chora. Koleżanka szkolna, która w swoim czasie zwróciła mi uwagę na Emerenc, zaczęła mnie pewnego razu, mówiąc, żebym skłoniła staruszkę do wizyty u lekarza, a przynajmniej niech się położy i zostawi to odmiatanie, bo w przeciwnym razie będzie ją to drogo kosztowało, ona słyszy jej kaszel i według niej Emerenc ma już nie gripę, lecz zapalenie płuc. Emerenc z trudem łapała oddech, kiedy chwyciłam ją za ramię, żeby się wreszcie zatrzymała i wysłuchała, co mam do powiedzenia. Krzyknęła, żebym jej nie denerwowała, bo jeśli tak bardzo chce mi się pomagać, to mam się sama zająć gospodarstwem, sprzątać i gotować, dopóki tak wali ten przekłety śnieg, ona nie może się ruszyć z ulicy, a odpoczywać jej się akurat nie chce, co za idiotyczny pomysł, żeby miała się kłaść do łóżka, przecież wiem, że ona nawet takowego nie ma, a zresztą, po co miałyby

się kłaść, skoro w każdej chwili mogą ją wydzwonić, lokatorzy mają wprawdzie klucze, ale może się zjawić władza, niespodziewany gość, w nocy i tak najlepiej, gdy siedzi, bo wtedy najmniej bołą ją plecy, więc jeśli łaska, mam się nią nie zajmować, nudzi ją to, nikomu nic do tego, czy ona leży, czy nie, i w ogóle co robi, ona też mnie nigdy nie pytała, po co komuś w moim wieku tyle środków upiększających w łazience. Do łóżka niech się położy moja koleżanka, lekarz też niech się położy do łóżka i oby z niego nigdy nie wstał żaden drań, który chce nią dyrygować.

Wielkie róże płonęły na jej policzkach z gorączki i zdenerwowania, z jeszcze większą furią odmiatała dalej śnieg, jakby miała do niego osobistą sprawę, którą tylko ona potrafi załatwić. Sutu i majster - klepkowa przynoszą jedzenie, zawołała za mną, dla wszystkich starczy, mam się o nic nie martwić, nie znosi, jak się ją podgląda. Ona dotąd nigdy jeszcze nie miała ataku nerwowego, ale jeśli nie przestaniemy jej zamęczać, to chyba wybuchnie. Głos uwiązł jej w gardle, rozkaszała się, a potem odwróciła ode mnie. Nie zatrzymała teraz przy sobie Violi, powiedziała, że nie może z nim spacerować, a dla psa niedobre jest stanie, mam go zabrać do ciepłego domu, bo i on się przeziębi.

Był to pod każdym względem szczególny rok, także dla nas, po Bożym Narodzeniu z telewizorem zaczęło się układać również moje życie. Zaraz po Nowym Roku jakby jakaś niewidzialna dłoń odkręciła tajemniczy kran, z którego w życiu człowieka sączy się dobro i zło i bywa bądź zakręcany, bądź odkręcany. Wtedy się właśnie z niego polało. Nie strumieniem, ale odczuwalnie, jeszcze nigdy w życiu nie miałam tylu rzeczy do zrobienia i załatwienia jak wtedy i długo nie domyślałam się przyczyny tej nagłej zmiany. Przez tyle lat wypychano mnie poza niewidoczny, ale aż nazbyt rzeczywisty krąg, że z trudem pojęłam, iż gdzieś podjęta



została inna decyzja i oto unosi się szlaban, który zawsze był zamknięty, brama, do której w ostatnich czasach już nawet nie kołataliśmy, sama się otwiera i jeśli chcę, mogę wejść. Z początku nie próbowałam nawet analizować znaków, Emerenc odmiatała śnieg i kaszlała, ja robiłam zakupy, gotowałam, sprzątałam, karmiłam psa, wyprowadzałam go na spacer i łamałam sobie głowę, co wstąpiło w te czy inne organa, że tak nagle zaczynają na mnie reflektować, oby Emerenc równie nagle zapragnęła skorzystać z usług jakiegoś lekarza, ale kiedy tylko o tym wspominałam, wrzeszczała, bym jej zeszła z drogi, bo chyba każdy ma prawo do kaszlu. Dopóki pada śnieg, ona ma robotę na ulicy, jej starczy, jeśli zadbam o własny dom, do czasu aż będzie mogła do nas wrócić, tylko żebym jej nie drażniła lekarskami i lekarzem, bo szkoda języka. Tak biegnie chrząszcz, gdy się go popędzi, jak ja biegałam wśród rozlicznych zajęć, nie było przy mnie ułatwiających życie rąk Emerenc, za to jednocześnie zgłaszały się wszystkie redakcje, szukali mnie fotografowie, robili mi zdjęcia i wtedy już zrozumiałam, że szykuje się coś dobrego, bo gdyby chciano zrobić mi świętostwo, wrzawa miałaby inny ton; tak pozytywnych recenzji nie pisywano dotąd o mojej twórczości i świat nigdy dotąd tak bardzo się mną nie interesował. Wciąż musiałam dokądś chodzić, wciąż telefonowali dziennikarze, zgłaszały się radio i telewizja, wszystko wokół mnie stało na głowie. Nawet kiedy koledzy zaczęli robić aluzje, jeszcze nie pojmowałam, ale któregoś ranka, po telefonie z pewnego ważnego miejsca, mój mąż wreszcie się odezwał. Nigdy, ani przedtem, ani potem, wyjąwszy godziny po naszym ślubie, nie widziałam na jego twarzy takiego blasku jak wówczas. Nagroda. No jasne, że nagroda. Tymczasem zrobiła się już połowa marca i te sygnały, a zwłaszcza ostatni, przyjacielski telefon, właściwie w zupełnie innej sprawie, nie mogły oznaczać nic innego niż

to, że w swoim czasie przyślą także oficjalną decyzję. Cieszymy się, cieszymy, przecież skończyły się dla mnie właśnie dziesięciolecia walki i oporu. Więc cieszymy się wreszcie!

Czułam tylko, że jestem śmiertelnie zmęczona, że wyczerpuje mnie to nowe życie, które bez żadnego przygotowania zaczęło się niemal ustawicznie toczyć na forum publicznym, a poza tym załamał się ład naszego domu: nie było Emerenc. Trudno było zsynchronizować tę właściwie uszczęśliwiającą huśtawkę, która na dodatek kołysała się w coraz mocniejszym blasku reflektorów, z zajmowaniem się Violą, paleniem w piecach, gotowaniem, zakupami, sprzątaniami, bieganiem do pralni. Adelka wyszła wreszcie ze szpitala i mieliśmy nadzieję, że w zastępstwie Emerenc zacznie wraz z Sutu sprzątać ulicę. Z początku najbrutalniej odmówiły, bo Emerenc, ile sił w chorym gardle, wrzasnęła, żeby zeszły jej z drogi, a potem nagle przycichła, co więcej, znikła z ulicy. Sutu zamknęła budkę, w której sprzedawała pieczone ziemniaki i kasztany, wywiesiła kartkę, że nieczynne z powodu choroby, i razem z Adelką wzięły się do brzoźowych mioteł. Pewnego przedpołudnia okazało się jednak, że nawet we dwie nie wykonują połowy tego co Emerenc, gdy była zdrowa. Staruszka, nawiasem mówiąc, ukryła się przed nami. Kiedy pan Brodarics zastukał do niej, by zapytać, czy czegoś nie potrzebuje, zawołała przez drzwi, żeby dać jej spokój i niech jej nikt nie odwiedza, bo i tak nikogo nie wpuści, i żeby jej nie przynosić lekarstw, bo ich nie będzie zażywać i jeszcze żeby lekarz nie pokazywał się jej na oczy, bo ona potrzebuje tylko wypoczynku, a jak się już porządnie wyśpi, stanie na nogi. Violi też nie chce, denerwuje ją, jak biega, a mnie żeby się nie śniło przychodzić, bo nie ma ochoty mnie ani widzieć, ani słyszeć. Zrozummy: nie chce nikogo! Nawet mnie.

Emerenc znikła. Ulica bez niej była nierealna i wyludniona jak pustynia. Typowe, że to, co poczułam na wiadomość, że Emerenc nie ma, że się ukryła i zamknęła także przede mną, to nie była litość, lecz czysta, sterylna pasja. Mnie też nie chce widzieć, ja też mam jej nie przeszkadzać? Cóż za delikatność! Teraz, kiedy jest zapotrzebowanie na każdą moją minutę, moje życie znalazło się w impasie, sytuacja zamiast się polepszać wciąż się pogarsza, bo wszystko się na mnie wali, mężowi nie wolno wychodzić na mróz, pies cały dzień skomli, w mieszkaniu musi być zawsze idealny porządek, bo przecież wciąż ktoś przychodzi, ciekawe, kiedy mam sprzątać, skoro bez przerwy dzwoni telefon i ściga mnie prasa. Gdy wychodziłam z domu, na ulicy zawsze panował ruch, Sutu i Adelka zamiatały, robiąc sobie przerwy na plotki, a sąsiedzi, którzy nauczyli się od Emerenc, jak winien się zachowywać przyzwoity człowiek w przypadku czyjejś choroby, z garnkami i menażkami w rękach wydeptywali śnieg na ścieżce wiodącej do sieni Emerenc. Ode mnie nic nie dostawała, ja w porze posiłków otwierałam dwie puszki i jedliśmy konserwy w trójkę z psem, a tego to już naprawdę nie mogłam nosić chorej, za to inni prześcigali się nawzajem, nikt nie oblał egzaminu, tylko ja, bo wprawdzie po parę razy dziennie podchodziłam do jej drzwi i pytałam, co mogłabym dla niej zrobić, ale na tym się moja troskliwość kończyła, zresztą staruszka ani przez chwilę na nią nie reflektowała. Kiedy pytałam, czyby czegoś nie chciała, drżałam ze strachu, by nie przytaknęła, nie radziłam sobie nawet z tym, co już miałam na karku, a co dopiero mówić o czymś więcej, śnieg zakłócił dostawy, po cztery, pięć razy na dzień biegałam do sklepu, bo nie dowozili na czas towaru, ciągałam ze sobą Violę, nie znajdowałam podstawowych rzeczy, bo prawie wszystko się w domu skończyło i trzeba było kupić nowe, uzupełnić zapasy, ślizgałam się do domu z

wyładowanymi siatkami i prawie nigdy nie mogłam dogonić samej siebie. A tymczasem w naszym mieszkaniu działali fotoreporterzy i nigdy nie wychodziłam na zdjęciach taka zmęczona, brzydka i mizerna, jak w okresie przed nagrodą.

Emerenc nie otwierała drzwi, nie pokazywała się, żądała, by jej nie przeszkadzano. Jej głos utracił moc, jakoś się zmienił, nie był stłumiony, lecz obcy, zgrzytliwy. Niezmiennie nie zgadzała się na lekarza, a ja najlepiej wiedziałam dlaczego. Jedzenie, które jej przynoszono, czekało na ławie, z początku musiała je zabierać, bo odstawiała puste, umyte naczynia; naprawdę zaczęłam się bać, kiedy już po nie nie chodziła i stały tam jeden przy drugim nietknięte dary ulicy. Na pytania odpowiadała przez drzwi, twierdziła, że nie chce się jej jeść, a zresztą ma pełną lodówkę. Mówiła, jakby miała kluski w ustach, bełkotliwie, sądziłam, że kuruje się zbyt dużą ilością alkoholu. Zdawałam sobie sprawę, że mówi nieprawdę, widziałam tę jej lodówkę, nie działała na prąd, a na ulicy już od dawna nie rozwożono lodu. I znów tak samo, jak w Wigilię, zarejestrowałam tylko część tego, co pojęłam: że kłamie, ale nie zastanawiałam się już, czym żyją ona i koty. Może ma jeszcze coś do jedzenia - łudziłam się - przecież tyle wszystkiego dostawała, możliwe, że ma pełne wszystkie naczynia, między szybami okien jest zimno, nie popsują się resztki. Nie łamałam sobie głowy, wciąż gdzieś pędziłam, wciąż mnie szukano, więc tylko podchodziłam pod drzwi, proponowałam pomoc, że wezwę do niej mieszkającego po sąsiedzku profesora, choć z góry wiedziałam, że odmówi, i rozjaśniałam się, gdy rzeczywiście odmawiała, bo nowa akcja po prostu nie mieściła się w moim życiu. Szczęśliwie byłam jeszcze na tyle przytomna, że próbowałam skontaktować się z podpułkownikiem, żeby przynajmniej wiedział o chorobie Emerenc, ale nie zastałam go w pracy, wyjechał i nie wolno im było podać mi nazwy domu wypoczynkowego,

zawiadomiłam syna brata Józsięgo, który zaraz przyjechał, ale, rzecz jasna, on też się nie dostał do mieszkania, zostawił więc na progu cytryny, pomarańcze i garnek gołąbków. Wreszcie pewnego wieczoru przyszedł do nas pan Brodarics i zapytał, czy ja właściwie wiem, odkąd staruszka nie pokazała się w sieni, bo mamy już koniec marca i jeśli on dobrze liczy, nie otwierała drzwi od dwóch tygodni. Sąsiedzi się denerwują, bo może się stać coś złego, jeśli lokatorzy, choćby wbrew jej woli, nie sprowadzą do niej lekarza czy jakiejś pomocy. Pan Brodarics zwrócił też moją uwagę na fakt, że, jak wiem, do łazienki wchodzi się u Emerenc z sieni, ona zamyka to pomieszczenie na klucz, ale ostatnio wcale z niego nie korzysta, sień zasypana jest śniegiem, a na śniegu nie ma śladów prowadzących do tamtych drzwi, są tylko ślady nóg sąsiadów przynoszących jedzenie. Jak więc Emerenc załatwia naturalne potrzeby? Zza kuchennych drzwi docierają przykre zapachy, on ma złe przeczucia, nie można dłużej tolerować tego maniackiego zamykania się przed światem, tu trzeba działać, bo staruszka przypłaci życiem. Jeśli w dalszym ciągu nie zechce wpuścić ani sąsiadów, ani lekarza, wyważą drzwi. Adelka wczesnym rankiem przyprowadziła lekarza rejonowego, który próbował się dostać do mieszkania, ale Emerenc ich przepędziła, według Adelki ledwie mogła mówić, wybełkotała, żeby ją przestali nachodzić. Byłoby dobrze, gdybym się włączyła do akcji ratowniczej, i to prędko, bo jeszcze się ta biedaczka wykończy.

Załamalam się. Nikt poza mną nie może tam wejść z przyzwoleniem Emerenc, ale ona mnie teraz też nie chce i jeśli się zorientuje, że próbujemy wejść siłą, może to mieć nieobliczalne skutki. Byłam tak przestraszona, że wreszcie wymyśliłam, jak można by rozwiązać tę sprawę, i powiedziałam panu Brodaricsowi, żeby zaczekał do jutra, bo muszę porozmawiać z Emerenc sama, w cztery oczy, a potem

dam im znać, czy mi wyszło to, co planuję, jeśli nie, będziemy się dalej naradzać. Po południu pobiegłam do niej, zawołałam przez drzwi, że zobowiązuję się utrzymać i nie zaniedbać tego, przez co nie chce otworzyć, nikt tam poza mną nie wejdzie, a ja załatwię wszystko, co trzeba, jeśli nie chce, nie musi nawet iść do szpitala, położy się u nas, w pokoju mojej matki, będzie razem z Violą. Lekarz już czeka i ona na pewno prędko wróci do zdrowia po lekarstwach.

Nawet głos miała mocniejszy, tak ją oburzył mój pomysł, do mnie nie bełkotała, wykrzykiwała, że jeśli nie zostawimy jej w spokoju, to jak tylko wyzdrowieje, złoży na nas skargę za nachodzenie jej mieszkania, jesteśmy bezczelni i nachalni, a ona ma prawo być na zwolnieniu i leżeć, siedzieć albo stać, gdzie jej się podoba, moja noga nie przestąpi jej progę, podobnie jak nogi innych drani, a gdyby jednak ktoś wszedł, niech się liczy z tym, że ona ma siekiere i zabije. Odpędziła mnie, przerażona wróciłam do domu. Wieczorem przyszedł do nas pan Brodarics z majster - klepką, zjawił się też syn brata Józsiego i wspólnie zadecydowali, że sforsują drzwi, a lekarz będzie już wtedy czekał przed domem. Syn brata Józsiego nie zabierze jej wprawdzie do siebie, bo się boi, żeby mu nie pozarażała dzieci, ale wniesie ją do nas po schodach. Muszę tylko ją skłonić, żeby uchyliła drzwi, żeby przekręciła klucz, a reszta pójdzie już sama.

Mój mąż nie zaprotestował ani słowem, choć wszystko omawialiśmy w jego obecności, i tylko nie rozumiał, dlaczego tak bardzo denerwuje mnie myśl, że wyważą, a potem wstawią na miejsce drzwi do mieszkania Emerenc, to chyba nie nowina, że staruszka nie otwiera? Zawsze było jej brak piątej klepki, więc co w tym dziwnego, że się uparła i ukryła niczym Achilles? Uratujemy ją wbrew jej woli. Mam ją sprowadzić do nas, jeśli się tylko na to zgodzi, on wprawdzie nie lubi obcych w mieszkaniu, ale to teraz nieważne, staruszkę trzeba

pielegnować, trzymać w ogrzonym pomieszczeniu, kto ją zostawi na pastwę losu, do końca życia sobie nie daruje, to jest sytuacja wyjątkowa. Natomiast moja panika jest nieuzasadniona, przecież kocham Emerenc, dlaczego więc myśl, że ją do nas weźmiemy na jakiś czas, przeraża mnie tak bardzo, że prawie płaczę. Nie odpowiedziałam, nawet nie mogłam odpowiedzieć. Ja przecież znałam Zakazane Miasto.

Uzgodniliśmy z lekarzem i panem Brodaricsem, że tę ostatnią noc spędzi jeszcze Emerenc w domu, a do działania przystąpimy nazajutrz, po godzinach przyjęć w przychodni. Noc nie była łatwa, z trudem mijały godziny, właściwie wciąż się jeszcze wahałam, ale potem zdecydowałam: nic innego nie mogę zrobić, jeśli nie otrzyma pomocy lekarskiej, wykończy się, zdołam ją uratować tylko wtedy, gdy ją zdradzę. Emerenc jest z żelaza, może jeszcze nie jest za późno, jeśli wykażę trochę sprytu, może nawet uda mi się zachować jej tajemnicę, wymaga to tylko dodatkowej, nadludzkiej pracy, dobrze przemyślanej serii kłamstw i wielkiej energii. O świcie poszłam do niej, zastukałam i poprosiłam, żeby zrobiła dla mnie tylko tyle, że po południu wyjdzie na moment przed drzwi, by uspokoić sąsiadów, to źle, gdy nikt jej nie widzi, bo ludzie domyślają się czegoś gorszego, niż jest, nikt się nie godzi na pozory obojętności, przecież ona wie, jak ją tu kochają. Mój plan polegał na tym, że jeśli uda mi się namówić ją, by uchyliła drzwi, stojący za mną lekarz chwyci ją za rękę i wyciągnie za próg, a potem majster - klepka, pan Brodarics, syn brata Józsiego i ja przeniesiemy ją do nas. Odparła, że właśnie chciała po mnie posłać i wprawdzie nie wyjdzie przed drzwi, ale ja mogę stanąć w sieni z dużym, podłużnym pudełkiem, bo zdechł jej stary kot kastrat i mam go pochować. Lekarz jej niepotrzebny, nikt nie ma prawa zbliżyć się do jej mieszkania, jeśli nie wierzą, że żyje, niech się powieszają, uwierzą, jak mi coś poda, mam im powiedzieć, że zabieram

brudną bieliznę, nie będzie się tłumaczyć przed tymi ciekawskimi darmozjadami. Ledwie zrozumiałam jej znów prawie nieartykułowany szept, ale gdy pojęłam jego sens, poczułam, że oszaleję. Nigdy w życiu nie przechowywałam żadnych pudełek, gdzie ja mam jej teraz zdobyć trumnę dla kota, a poza tym, co pocznę w nawale zajęć z kocim trupkiem? Oczywiście obiecałam, znalazłam w piwnicy zniszczoną walizkę i w końcu nawet poprawił mi się humor, śmierć kota ułatwiała mi zadanie. Kiedy Emerenc będzie mi podawała walizkę, musi uchylić drzwi, a wtedy lekarz ją chwyci i wyciągnie, żeby tylko wszystko zgrało się jakoś w czasie, bo lekarz może przyjść tylko wtedy, gdy ja muszę jechać do telewizji, gdzie mają robić ze mną wywiad, zamówili mnie na czwartą, przyślą samochód za kwadrans czwartą i o tej samej porze lekarz stanie pod drzwiami Emerenc. Zawołam, że jestem, Emerenc uchyli drzwi, podam jej walizkę, wezmę kota i w tym momencie lekarz z synem brata Józsiego, panem Brodaricsem i majster - klepką wyciągną ją z mieszkania, przeniosą do nas, a ja pojedę do telewizji. Byłam zielona ze zdenerwowania, opychałam się środkami na uspokojenie jak pralinkami, choć rano i przed południem wszystko wydawało mi się takie proste. Wstydziłam się, że to proste rozwiązanie już wcześniej nie przyszło mi do głowy. Zmieniłam pościel w pokoju mojej matki, napaliłam w piecu, co pewien czas zjawiali się dziennikarze, których zapewne nieco dziwiło, że akurat tego dnia robię wielkie sprzątanie w nieopalanym przez całą zimę pokoju; a Viola bez przerwy ujadał. Teraz już wiem, dlaczego nie liczyłam się z możliwością porażki: po raz pierwszy w życiu paliło się wokół mnie mocne światło i interesował mnie przede wszystkim jego blask, a wszystko pozostałe docierało do mojej świadomości tylko powierzchownie. Właściwie nikt normalny nie mógł wątpić w to, że mój plan jest realny,



wszyscy wiedzieli, że Emerenc nas lubi, pokój mojej matki stoi nieużywany, Viola będzie szczęśliwy, a staruszka przecież zna mnie na tyle, by wiedzieć, że jeśli obiecuję nie wpuścić nikogo do jej mieszkania, które natychmiast zamknę na klucz, i podejmę się dbać o żyjące tam zwierzęta, to dotrzymam słowa. Właściwie bałam się tylko jednego momentu, tego, kiedy okaże się, że przed drzwiami stoję nie tylko ja, jedyna istota na świecie, na której prośbę skłonna jest je otworzyć, lecz także inni, a wśród nich jej odwieczny wróg, lekarz. Bałam się tego bardziej niż popołudniowego występu w telewizji, a przecież na samą myśl, że posadzą mnie przed kamerą, miałam taką treść, że oblewałam się zimnym potem.

Uzgodniliśmy z lekarzem, że spotkamy się w sieni Emerenc, udało mi się jeszcze podać obiad; Viola tego dnia zachowywał się jak nienormalny, przede wszystkim dlatego, że nie przestawał wyc, potem natomiast oniemiał. Wyszedł na spacer, ale natychmiast chciał z powrotem do domu i nawet nie wydał głosu, gdy zadzwoniono do drzwi, nawet nie podniósł łba, choć nie spał, miał otwarte oczy. Powinnam była zrozumieć to jego totalne załamanie, ale cóż, ja to nie Emerenc, więc nie zrozumiałam nawet, dlaczego rozszalał się, widząc, że wychodzę bez niego. Niosłam trumnę dla kota, uczestnikom akcji odpowiedziałam, że walizka jest potrzebna na rzeczy Emerenc, które trzeba będzie do nas zabrać. Zjawił się syn brata Józsiego, na dodatek w tej samej chwili co samochód z telewizji - kierowca przywiózł wiadomość, że przepraszają, ale tak się złożyło, że akurat jest wolna charakterystyka i trzeba jeszcze przed programem uzgodnić parę rzeczy z reżyserem, niestety, źle sobie wykalkulowali, kiedy mam przyjechać, i musimy ruszać natychmiast, zatem ruszajmy. Powiedziałam, że natychmiast nie mogę, mam sprawę, której nie da się odłożyć na później, ale to potrwa niedługo, kierowca odpuścił mi więc pięć minut i to by w

zasadzie wystarczyło, przecież miałam tylko pobiec do Emerenc i wziąć przez drzwi walizkę z kotem, mężczyźni wyciągną ją i przeniosą, a podczas gdy oni będą z nią pertraktować, ja zamknę drzwi jej mieszkania, wrócę do domu, oddam jej klucz i uspokoję ją, że wszystko będzie w porządku i nikt tam nie wejdzie. Po telewizji usiądę przy niej i przekonam ją, że będzie nam ze sobą dobrze i że uczciwie zajmę się jej lokatorami, dopóki ona nie wyzdrowieje. Przekonać Emerenc! Jak ja to sobie wyobrażałam? Pewnie wyłączył mi się mózg, wierzyłam w to, w co chciałam, a jednocześnie próbowałam sobie wyobrazić, na jakie pytania będę musiała odpowiedzieć w telewizji. Kiedy nadeszła pora, pobiegłam do Emerenc, była dokładnie za kwadrans czwarta, kierowca wymownie pokazał mi zegarek na lewej ręce i rozpostarł pięć palców prawej. Dobrze, przecież obiecałam. Pięć minut, nie dłużej.

Był sam koniec marca, zimny, ale pachnący, w ogrodzie Emerenc kwitły fiołki, aż fioletowa była od nich trawa pod oknem. Zastukałam do drzwi, lekarz z panem Brodaricsem, majster - klepką i synem brata Józsiego stali w pogotowiu, uprzedziłam ich, żeby się nie ruszali aż do chwili, kiedy będę odbierała od Emerenc walizkę. Cała ulica wiedziała już, co się szykuje; ludzie jak na obrazach Breughla zbili się w barwne grupki, wszyscy tu wszystkich znali i byli zadowoleni ze znalezionej wreszcie rozwiązania. W bramie majster - klepka powiedział, że zapach, który już wczoraj był straszny, dziś stał się jeszcze ostrzejszy i gęściejszy, gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, sądziłby, że śmierdzi trupem, podobny smród czuło się po obłożeniu.

Poprosiłam, by wszyscy odsunęli się na bok, muszę zostać przy drzwiach całkiem sama, na to cofnęli się nawet ci stojący na ulicy, choć wiele by dali, żeby zobaczyć, jak ratujemy opierającą się Emerenc. Kiedy w sieni było już całkiem pusto,

a lekarz czekał za węglem na swoją kolej, zastukałam. Emerenc powiedziała, żebym nie wchodziła, tylko podała jej pudełko, ale mam się nie ruszać i czekać. Kierowca przed naszym domem nacisnął klakson, nie mogłam mu odpowiedzieć, obserwowałam poruszające się drzwi i rękę Emerenc, twarzy nie było widać, ponadto prawdopodobnie siedziała po ciemku albo teraz zgasiła światło, bo za drzwiami było całkiem czarno. Smród, który buchnął przez drzwi, był taki, że najchętniej podniosłabym rękę do nosa, ale tylko stałam wyprostowana i uważna, jak pies na polowaniu, z mieszkania naprawdę zionął odór rozkładu, jaki pamiętałam z obleżenia Budapesztu, smród ludzkiego i zwierzęcego moczu, ale kto mógłby wtedy zajmować się takimi szczegółami. Podałam walizkę, a kierowca znów zatrąbił. Emerenc zamknęła drzwi, wewnątrz pstryknął wyłącznik. Lekarz wyjrzał zza węgła, dałam mu ręką znak, by pozostał, gdzie jest. Na ponowny dźwięk klaksonu znów uchyliły się drzwi, Emerenc podawała mi nie walizkę, lecz trupka owiniętego w jakiś stary płaszcz, walizka okazała się za mała, nie mieściły się w niej wyciągnięte zwłoki, trzymałam je na ręku jak zamordowane niemowlę. Chciała od razu zamknąć drzwi, ale lekarz już wsunął nogę w szczelinę, do akcji ruszył też syn brata Józsiego. Czy weszli do środka, czy też, jak było umówione, wyciągnęli Emerenc z domu, tego już nie mogłam sprawdzić, bo biegłam ze zdechłym kotem w stronę naszego domu, na ulicy, wśród breughlowskich postaci, zrobiło mi się niedobrze, wrzuciłam kota do śmietnika. Klakson już w ogóle nie milkł, jak szalona wpadłam do mieszkania, czułam, że jeśli natychmiast nie puszcę na palce gorącej wody, w telewizji ani jeden dźwięk nie wyjdzie mi z gardła, daremnie będą mnie pytać, dlaczego wszystko jest takie chaotyczne, takie poplątane. Już na pewno niosą do nas Emerenc, na pewno protestuje, ciągną ją, może prowadzą, powinnam przy niej

teraz być, ale to przecież niemożliwe, nic nie poradzę, nie będę. „Zrobisz coś? - zapytałam mojego męża, który później powiedział, że mój głos i twarz były nie do poznania. - Nie czekaj, aż przyjdą, pobiegnij tam, zamknij na klucz mieszkanie Emerenc, zanim zajrzy tam ktoś z ulicy. Ty też nie zaglądaj, a kiedy ją tylko wniosą, natychmiast oddaj jej klucz i powiedz, że ja sama wszystko załatwię. Ten kierowca nie zdejmuje już ręki z klaksonu, więc nie mogę ani zostać, ani niczego jej osobiście wytłumaczyć". Obiecał, ja pobiegłam do samochodu, on do willi, gdzie mieszkała Emerenc. Staruszki nie było widać, ekipy ratowniczej także, rozlegał się tylko jakiś hałas, jakiś łomot, udałam głuchą, padłam na siedzenie samochodu i wyjechaliśmy z ulicy.

## Bez chustki

Kiedy człowiek popełnia coś niewybaczalnego, nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę, a jednak po fakcie rodzi się w nim jakieś podejrzenie. Wmawiałam sobie, że nieprzyjemne wrażenie napięcia to trema przed kamerą, choć było to tylko poczucie winy. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, okazało się, że jednak źle sobie wykalkulowali, kiedy mam się zjawić, już byliśmy spóźnieni, znalazłam się więc w studio bez charakteryzacji, byłam zdenerwowana, wyglądałam niekorzystnie i widziałam, że dziennikarz więcej się po mnie spodziewał oryginalnych myśli, ja jednak, odpowiadając na jego pytania, miałam w głowie swoje domowe problemy. Umówiliśmy się z lekarzem, że jeśli Emerenc nie dolega nic poważnego i nie należy się obawiać tragedii, zostanie u nas, gdyby jednak choroba okazała się ciężka, a zwłaszcza niebezpieczna dla życia, zabierze ją pogotowie, w każdym przypadku po moim powrocie wszystko już będzie jasne. Rozmowa przed kamerami trwała długo, bo uczestniczyło w niej wielu ludzi, zresztą nie skończyło się na rozmowie, bo mnie nie puścili. Choć ledwie mogłam się doczekać, by stamtąd wyjść, poczułam się w siódmym niebie, przecież pierwszy raz byłam w telewizji. Gdybym się bardzo upierała, pewnie mogłabym sobie pójść, ale to było niecodzienne przeżycie: mogłam poznać ludzi, których dotychczas widywałam na małym ekranie. Wiedziałam, że powinnam się pospieszyć, ale nie spieszyłam się. Wreszcie zerknęłam na zegarek i przeraziłam się, że już tak późno, a wtedy już nic nie było dla mnie dość szybkie, wezwałam taksówkę i pojechałam. Kiedy wysiadłam z samochodu, niebo było ledwo widoczne, ulica cicha, dziwnie wyludniona i tylko nasz dom rozbrzmiewał: Viola opłakiwała swoje nieszczęście. Zatem nie ma jej u nas, gdyby była, pies by nie płakał. Wiedziałam, jakby mi ktoś to powiedział, że problem jest poważniejszy, niż

mogłam się spodziewać, już dawno powinnam była to przewidzieć, w dniu, kiedy Emerenc porzuciła nagle pracę i zawiadomiła nas, że mamy sobie radzić sami, ale ostatnio nie zwracałam uwagi na nic poza sobą samą. Wysiadłam z taksówki przed naszym domem, miałam dwa kroki do śmietnika, więc zajrzałam, czy nie znikł koszmarne pakunek, ale, rzecz jasna, wciąż tam był, rozdygotana zatrzasnęłam z powrotem pokrywę i nie pobiegłam na górę, tylko poszłam sprawdzić, czy mój mąż zamknął mieszkanie Emerenc.

W willi majster - klepka opuszczał właśnie u siebie żaluzje, robił to delikatnie, jak zwykł się obchodzić ze wszystkimi przedmiotami, i choć spodziewałam się, że na mnie skinie, zasygnalizuje, że ma mi coś do powiedzenia, a potem zda mi sprawę z tego, czego był świadkiem, podczas gdy ja w telewizji plotłam komunały, nie uczynił tego. Opuścił żaluzje, deszczułki zwały się, połączyły w jedną całość i odgrodziły nagle jego twarz od mojej. Poczułam, że ten człowiek nie chce ze mną rozmawiać, i wtedy przeraziłam się, pobiegłam co tchu przez ogród. Przeżywałam już coś podobnego. Oświetlona od tyłu twarz majster - klepki miała taki sam wyraz jak twarze pielęgniarek, kiedy człowiek przychodzi do szpitala, gdzie ma kogoś bliskiego, a w jego łóżku leży już kto inny, i siostra gładko, bezosobowym tonem prosi, by wpaść do ordynatora, bo ma on coś do zakomunikowania. Na litość boską, co tu potoczyło się inaczej, niż planowaliśmy? Chyba nie zostawiono otwartych drzwi, chyba nie pouciekały koty? To była pierwsza chwila zrozumienia, w ślad za którą przyszło ich nieskończenie wiele, chwila, w której dotarło do mnie, że jakkolwiek otrzymałabym nagrodę, choćby mi dano do wyłącznej dyspozycji ekran na cały dzień, a nie tylko zaproszono jako współuczestniczkę zbiorowego programu, i choćby nawet wszyscy członkowie rządu mnie pocieszali i uspokajali,

podczas gdy ja na wszystkie strony świata mogłabym trąbić o wycierpianych przez nas w przeszłości upokorzeniach, to i tak nie wolno mi było zostawić Emerenc samej z tym czymś, co się zdarzyło. Moją sławną fantazję stać było jedynie na to, że liczyłam się z możliwością posprzątania wieczorem mieszkania Emerenc, by zlikwidować smród, cokolwiek go powodowało, i by nikt w domu nie miał powodów do narzekań, ale już nie przyszło mi do głowy, by przy niej być w chwili, kiedy skończy się jej suwerenność, ktoś wyważy drzwi jej mieszkania, ją zaś, wbrew protestom, siłą wywloką z domu. Nagroda - pomyślałam z goryczą - zaczęła już promieniować, samochodem telewizji uciekłam za jej blaskiem przed chorobą, starością, samotnością i zdaniem na łaskę.

W sieni po prostu wrosłam w ziemię, przymarzłam do niej w swoich cienkich pantofelkach. Wtedy spodziewałam się już czegoś złego, ale to, co zobaczyłam, przekraczało wszelkie wyobrażenia. Drzwi do mieszkania Emerenc nie były uchylone, czy też niezamknięte na klucz, tylko po prostu w ogóle ich nie było na miejscu. Wyjęte z zawiasów stały oparte o niezmiennie zamknięte na kłódkę, zbite z desek drzwi do umywalni, środkowej części brakowało, widocznie ktoś wybił ją jakimś twardym przedmiotem, i tylko góra była nienaruszona, coś podobnego można zobaczyć na flamandzkich obrazach, opuszczona góra podzielonych na dwoje drzwi i rozparta na środkowej listwie uśmiechnięta kobieta, która wygląda jak jej własny, oprawiony już portret. Wyobraziłam sobie twarz Emerenc, kiedy spogląda spod chustki i stara się połapać w sytuacji, bo mnie tam nie ma, a na moim miejscu stoi lekarz, który ją chwyta, do tego momentu udawała mi się rekonstrukcja, dalej już nie, i ogarnęła mnie taka słabość, że musiałam usiąść na ławie, żeby się pozbierać. Wiedziałam, że nie mogę uniknąć wejścia do środka, w

smród, przez parę minut zbierałam siły, po czym wstałam. Pamiętałam, gdzie tamtego wieczoru pstryknął wyłącznik, wymacałam go i zapaliłam światło, ale teraz moim ruchom nie towarzyszył żaden osobliwy, przypominający przemykanie myszy, szelest: koty, jeśli tu jeszcze były, musiały gdzieś przycupnąć w wywołanym szokiem przerażeniu.

Światło, które jak zapamiętałam z pierwszej swojej tu bytności, było wyzywająco ostre, teraz też niczego nie ukrywało, ujrzałam, że stoję wśród ludzkich i zwierzęcych odchodów, w połyskliwie czystej niegdyś kuchni walają się na gołej podłodze lub na gazetach śmierdzące, zepsute kupki jedzenia, zawartość leżących na ziemi misek roi się od robactwa i jest tam także rozkładająca się ryba i pokrojona kaczka z robakami. Bóg wie, odkąd tu nie sprzątano i nie zmywano, przynieszone przez sąsiadów potrawy wały się na podłodze, był nawet karaluch, również martwy, a cały ten koszmar, który roztaczał się przed moimi oczami, pokrywał gruboziarnisty, biały proszek, jakby ktoś cukrem pudrem posypał średniowieczną, ohydą śmierć o robaczywej twarzy i jakby szczyrzyły się spod niego jej zęby. Emerenc nie było, kotów też, w pomieszczeniu unosił się silny zapach środka dezynfekcyjnego, nie, jak zwykle, chloru i dezodorantu. W futrynach nie było ram, wyłamano okna wraz z żaluzjami. Tu był nie tylko lekarz, nie tylko pogotowie, lecz także sanepid, takich ilości tego proszku nie ma ani w sklepie, ani w żadnym gospodarstwie domowym.

Kiedy wróciłam do domu, ręce miałam tak sztywne z przerażenia i poczucia winy, że nie byłam zdolna przekręcić klucza w zamku, musiałam zadzwonić i otworzył mi mój mąż. Nigdy nie robił mi wymówek, nie powiedział nic także i teraz, tylko pokręcił głową, jakby po prostu nie znajdował słów na to, co się tu wydarzyło. Poszedł do kuchni zaparzyć herbatę, a Viola przyczołgał się do mnie na brzuchu.



Kiedy piłam herbatę, zęby szczękały mi o filiżankę. O nic nie zapytałam, klucz do mieszkania Emerenc leżał na stole. Nie rozmawialiśmy nawet o tym, jak było w telewizji, mój mąż zaczekał, aż uporam się z herbatą, potem wezwał taksówkę i pojechaliśmy, niezmiennie bez słowa, do szpitala. Po raz pierwszy odezwaliśmy się do siebie, kiedy lekarz podał nam numer sali, gdzie wiedziano już o Emerenc i nawet na nią czekano, ale jeszcze tam nie dotarła. Jak to możliwe? Czyżby ją zawieźli gdzie indziej? „Tu ją przywieźli - powiedziała siostra - tylko jeszcze nie do nas. Najpierw ją wzięli na dezynfekcję, bo w stanie, w jakim ją znaleziono, po prostu nie można jej było położyć”.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co mówi, tylko patrzyłam na nią głupio, całkiem załamana; kręcił się wokół nas sympatyczny personel, pielęgniarki pytały, czy nie dać mi jakiegoś lekarstwa, bo źle wyglądam, a może chciałabym kawy. Nie chciałam niczego. Siedzieliśmy i czekaliśmy, a wtedy musiałam już zapytać mojego męża o szczegóły, on zaś opowiedział mi o tym, czego był świadkiem. Kiedy dotarł do willi, lekarzowi udało się chwycić Emerenc za rękę i choć się broniła, nie stawiała już tak zaciętego oporu, gdyż, jak lekarz rejonowy ustalił później z lekarzem z pogotowia, przeszła łagodny, cofający się zator mózgu i ledwie mogła używać lewej ręki, lewą nogę zaś miała całkiem bezwładną, wiele dni musiała być zupełnie sparaliżowana, ale jej niezwykle organizm zaczął zwalczać chorobę. Prawą rękę w każdym razie udało się jej wyrwać z uścisku lekarza, zatrzasnęła i zaryglowała drzwi i nie odpowiadała na żadne pytania, a wtedy zebrali się już w sieni ci wszyscy, którzy mieli czas. Długo wysłuchiwała w milczeniu błagań, ale kiedy lekarz postraszył ją władzami, zawołała, że jeśli jej nie dadzą spokoju, zabije pierwszego, kto naruszy jej drzwi. Emerenc cieszyła się u nas takim autorytetem, że nikt nie zdecydował

się na użycie przemocy, jakiś zwabiony z ulicy krzykami nieznajomy przechodzień próbował wyważyć drzwi, kiedy do niego dotarło, w czym rzecz, ale wtedy niespodziewanie wybito od wewnątrz ich środek i z dziury, jak w horrorze, wyłoniła się siekiera, którą Emerenc bezładnie wymachiwała. Odtąd już nikt nie ośmielił się zbliżyć do drzwi, przez które, nie bez przyczyny, buchał smród. W następstwie embolii pewnie przez jakiś tydzień w ogóle nie mogła chodzić, tylko leżała podparta na łokciu, ale w jakiś sposób musiała przecież załatwiać potrzeby fizjologiczne, nie wychodząc na zewnątrz, więc zapewne wytłumaczyła sobie, że jeśli nie pokaże, jak jest bezradna, nic się nie wyda, nie zjawi się ani lekarz, ani pogotowie i nie będzie szpitala, no bo skoro musi wybierać wśród koszmarów, niech będzie tak, jak postanowiła: jeśli koty mogą załatwiać swe potrzeby, gdzie chcą, ona też nie będzie się wyczołgiwać na czworakach do sieni i wówczas jej tajemnica pozostanie tajemnicą. O ile się wyliże z choroby, wszystko posprząta, jak tylko znów zacznie się ruszać, a jeśli umrze, to i tak wszystko jedno, bo ona już się o niczym nie dowie. Emerenc niejednokrotnie podkreślała, że tak jak w wiele innych rzeczy nie wierzy także w życie pozagrobowe.

Poza psującymi się, pleśniejącymi i kwaśniejącymi surowymi produktami spożywczymi i ugotowanymi potrawami, rozkładał się i parował w mieszkaniu zwierzęcy i ludzki mocz, wymachującą siekierą Emerenc zdołali wreszcie okiełznać w ten sposób, że nieznajomy z ulicy przykucnął przy drzwiach i z taką mocą uderzył w zamek siekierą majster - klepki, że wyłamał całe drzwi, a próbująca się bronić Emerenc wypadła im pod nogi. Nie dało się już ukryć katastrofy, niezmienniana Bóg wie odkąd odzież była w opłakanym stanie, spod zawsze nieposzlakowane czystej bielizny potoczył im się pod nogi zeschnięty kał. Pan Brodarics zatelefonował po pogotowie, które natychmiast

przyjechało, a wtedy Emerenc była już całkiem nieprzytomna, obaj lekarze - rejonowy i ten z pogotowia - uzgodnili, co robić, dostała zastrzyk, ale karetka jej nie wzięła, bo lekarz z pogotowia powiedział, że w tej chwili nie widzi zagrożenia dla życia i wprawdzie każe ją odesłać do szpitala, ale najpierw sprowadzi jednostkę sanepidu, gdyż trzeba się zająć nie tylko chorą, lecz także i mieszkaniem. Przyjechali, najpierw sypnęli jakimś proszkiem, potem wszystko spryskali, wreszcie zapakowali Emerenc do wozu i powiedzieli, że jak ją doprowadzą do porządku, będzie mogła pojechać do szpitala, ale najpierw trzeba ją całutką umyć, bo w tym stanie nie można jej wnieść do karetki pogotowia. Kiedy ci ludzie polewali mieszkanie i sypali środek owadobójczy, z kątów wyskakiwały i uciekały przez drzwi zwierzęta, to były ogromne koty. Sanepid zadecyduje, co się zrobi z mieszkaniem, bo tak zostać nie może, już choćby ze względu na lokatorów. Nie można go było zamknąć, zresztą po co, i tak dopóki cuchnie psująca się żywność, nikt by się tam nie włamał. Jak sanepid skończy, zabije się drzwi deskami.

Tylko tego mi jeszcze brakowało, tego obrazu: stara kobieta we własnych odchodach, wśród gnijącego mięsa i sfermentowanych zup, z ustępującym powoli paraliżem, ale jeszcze niezdolna chodzić. Na ławce obok nas denerwował się syn brata Józsiego i obudził we mnie aż za bardzo realną troskę: możliwe, że nie znajdzie się rabuś, którego żołądek zniósłby królestwo Emerenc, ale jednak pozostawiono książeczki na pastwę losu, trzeba by je mimo wszystko stamtąd zabrać. Powiedziałam młodemu człowiekowi, żeby poszedł i odnalazł te przeklęte książeczki - nawiasem mówiąc, znalazły się od razu, gdy tylko zaczął ich szukać, obydwie były wetknięte między tapicerowane części kanapki, syn brata Józsiego pamiętał, że jego ojciec też zawsze używał tego schowka, szczeliny w tapicerskich meblach - a ja tu zaczekam

na Emerenc. Mój mąż, który zawsze miał przy sobie książkę, czytał, a ja tylko siedziałam, masowałam sobie palce i miałam wrażenie, że moja lewa ręka też jest martwa. Kiedy wreszcie przywieźli staruszkę, ledwie ją poznaliśmy bez zwykłego stroju. Milcząc, pozwoliła im wszystko ze sobą robić, oczy miała zamknięte i tylko drgały mięśnie wokół jej warg, była nieprzytomna. Włączyli kroplówkę, przykryli chora, a mnie wstyd i smutek osłabiły do tego stopnia, że najchętniej także bym się położyła. Lekarz poprosił, byśmy już poszli do domu, bo nie możemy pomóc i tylko zabieramy jej powietrze, zresztą po szoku, jaki przeszła, i tak nas nie pozna, a on na razie nie wie nawet, jak mógłby nam dodać otuchy, wprawdzie zator się cofa i jak widać na zdjęciu rentgenowskim, z grubsza wylizła się już także z zapalenia płuc, ale ma tak sfatygowane serce, że w tej chwili trudno powiedzieć, co przetrzyma czy też - zawahał się na moment, zanim to wypowiedział - co zechce przetrzymać, bo choroba i okoliczności, w jakich ją zabierano z domu, musiały ją w niecodzienny sposób upokorzyć. Wiedza medyczna dokonała już niejednego cudu, ale w tym przypadku trzeba się bardzo starać, bo on rzadko widywał tak przemęczone serce.

Po raz pierwszy, odkąd wkroczyliśmy wzajemnie w swoje życie, zobaczyłam Emerenc bez chustki. Umyta i pachnąca, posiwiała na śnieżną biel, połyskiwała przede mną dawna czupryna jej pięknej matki, z konturów głowy Emerenc mogłam zrekonstruować doskonałą harmonię tej dawno już obróconej w proch czaszki. Emerenc bliższa śmierci niż życiu, sama o tym nie wiedząc, przeistoczyła się we własną matkę. Gdyby ktoś przy tamtym naszym pierwszym spotkaniu pośród róż, kiedy to zastanawiałam się nad jej roślinną postacią, powiedział mi, że ta stara kobieta to biała kamelia, biały oleander czy wielkanocny hiacynt, wyśmiałabym go, ale teraz nie mogła już otaczać się tajemniczością i była promiennie

piękna nawet w swej sponiewieranej starości. Jej ciało w łóżku nie było nieubrane czy źle przykryte, lecz pozbawione zwykłego kostiumu, jakby nosiło strój złożonego straszliwą chorobą władcy. W istocie leżała przed nami wielka dama, czysta jak gwiazdy. I wtedy dopiero pojęłam, co zrobiłam, nie zostając przy niej, może gdybym była na miejscu, potrafiłabym za pomocą mego ledwo zdobytego - i już źle użytego - autorytetu namówić lekarza, żeby się niczym nie przejmował, tylko położył ją u nas, wzięłabym ją nawet bez dezynfekcji, razem z Adelką i Sutu wykapałybyśmy ją i doprowadziły do porządku, i niechby telewizja zrobiła swój program bezę mnie, byle uchronić tę biedaczkę przed grasującymi w jej mieszkaniu obcymi ludźmi, bo prawdziwego obrazu tego mieszkania nie znał dotychczas nikt poza mną. Gdy stanę w parlamencie, każdy pomyśli, że mi się udało, i tylko ja będę wiedziała, że oblałam za pierwszym podejściem. Muszę naprawić przynajmniej końcówkę, bo inaczej - przepadłam. Teraz muszę czarować, wznieść się ponad siebie, zmusić ją, by uwierzyła, że tylko śniło się jej to popołudnie, wszystko się jej śniło.

## Rozdanie nagród

W nocy jeszcze dwukrotnie telefonowałam, stan Emerenc nie uległ zmianie, nie pogorszył się, ale i nie polepszył. Po powrocie do domu pokroiłam kilka garści mięsa na talerz i wróciłam do straszego mieszkania, bo lekarz wprawdzie powiedział, że koty się rozbiegły, ale przecież od tamtej pory mogły wrócić, nie znały innego domu, teraz jest noc, cisza, więc jeśli się nawet śmiertelnie przeraziły, mogą przyjść. Niemal dusiłam się od smrodu, kiedy zaglądałam za wszystkie i pod wszystkie meble, ale w mieszkaniu było pusto, nie dochodził mnie żaden szmer. O świcie, kiedy znów tam pobiegłam, mięso na talerzu leżało nietknięte, nie było tu w nocy żadnego kota, a przecież taką miałam nadzieję, że wrócą, choć właściwie powinnam była się cieszyć, że zniknęły, że ich nie ma, wtedy jednak miałam już za sobą wszelką praktyczność i własny interes, więc tylko modliłam się, żeby wróciły przynajmniej dwa i żeby, gdy wszystko już posprzątam i uporządkuję, a Emerenc wróci do domu, miała przy sobie coś do kochania. Ale podobnie jak pracownicy sanepidu nie znaleźli ani żywych, ani martwych kotów, ja też nigdy więcej żadnego z nich nie widziałam. Kiedy wyłamano drzwi, kiedy musiały poczuć, że wali się na nie świat, pouciekały w niepewność, w niebezpieczeństwo i śmierć, z których nigdy nie wyrwała je Emerenc. Już nigdy nie czały się koty w okolicy domu Emerenc, jakby wypędziło je stamtąd jakieś tajemnicze przesłanie. Z własnej woli nie zbliżał się do jej opustoszałego mieszkania także Viola, który znał prowadzącą do niego drogę lepiej niż jakąkolwiek inną. Wkrótce po śmierci Emerenc zamieszkał tam nowy lokator, ale psa to nie obchodziło, na próżno, jak dawniej, w sieni paliło się światło i na próżno każdej wiosny rozkwitały fiołki Emerenc, szukał jej wszędzie tam, gdzie kiedyś wspólnie spacerowali, tylko nie w domu. Viola rozpoznał pole

przegranej bitwy, choć nie było go tam, gdy toczył się bój. Tego dnia ulica demonstracyjnie milczała, jak kiedy ciężko zachoruje głowa państwa i wzruszony naród już zawczasu ją oplakuje, oniemiały nie na rozkaz, lecz z potrzeby serca. Pies leżał na swoim posłaniu, jakby mu poderżnięto gardło, i nawet nie pisnął, kiedy go wyprowadzaliśmy, nawet łba nie podniósł na ulicy, nawet nie spojrzął na obce psy.

W młodości dużo fotografowałam, prymitywnym aparatem, bez talentu. Gdy powracam myślą do dnia rozdania nagród, wspomnienie żyje we mnie jak odbitka tej starej fotografii, na której jakiś optyczny przypadek utrwalił dwa przeciwstawne ruchy tej samej osoby. Pewnego razu fotografowałam moją matkę i kiedy przyniosłam do domu wywołany film, nie mogłam uwierzyć, że coś takiego jest możliwe: moja matka, którą chciałam uwiecznić, zbliżała się i oddalała zarazem, jej sylwetka w dwojakim i przeciwstawnym ruchu stopniowo rosła, to znów malała, rodzina pokazywała znajomym tę rozgrywającą się w tym samym czasie i przestrzeni, niedającą się rozdzielić, ale wewnętrznie sprzeczną sekundę duchów. Taka byłam ja sama, kiedy przyznawano nagrody: cokolwiek zdarzyło się w tych godzinach, każda akcja i myśl miały we mnie i za mną, i dokoła mnie lustrzane odbicie, ale odwrotne. To był ciężki dzień, zaczął się o świcie talerzem mięsa i szukaniem zaginionych kotów, potem z mieszkania Emerenc pobiegłam do szpitala. Nie byłam sama, wyprzedziła mnie Sutu, a także Adelka, wraz z nimi doświadczyłam oczywistego już wtedy dla wszystkich, nieubłaganego milczenia przytomnej już Emerenc, której nawet nie śniło się mi wybaczyć. Sutu przyszła z termosem, ale Emerenc nie chciała ani kawy, ani napoju orzeźwiającego, niczego nie chciała. Adelka poza tym, co przyniosła od siebie, przytaszczyła jeszcze w torbie dwie przesyłki od przyjaciół, żona majster - klepki ugotowała rosół

z kury, a Brodaricsowie przysłali ptasie mleczko. Emerenc nawet na to nie spojrzała, nie interesowały jej ani pozdrowienia, ani dary, pielęgniarka opowiadała mi później, że całe przedpołudnie i popołudnie przychodzili goście, nazajutrz wypadało święto państwowe, ludzie chcieli odbębnić odwiedziny, ale ktokolwiek przyszedł, tracił czas i wracał do domu nieco urażony, bo Emerenc na nikogo nawet nie spojrzała. Ja nic jej nie zaniiosłam, zerkałam na zegarek, sprawdzając, jak długo mogę przy niej siedzieć, nie drażniłam jej też rozmową, tylko czasami dotykałam jej pod kocem, wtedy wzdrygała się i w żaden inny sposób nie dawała poznać, że poczuła. W końcu lekarz rozgniewał się i krzyknął na gości, że wciąż jeszcze nie wiadomo, czy staruszka się wyliże, ale jeśli nawet, to najwyraźniej nie życzy sobie świadków. Karmienie jej i bombardowanie smakołykami jest zbyteczne, ona nawet nie patrzy na to, co przynoszą, nie je, to, co jej potrzebne do przetrwania, dostaje w formie iniekcji, i jeśli naprawdę chcą jej pomóc, niech jej pozwolą wypocząć. Miał rację, bo Emerenc każdego, kto coś do niej szeptał, traktowała tak samo jak mnie, to znaczy, zaciskała powieki, żeby go nie oglądać. Obraz jej bezzęsej, przywodzącej na myśl śmiertelną maskę twarzy zabrałam ze sobą, kiedy pobiegłam ze szpitala do domu, żeby się przebrać i co nieco uporządkować wzburzoną twarz, która spoglądała na mnie z lustra. Wielka koperta z uchwałą zawierała w każdym razie pożyteczny załącznik, nalepkę na szybę taksówki, żebym mogła zajechać pod samo wyłożone chodnikiem wejście, całe szczęście, bo ledwie mogłam chodzić. Po drodze nie powiedziałam ani słowa, podczas uroczystości też niewiele. Nie po raz pierwszy mi się zdarzyło, że gdy coś dostawałam, docierało to do mnie w takiej formie lub w takich okolicznościach, że byłam niemal jak kaleka, tak było również tamtego dnia, o czym świadczą zdjęcia, które mi wtedy



zrobiono. Zanim jeszcze rozpoczęło się wręczanie nagród, spędzono nas do jakiejś sali, gdzie z okazji wielkiego dnia miano nas fotografować. Nawet w tej wyjątkowo niespokojnej godzinie zwróciłam uwagę, jakie to tragiczne i jakie komiczne zarazem: zdjęcie, które znajdzie się w albumie jakiegoś oficjalnego organu, utrwali nierealną twarz, bohaterkę antycznej legendy, która zobaczyła Meduzę i w której rysach widoczne jest jeszcze przerażenie. Na uroczystość przyszedłam od łoża śmierci, nie potrzebowałam lekarza, by zrozumieć, że Emerenc nie wyzdrowieje, i że jest to w pewnym sensie moja wina. Emerenc nie dlatego już nigdy nie będzie zdrowa - krążyło mi po głowie, podczas gdy mówiłam: dziękuję, tak, oczywiście, bardzo, naprawdę - że jej zadziwiający organizm nie byłby zdolny do tego, by przenieść ją jeszcze i przez ten rów z wodą, skoro dogląda jej lekarz i dostaje lekarstwa. Tu chodzi o co innego, coś, z czym nie zdoła sobie poradzić wiedza medyczna, bo nie ma to nic wspólnego z terapią: Emerenc nie zechce tutaj pozostać, bo zniszczyliśmy ramy spajające jej życie, a także legendę jej imienia. Była dla wszystkich przykładem, dla wszystkich pomocą, wzorem, z kieszeni jej wykrochmalonych fartuchów wyfruwały z szelestem niczym gołębie płócienne chusteczki i cukierki w papierkach, była królową śniegu, poczuciem bezpieczeństwa, latem pierwszą czereśnią, stukotem kasztanów jesienią, zimą gorącą dynią, a wiosną pierwszym pąkiem na żywopłocie: Emerenc była czysta i nienaruszalna, ona była nami wszystkimi, tymi najlepszymi, jakimi zawsze chcieliśmy być. Emerenc z wiecznie przysłoniętym czołem i twarzą jak jezioro nigdy nikogo o nic nie poprosiła, od nikogo nic nie potrzebowała, przejmowała na swoje barki nasze ciężary, nie wspominając przez całe życie o ciężarze, jaki sama dźwigała, a kiedy wreszcie mogłaby się odezwać, ja pojechałam do telewizji i pozwoliłam, by ją ujrzano w tej jedynej

upokarzającej, zbrukanej chorobą chwili jej życia. W jaki sposób można byłoby kiedykolwiek sprawić, by rozumiano i ją, i anatomie jej litości, która zapełniła jej dom zwierzętami? Emerenc była dobra w sposób niezdyscyplinowany, była lekkomyślnie wielkoduszna, tylko przed innymi sierotami odkrywała swoje osierocenie, nigdy nie mówiła, jak jest samotna, podczas gdy jak Holender tułacz sama prowadziła swój tajemniczy statek zawsze po nieznanym wodach, zawsze gnana wiatrem tymczasowych odniesień. Dawno wiedziałam, że im coś jest prostsze, tym mniej rozumiałe. Emerenc teraz już nigdy w życiu nie znajdzie zrozumienia ani dla siebie, ani dla swoich kotów, cokolwiek powie, jej słowom odbiorą wiarygodność buchający smród i nieuprzątnięte jeszcze nieczystości, a walające się wokół niej nieużyte trupy kur i kaczek, psujące się ryby i gotowane jarzyny potwierdzą tylko to, co nie było prawdą: że jest obłąkana, nie zaś to, że to ciało odmówiło posłuszeństwa żelaznej woli, bo przecież jak po wylewie do mózgu mogłaby iść się umyć czy przygotowywać i przetwarzać produkty, a resztki wyrzucać do śmieci, i tak cud z medycznego punktu widzenia, że co pewien czas wyczołgiwała się jednak i na początku wносиła jeszcze dary. Emerenc w oczach całej społeczności stała się śmieszna, pracę jej długiego życia zniweczyła łagodna właściwie i niemal natychmiast zaczynająca ustępować embolia, która wytrąciła jej z rąk ogromną brzożową miotłę.

Do sali galowej napłynęło z innymi tylu krewnych, że dla mnie nie starczyło nawet krzesła, byłam z tego szczególnie zadowolona, czekałam tylko, aż wywołają moje nazwisko, bym mogła podejść do stołu prezydialnego, odebrać pudełko i ulotnić się do bufetu pod pretekstem, że chcę coś zjeść, chciałam się pospieszyć, czułam, że jeśli Sutu, Adelka czy ktokolwiek połapie się i wykona zamiast mnie to, co ja sama muszę wykonać, bo inaczej nie ośmielę się spojrzeć Emerenc

w oczy, to nie tylko ona będzie ze sobą samą w konflikcie, lecz ja także. Uroczystość trwała długo, to była największa gala w moim życiu, świetniejszy był tylko wieczorny bankiet, ale on też dziwnie się udał, on też rymował się ze starą iluzją z czasów dzieciństwa. Zawsze pragnęłam w bardzo długiej sukni i po bardzo wielu stopniach wchodzić w taki sposób, aby zwracano uwagę, jaka jestem postawna i urodziwa. Jeśli istnieje fałszywy chód, tak jak choćby fałszywy ton, to taki właśnie był mój chód tego wieczoru, koślawy, niezdarny; potykając się, weszłam po stopniach, uścisnęłam dłoń, komu należało, potem bocznymi schodami wybiegłam z parlamentu, całkowicie przekonana o tym, że wprawdzie wpuszczą mnie do szpitala i nie zrobią nawet uwagi z powodu mojej sukni, ale choćbym nawet usiadła przy niej naga lub wypożyczyła sobie królewski płaszcz, to Emerenc i tak na mnie nie spojrzy.

Kiedy cofam się pamięcią do tamtego dnia rozdania nagród, poza żywym wspomnieniem bezsilnej goryczy czuję tylko, że przez cały czas jestem bardzo zmęczona. Wróciłam koło pierwszej, przebrałam się w strój roboczy i z przyborami do sprzątanía ruszyłam do mieszkania Emerenc. Nie pozostawię jej we wstydzie, nie będzie tu potrzebny sanepid, zanim zjawią się ludzie stamtąd, zdążę już wynieść to wszystko, co nie powinno się tam znajdować. Jest dzień przedświąteczny, na pewno uporam się z robotą, bo o tej porze pracownicy sanepidu już świętują, a jak potem przyjadą, zastaną ład i czystość. Wiadro wypadło mi z ręki, kiedy zobaczyłam w sieni pracowników sanepidu palących papierosy. Lekarz zapomniał powiedzieć mi tylko o jednym: że Instytut Dezynfekcji zarządził natychmiastową interwencję wraz ze zniszczeniem mebli przy pełnym pokryciu strat. Stałam przed nimi osłupiała i musiałam wyglądać jak smutny kłown z cyrku ze szminką na zmęczonej twarzy i włosami w odświętnych lokach, bo przecież zmieniłam tylko sukienkę.

Ale kto się zgodził, kto mógł się zgodzić na to, co się tu szykuje, oni sobie chyba nie wyobrażają, że jak wandalę zniszczą czyjś dom? „O tym nie ma mowy” - odparł kierownik sekcji sanitarnej. Najpierw porządnie wszystko oczyszczą, usuną nieczystości, wyszorują podłogę, meble i ściany, a potem spalą to, co jest brudne lub zakażone. „Proszę tu nie wymachiwać tym wiadrem i z niczym nie eksperymentować, tu nic nie można robić na własną rękę, sytuacja wymaga fachowej roboty, urzędowej. Jako pełnomocnik rodziny może pani podpisać, że potwierdza wykonanie wszystkich prac przy zachowaniu przepisów, właściwie powinna to zrobić chora, ale mówią, że jest nieprzytomna, więc niech pani będzie uprzejma jako tymczasowy przedstawiciel prawny, proszę sprawdzić, czy spis się zgadza, bo właścicielka dostanie od miasta odszkodowanie za zniszczone przedmioty. Protest nie wchodzi w rachubę, więc proszę z nami nie dyskutować, to jest decyzja”.

Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam do domu zatelefonować, tym razem co prawda odnalazłam podpułkownika, który przyjechał z urlopu na święto, nie mogłam jednak z nim rozmawiać, bo gdy dzwoniłam, był właśnie w drodze do mieszkania Emerenc. Zjawiliśmy się prawie równocześnie, sanepidowcy już sprząтали, uwijali się w szczęściu, w gumowych rękawiczkach, fartuchach i maskach. Zbierali na łopaty to płynne, zepsute coś, wrzucali do cuchnącej chlorem cysterny sanitarnej, umyli, a nawet wyszorowali wszystko, polewając wodą zmieszaną z jakimś środkiem chemicznym, i powynosili do ogrodu meble, sterczały teraz na wypielegnowanym trawniku Emerenc lepiące się krzesła i była tam też zabrudzona kałem kanapka, szafy zaś i stosunkowo nienaruszone - bądź już odkażone - przedmioty odsunęli dalej od innych, widziałam również pod krzewami bzu manekin mojej matki z powpinanymi

fotografiami, wyglądał jak duch. Papiery, które spadły w nieczystości, i zabrudzoną odzież zwalili na kanapkę wraz ze starymi kalendarzami, gazetami, pudełkami i zadedykowanymi Emerenc moimi książkami, których wprawdzie nigdy nie otworzyła, ale chciała je mieć. Kiedy mieszkanie było już opróżnione i ostatecznie oddzielono wybrane meble i inne przedmioty od tych skazanych na zagładę, sporządzono protokół wyselekcjonowanych rzeczy, potem polano krzesła i kanapkę benzyną i podpalono. Gdy patrzyłam na ogień, myślałam o Violi, dorastał na tej kanapce, Emerenc także zawsze na niej wypoczywała, przecież to było jej łóżko i siadywały tam również niegdyś - nigdy - zawsze jej koty, niczym jaskółki na drucie.

Tego dnia podpułkownik po raz pierwszy zachowywał się jak policjant, oglądał każdą rzecz, zanim pozwalał ją spalić, zastanawiał się, co dałoby się uratować, własnoręcznie odsuwał na bok przedmioty, które mogły uniknąć stosu, nawet pooopróżniał szuflady. W kuchni nie było już ani jednego sprzętu, sanepidowcy wyszorowali i zdezynfekowali ściany, część umeblowania sterczała na trawniku, reszta płonęła, a kto przechodził ulicą i spojrział, przystawał osłupiały, patrząc na stos w ogrodzie; trzeba było odpędzać gapiów. Zamek w drzwiach szafy pancерnej, która tarasowała przejście z kuchni do pokoju, został prawdopodobnie wyłamany jeszcze w czasach strzałokrzyżowców, jak głosiła metalowa tabliczka, szafa została wykonana w fabryce wyrobów metalowych Imrego Grossmanna, a w środku było pełno kubeczków, które zostały już wyniesione. Jeśli Emerenc miała jakąś biżuterię czy gotówkę, to przepadły, w szufladach nic nie znaleźliśmy, a w szczeliny tapicerskich krzesel żadne z nas nie sięgało, zresztą dopiero co przeszukał je syn brata Józsiego. Kiedy w porze obiadowej sanepidowcy stwierdzili, że wszystkie zainfekowane przedmioty zostały już zniszczone, i

postanowili zabrać się za pokój, do akcji wkroczył podpułkownik. Sanepidowcy zadowoleniem przyjęli jego argumentację, że pokój nie może być niebezpieczny dla właścicielki i sąsiadów już choćby dlatego, że szafa pancerna, której nie da się poruszyć, odgradzała nawet Emerenc od znajdujących się tam jej rzeczy i ani zwierzę, ani robactwo nie wcisnęłyby się za ten ogromny, szczelnie przylegający do drzwi sprzęt.

Nadchodził przedłużony o święto narodowe weekend i brygada, świadoma, że wykonała dobrą i pożyteczną robotę, dała się przekonać, że cała reszta jest już zbyteczna: podpułkownik służy w tutejszej komendzie, zna Emerenc, twierdzi, że pokój w każdym wypadku należy zostawić nietknięty, bo właścicielka i tak przeżyje szok, kiedy się dowie, że spalono większość jej rzeczy osobistych i kuchennego wyposażenia, on osobiście sprawdzi, czy będą jeszcze potrzebni, i gdyby byli, zadzwoni do sanepidu i poprosi o dalsze działania, jeśli zaś nie zadzwoni, będzie to oznaczało, że wszystko jest w porządku, a na razie potwierdzi własnym podpisem, że w imieniu policji rejonowej przejmuje odpowiedzialność. Ucieszyli się, brygadzysta zawyrokował, że on też już nie widzi źródła zagrożenia i że koncepcja podpułkownika jest do przyjęcia. Zrobili jeszcze tylko tyle, że z wielkim wysiłkiem odsunęli od drzwi szafę pancerną, aby móc powiedzieć, że niczego nie zaniedbali, zamek w drzwiach nie miał klucza i żal im było je wywazać, nienaruszony, poźółkły lakier świadczył o tym, że od wizyty podpułkownika w czasach, kiedy był on jeszcze podporucznikiem, Emerenc nie odsuwała szafy i nie była w pokoju, nie może tam zatem być ani żywności, ani robactwa, bo od dziesiątków lat nikt tam nie wchodził. Pożegnali się i poszli, tymczasem przybiegł ze szpitala syn brata Józsiego, z przerażeniem spojrzął na płonący jeszcze stos i powiedział, że stan Emerenc się nie

zmienił, teraz największym problemem nie jest już serce, tylko jej bierność, ona nie pomaga lekarzom i daje do zrozumienia, że wszystko jej jedno, niech się dzieje, co chce, poza tym dotarło do niej moje parlamentarne przesłanie i prowadzący ją lekarz jest bardzo zaniepokojony, bo i na to nie powiedziała ani słowa, choć było po niej widać, że rozumiała.

Parlamentarne przesłanie? Musiałam się zastanowić, trudno mi było skoncentrować się na czymkolwiek w cuchnącej dezynfekcją sieni niemal całkowicie spustoszonego mieszkania, podczas gdy kawałek dalej dymiła rzucona na stos przeszłość Emerenc, poduszki, w których zachowały się wspomnienia, drewniane łyżki, proste i staroświeckie kuchenne sprzęty. Nie pamiętałam nawet, czy przyniosłam do domu pudełko z nagrodą, pewne jest natomiast, że był po zdjęciach taki jeden nierealny moment, kiedy posadzono nas z kolegą w osobnej salce i pracownik telewizji wypytywał mnie, komu mogę zawdzięczać, że doczekałam tego dnia, ja zaś odparłam, że na przykład Emerenc, która robiła wokół mnie to wszystko, co mogłoby mi przeszkadzać w pisaniu, przecież za każdym namacalnym osiągnięciem stoi jakaś niewidoczna osoba, bez której nie powstałoby dzieło. Pielęgniarki w szpitalu słuchały wywiadu, powiedział syn brata Józsiego, i jedna pobiegła do staruszki, by ją poinformować, że o niej mowa, nawet przytknęła jej radio do ucha, żeby usłyszała przynajmniej sam koniec. Emerenc patrzyła obojętnie i nie zrobiła nawet żadnej uwagi, faszerują ją lekami, więc możliwe, że dlatego milczała. Byłam innego zdania, a mianowicie, że Emerenc bardzo dobrze rozumiała, o co chodzi, ale ani trochę jej to nie obeszło, przez całe życie nie znosiła publiczności i lukrowanych słów. Skoro nie byłam przy niej w paszczy lwa, na Golgocie, i skoro w samotności musiała znieść to, co ją spotkało, to teraz nie obchodzi jej, co

wygaduję, gadać łatwo, ja jeszcze na katafalku otworzę oczy i policzę, ile przyszło osób. Emerenc zna mnie jak własną dłoń i wie, że nie może spotkać mnie taki wstrząs, który odebrałby mi zdolność formułowania myśli.

Syn brata Józsiego pożegnał się, pilno mu było do domu, do rodziny. Zanim odszedł, głupio, ale sympatycznie pocieszył mnie po stracie wyposażenia kuchni, mojej niedoszłej spuścizny. Powiedział, że to, co spalili, to moja strata. Nawet mi to dotąd nie przyszło do głowy i choć naprawdę nie byłam w dobrym humorze, roześmiałam się. Przepadła spuścizna, pech. Zostaliśmy na ławie we dwójkę z podpułkownikiem, ładna, młoda żona majster - klepki, która zawsze dla wszystkich była miła i uprzejma, przyniosła nam kawę. Żadne z nas jej nie piło, tylko mieszaliśmy ją, zamyśleni.

- Jak do tego wszystkiego doszło? - zapytał wreszcie podpułkownik.

O Boże, przecież przeze mnie. Zawiodłam. Nawet sprawiło mi przyjemność zarzucanie go szczegółami tego, co i jak się zdarzyło, podczas gdy on spacerował po lesie w Wyszegradzie. Gdybym go wtedy zastała, do wielu rzeczy by nie doszło, albo przynajmniej nie w ten sposób, skoro już ja zostawiłam Emerenc na łasce losu, on na pewno byłby z nią w tej godzinie, tej jednej jedynej, kiedy naprawdę potrzebowała pomocy. Był na tyle taktowny, by nie robić uwag, nie oskarżał mnie ani nie pocieszał, zapytał, jakie mam plany; żadne, jeśli przeżyje, zabiorę ją do nas i zrezygnuję z wyjazdu za granicę, jako członkowie delegacji węgierskiej mieliśmy za trzy dni wyjechać do Aten na Kongres Pokojowy organizowany przez Grecki Związek Pisarzy i zamierzaliśmy zostać później jeszcze parę dni nad morzem, to byłby wypoczynek, ale to, co się stało, niweczyło ten plan. Po raz drugi jej nie opuszczę, nawet gdybym miała nigdy już nie zobaczyć Aten.



Rozgniewał się, rozkrzyczał. Popęłniłam dość błędów, a teraz chcę jeszcze narobić zamieszania? Bardzo to miłe dla oficjalnych organów, kiedy nie przyjeżdża delegat, mogą sobie łamać głowę, co się stało, może go nie wypuścili - mam nie wplątywać kraju w moje prywatne sprawy, tylko jechać, nie ma żadnego sensu, żebym zostawała. Jeśli Emerenc jutro umrze, i tak jej przed tym nie uchronię, jeśli wyżyje, to, jak twierdzi lekarz, niemal na pewno wyzdrowieje i będzie czekać. Tydzień to tyle co nic, on się nią zajmie przez ten czas, wszystkiego dopilnuje, trzeba tu naprawić drzwi i wydebić od władz odszkodowanie za wyselekcjonowane rzeczy, o oficjalnym doniesieniu na Emerenc nie ma mowy, bo jeśli sparaliżowane ciało nie może się poruszać, a sparaliżowana ręka sprzątać, to nie jest to niczyja wina, tylko nieszczęście, ona przecież nie dla zabawy spowodowała zagrożenie dla zdrowia sąsiadów. Załatwi jej też meble, wybierze z państwowych magazynów, gdzie znajdują się rzeczy po zmarłych, którzy nie pozostawili spadkobierców, ładniejsze i wygodniejsze od spalonych. Mam z nim nie dyskutować, sprawy zagraniczne są najważniejsze, on obiecuje zająć się Emerenc, a my z mężem mamy robić to, do czego zobowiązuje nas zawód i czego wymaga kraj. Kiedy wrócimy, będzie już wiadomo, jaką to ostateczną decyzję podjął organizm Emerenc, i albo staruszka będzie na etapie rekonwalescencji, albo zaczekają na nas z pogrzebem. Na otworenie pokoju będzie czas po naszym powrocie, on sam jeszcze dziś każe zabić deskami futrynę drzwi wejściowych, po święcie zaś przyśle z policji człowieka, żeby otworzył zamek w drzwiach do pokoju, a na razie także zabije się je deskami: przekonamy się, czy potrzebne jest tam gruntowne sprzątnie, ale jemu się nie wydaje, Emerenc nigdy nie korzystała z tego pokoju.

Wreszcie udało mi się wrócić do domu i zerwać z siebie roboczą suknię, jakby płonąła. Nawet nie jadłam obiadu, chciałam dać coś psu, ale okazało się, że mój mąż już próbował go nakarmić. Viola rozpoczął strajk głodowy, na spacerze włókł się koło nas, kiedy skończył swoje sprawy pod drzewami, zażądał, by wracać do domu, nie czekał, nie pił, teraz był już w depresji i nie potrafiliśmy nic na to poradzić, Viola na swój sposób reagował na wydarzenia. Zresztą ja też nie jadłam obiadu, wprawdzie w parlamencie obficie nałożono mi na talerz, ale nie mogłam tam nic przełknąć i na niezrozumiałe dla mnie pytania udzielałam nedorzecznych odpowiedzi. Poleżałam trochę na kanapie, potem zerwałam się, bo poczułam, że Emerenc umrze, jeśli to nie ja będę jej doglądała, tylko ja potrafię odeprzeć ten koszmar, w którym obie toniemy. Wbiegłam na salę, Emerenc była przytomna, a lekarz uśmiechnął się i rzekł, że już jest trochę silniejsza, zaczęła nawet mówić, mianowicie powiedziała pielęgniarce, żeby ją przyzwoicie przykryła, bo nie będzie leżała goła, potem zaś zażądała chustki na głowę, dali jej więc czapkę operacyjną, w której bardzo osobliwie wygląda, ale jest spokojna. Sądzi, że Emerenc zaczyna się wygrzebywać z dołka, powinniśmy jej przywieźć wszystko, co może być potrzebne w szpitalu, bo ją przywieźli bez niczego. Ledwie ośmieliłam się na nią spojrzeć, nie tylko z powodu tego, co się wydarzyło, lecz z powodu niej samej: w czapce operacyjnej stanowiła niezapomniany widok i to nie dlatego, by do niej nie pasowała, lecz wręcz przeciwnie, zaraz ujrzałam Emerenc jako wielkiego profesora, który wreszcie rozwija swe niewykorzystane, przekorne, autentyczne talenty. Milczałam, bo nie było sprawą lekarza to, co mogłam powiedzieć: że Emerenc nie ma ręcznika, nocnej koszuli ani nic z tego, co trzymała w szafie, a to, co zostało, ocieka środkiem dezynfekcyjnym i schnie na trawniku. Jeśli przyniosę jej moją

własną, w jej oczach bezwstydną, bieliznę, nabierze podejrzeń, zna moje ręczniki, ja nie mam lnianych jak ona. Będę musiała coś wymyślić.

Kiedy weszłam i poznała mnie, nasunęła na twarz mały ręcznik, jak królowie, którzy kryjąc przed oczami dworu mimikę swej agonii, nasuwają śmiertelny całun, aczkolwiek całkiem widocznie nie było nawet mowy o agonii, wyglądała żywiej niż choćby rano, tylko zwyczajnie nie chciała mnie więcej oglądać. Niech będzie i tak. Powlokłam się do domu, po drodze zajrzałam do budki Sutu, poprosiłam, żeby jeśli pójdzie do szpitala, zaniósł Emerenc odpowiednie jej zdaniem rzeczy, ręcznik, przybory toaletowe, niech coś wymyśli, dlaczego nie przyniosła jej nic z domu? U Sutu było towarzystwo, mieszkańcy ulicy próbowali uzgodnić, kto kiedy pójdzie i co mają chorej ugotować. Wróciłam do domu i wypatrywałam obiecanego przez podpułkownika człowieka, który miał zabić drzwi deskami, wiedziałam, że muszę się go doczekać, żeby przynajmniej tę jedną rzecz załatwić uczciwie. Moja wytrzymałość była na wyczerpaniu, skakały mi przed oczami kółka i kreski, oddałabym zbawienie duszy, gdyby ktoś mną potrząsnął i zapytał: po co tyle krzyku, to był tylko zły sen. Nagle poczułam, że to, co się teraz z nami dzieje, nie może być prawdą, bo przecież nie może na człowieka spadać tyle tak ciężkich doznań. Policjant w cywilu przyszedł z deskami stosunkowo prędko, odkąd sięgam pamięcią, nie zabija się już trumien gwoździami, tylko zatraskuje wieko, a jednak kiedy przybijał po cztery deski wzdłuż i wszerz, miałam wrażenie, że wbija gwoździe do trumny.

Z wolna powinnam była szykować się na bankiet do parlamentu, ale czułam się tak, jakby mnie potłuczono w móżdżerzu, ledwie zdołałam się ubrać. Przedtem zadzwoniłam jeszcze do szpitala, stan Emerenc znów odrobinę się polepszył, dali jej silny środek uspokajający, już zasnęła,

dostaje też antybiotyk. Miejmy więc nadzieję. Kiedy nie śpi, prawie się nie odzywa, a gdy do jej łóżka podchodzą goście, nakrywa twarz ręcznikiem. Przychodzi dużo osób, nawet trochę za dużo, wciąż potracają stojący przy łóżku aparat do kroplówki.

Emerenc żyje, jej stan się poprawia, zatem mogę się szykować na piękny, radosny wieczór mojego życia. Włożę odpowiednią suknię. Ale nie ma takiego charakteryzatora, który tego dnia zdołałby poprawić moją twarz. Kiedy pierwszej znajomej osobie napotkanej w parlamencie powiedziałam, że niestety, nie jestem w formie, nie musiałam nic tłumaczyć, od razu uwierzyła. Nikogo nie zdziwiło, że zniknęłam z wielkiej sali, która tego wieczoru była jak rozgwieżdżone, letnie niebo, połyskiwały liczne odznaczenia i klejnoty, a w zwierciadle posadzki odbijały się światła żyrandoli. Takie musiały być dawne bale, ale ja chciałam tylko iść, jak najszybciej iść do domu i położyć się do łóżka. Jutro będę wiedziała już więcej, jutro poznam wyrok. Jeśli Emerenc umrze, nie będzie ucieczki, jeśli przeżyje, będzie to znaczyło, że ta siła, która nigdy dotąd nie pozwoliła mi się pograć, jeszcze raz, najostatniejszy, utrzyma mnie ponad moimi własnymi odmętami.

## Amnezja

Noc miałam niespokojną, ale na szczęście bez snów, wciąż się budziłam, nasłuchiwałam, czy nie dzwoni telefon - prosiłam pielęgniarki, by bezwzględnie informowały mnie o jakichkolwiek zmianach - aparat jednak milczał. Rankiem wypacerowałam apatycznego Violę, który nadal nic nie jadł, potem pobiegłam do szpitala. Emerenc czuła się już wyraźnie lepiej, właśnie ją myto i pielęgniarka przywiozła jej na wózku śniadanie. Kiedy spostrzegła mnie w drzwiach, zaczęła czegoś szukać koło siebie i zarzuciła ręcznik na twarz. Z goryczą w sercu zastukałam do dyżurnego lekarza, który spędził przy niej noc, ale usłyszałam same dobre nowiny: jeśli poprawa będzie następowała w takim tempie, możemy spokojnie wyjechać, bo staruszka przeżyje, a nawet wyzdrowieje. Do domu nie mogę jej natomiast zabrać, to jeszcze kwestia tygodni, a i wtedy musi mieć nie byle jakie warunki, pracować jej, na przykład, nie będzie wolno. Czy ma dom, gdzie się nią zajmą? Pewnie - pomyślałam. Zobaczyłby! Odpowiedziałam, że postanowiliśmy zabrać ją do siebie i pielęgnować, dopóki nie wróci do równowagi fizycznej i psychicznej.

Mój mąż uganiał się za dokumentami podróżnymi, teraz już naprawdę wyglądało na to, że możemy jechać, choć nie miałam na tę podróż najmniejszej ochoty. Pakowałam się z ociąganiem, wciąż z jakąś nedorzeczną nadzieją, że może gospodarze w ostatniej chwili zrezygnują i kongres się nie odbędzie. Podczas ostatniej wizyty w szpitalu rozmawiałam z ordynatorem, wypuszczał nas z pełną gwarancją za stan fizyczny Emerenc, natomiast to, co się dzieje w jej psychice - powiedział - należy do neurologii, gdyż embolia cofnęła się niemal całkowicie, nie zaatakowała też ośrodka mowy, więc jej milczenie ma podłoże psychiczne. Kiedy po moim wejściu na salę znów zarzuciła na twarz ten przekłety ręcznik, żeby na mnie nie patrzeć, pomyślałam, że nie będę jej więcej drażnić;

jedynym stworzeniem, przed którym by się nie kryła i na które nie patrzyłaby z nienawiścią, byłby Viola. Odwróciłam się na pięcie i nawet jej nie pozdrowiłam; kiedy szłam do domu, spotkałam dwie sąsiadki z ulicy idące pod górkę z garnkami. W domu pies kontynuował głodówkę, ale nawet mnie to teraz nie obeszło, byłam tak rozgoryczona, pełna poczucia winy i znużona, że i to się nie liczyło. Pozbierałam manatki Violi, jego poduszkę, naczynia, psie konserwy, zaniósłam to wszystko do Sutu i poprosiłam ją, by go przyjęła na czas, kiedy będziemy w delegacji. Viola, zupełnie obojętny, usiadł w małym domku Sutu, nawet za mną nie spojrzął, jakby nie był moim psem. Spakowałam rzeczy, wtedy już byłam jak automat, bez uczuć, wydaje mi się, że docierało do mnie jedynie to, że nic nie jest ważne, nawet ja sama. Po kolacji ponownie zadzwoniłam do szpitala, ale już tam nie poszłam, bo i po co. Emerenc czuła się dobrze, porządnie zjadła, więc - powiedziałam - życzę jej, by jej stan się polepszył i serdecznie ją pozdrawiam, a moje słowa były tak urzędowe jak podanie. Na razie niech się nie martwi tym, co trzeba zrobić - przekazałam jej jeszcze przez pielęgniarkę - wszystko jest w największym porządku, jej przyjaciel podpułkownik zadziałał, mieszkanie czeka, jak chciała, zupełnie czyste, i dbamy o to, o co należy zadbać. Pomyślałam, że Emerenc ma jeszcze czas dowiedzieć się, co zaszło po jej odjeździe, prosiłam też o przekazanie jej, żeby na mnie nie czekała (czekała? ona nawet nie chciała na mnie spojrzeć) przez parę dni. Nie poinformowałam jej, że wyjeżdżamy za granicę, zadzwoniłam tylko do syna brata Józsiego, żeby wiedział, dlaczego nas nie ma, gdybyśmy przypadkiem byli mu potrzebni, i nocnym samolotem odlecieliśmy do Aten.

Rankiem obudził mnie w hotelu telefon ze Związku Pisarzy, ale byłam tak wykończona, że nie zrozumiałam, czego ode mnie chcą. Ja też musiałam przejść jakiś niewielki

szok, bo nagle przestałam rozumieć jakikolwiek obcy język, nie umiałabym poprosić o szklankę wody, a co dopiero dyskutować o możliwościach pokojowego współistnienia między narodami. Na konferencji usiedliśmy w pierwszym rzędzie, od razu zasnęłam, i wtedy mąż zabrał mnie do hotelu, przepraszając przewodniczącego i zapoznając go z historią minionych dni, to znaczy z tym, co nadawało się do opowiedzenia. Powinnam była przewodniczyć jednej sesji, ale ponieważ zaczęłam się nedorzecznie jękać, zapakowano mnie litościwie w samochód i wywieziono do hotelu w Glifadzie, gdzie miałam zostać, bo co mieli robić z wyraźnie chorą delegatką? W oparach mirtu, hibiskusów, jaśminów i tymianków połyskiwało przede mną Morze Egejskie, ale prawie go nie dostrzegałam, byłam bliska załamania i tylko mój mąż informował mnie o tym, co widzi. To, że gdy przyjechaliśmy, woda była niebieska, szafirowa, o zmierzchu bursztynowa, a kiedy zanurzyło się w niej słońce - czerwona, wiem od niego, bo sama nic nie widziałam. Przespałam prawie cały dzień. Kiedy ocknęłam się z tego stanu, który przypominał omdlenie, włączyliśmy się po Glifadzie, ale nie pamiętam żadnego budynku, nawet nazwy hotelu. Dotarło do mnie jedynie, że w powietrzu unosiły się różne wonie, a fale lizały wyrzuconego na brzeg martwego psa. Wtedy przypomniał mi się Viola, jakoś tak nierealnie, jakbym wyśniła sobie i jego, i siebie, i wszystko, co się ze mną działo, nagrodę, Emerenc, dezynfekcję i poranione siekierą drzwi.

Tamtego roku Wielkanoc wypadła na samym początku kwietnia, ostatnim dniem naszego pobytu w delegacji był Wielki Piątek. Zapamiętałam, że poszliśmy do zboru, gdzie na katafalku leżał martwy Chrystus, przy wejściu do świątyni czekał złożony kosz pełen płatków róż i każdy, kto wchodził, sypał je na ciało Syna Bożego, dopóki nie pokrył Go różany całun. Potem przyciągnięto kołyszący się na nogach mały

dzwon, starsi ludzie ze wsi ustawili się przy nim i kiedy zobaczyli nas na progu zboru, a potem rzucających płatki na święte zwłoki, przyszedli do mojego męża i pokazali mu na migi, aby i on opłakiwał Zbawiciela. To też zostało mi w pamięci: mój mąż, który bije w dzwon, a jego gęste, siwiejące już jasne włosy rozwiewa nadmorski wiatr, potem podaje linę od dzwonu mnie. Musiała być ze mnie zadowolona wiejska starszyzna, bo gdy dzwoniłam, po twarzy płynęły mi łzy, ale ten płacz nie miał nic wspólnego ze świętem, a jedynie ze mną samą. Nazajutrz wróciliśmy do Aten i wyruszyliśmy z Grecji do domu. Podróż, w zasadzie, nie różniła się od innych, Grecki Związek Pisarzy był dla mnie nieziemsko dobry, bo koledzy zachowywali się tak, jakby wiedzieli, że wciskają w garść wyładowany upominkami kosz komuś, po kim właśnie przejechał pociąg towarowy. Odwieźli nas nawet na lotnisko. Ale jeśli już nigdy więcej nie zaproszą węgierskich pisarzy, będzie to moja wina.

Umówiliśmy się w samolocie, że mój mąż pojedzie z bagażami do domu, a ja do szpitala. Dygotałam, wchodząc do paternoster, wyobrażałam sobie różne możliwe warianty, bo przecież podczas mojej nieobecności wszystko mogło się wydarzyć: może sprawy przyjęły zły obrót i Emerenc czeka już na pogrzeb gdzieś w suterenie; lub jeszcze żyje, ale byłoby lepiej, gdyby nie żyła, bo i tak nie uda się jej wyleczyć; względnie bez porozumienia ze mną przenieśli ją na inny oddział, w końcu z prawnego punktu widzenia decyzja należy do bratanka. Nie przyszedł mi do głowy jedynie ten wariant, który mnie oczekiwał: już z daleka usłyszałam dźwięczny śmiech, który rozpoznałabym zawsze i wszędzie. Pielęgniarki uśmiechały się do mnie, gdy puściłam się biegiem przez korytarz, któraś nawet coś zawołała, ale kto miałby czas słuchać, biegłam ku otwartym drzwiom, zza których dobiegał ten śmiech. W pokoju roило się od gości, widać było, że



Emerenc także i tu wszystkich zaczarowała, przecież nie wpuszcza się do szpitala tylu osób naraz, a koło jej łóżka kręciło się chyba z pół tuzina ludzi. Sutu sprzątała właśnie resztki jedzenia, rzecz jasna nie były to potrawy szpitalne, lecz sąsiedzkie, parapet okna zastawiony był talerzami, garnuszkami i miskami. Emerenc siedziała plecami do drzwi podparta poduszkami i widocznie po minach znajomych musiała się zorientować, że pojawił się nowy, godny uwagi gość, bo wciąż jeszcze ze śmiechem odwróciła się, myśląc pewnie, że to lekarz. Kiedy mnie poznała, krew napłynęła jej do twarzy i jak morski przyptyw zmyła z niej wszelką pogodę. Teraz, kiedy przyszedłam, użyła już obu rąk, przed paroma dniami tylko prawą sięgała niezdarnie po ręcznik; przy innych siedziała z odkrytą twarzą, na mój widok natychmiast ją przykryła. Goście oniemieli, to był szorstki gest, z tą siłą mogłaby nawet uderzyć. Nagle wszyscy przypomnieli sobie, że mają coś pilnego do załatwienia, kobiety szybko zbierały naczynia, umyły łyżkę Emerenc, zegnały się pospiesznie, a Sutu tak było pilno, że nie bąknęła nawet słowa na temat psa, i dopiero w drzwiach pokazała mi na migi, że albo ja mam przyjść o szóstej, albo ona wpadnie.

Po raz pierwszy, odkąd ruszyła lawina wydarzeń, poczułam, że jestem negatywnie nastawiona i rozprasza ją się we mnie wyrzuty sumienia. A cóż ja jej takiego zrobiłam, na litość boską? Że nie pozwoliłam jej umrzeć? Gdyby nie dostała kroplówki i leków, byłaby już martwa. Nie zostałam przy niej, bo nie mogłam zostać, nie pojechałam na zabawę, ale do pracy, chyba ona już wie, że dla mnie telewizja to także praca. Skoro nie chce mnie widzieć, to nie. Przyjdzie do niej syn brata Józsiego i podpułkownik, przyjdą Sutu i Adelka, nie jestem tu potrzebna. Nawet nie próbowałam się do niej odezwać ani nic tłumaczyć, na to za dobrze znałam Emerenc. Niech sobie zostanie pod tym ręcznikiem do dnia sądu

ostatecznego, niepotrzebnie taka śmiertelnie zmęczona gnałam do szpitala, zamiast wskoczyć w domu do wanny. Wyszłam i ruszyłam do windy, ale zatrzymała mnie pielęgniarka.

- Proszę pani - zaczęła i całkiem widocznie szukała słów.  
- Starsza pani nie wyzdrowiała, to się tylko tak wydaje. Ona... ona jest taka dzielna tylko wtedy, gdy na nią patrzą. Gdy nie ma gości, milczy.

Niech sobie milczy. Pielęgniarka zorientowała się po mojej minie, że musi powiedzieć więcej.

- Poprawa jest spektakularna, lecz powierzchowna - próbowała dalej. - Ostatnio jeszcze nie wszystko było wiadomo, dziś już tak. Może poruszać wszystkimi członkami, ale nie może chodzić. Codziennie zagłada pan podpułkownik i wspólnie łamiemy sobie głowę, co będzie dalej.

Skoro codziennie wpada pan podpułkownik, to ja tym bardziej mogę wracać do domu. Pewnie przyprowdzi policyjną orkiestrę albo pionierów. Ja jestem tu zbyteczna, ulica zaopatruje Emerenc w pożywienie i plotki, podpułkownik zapewnia jej bezpieczny byt. Skoro mnie nie potrzebuje, to nie. Nie będę się narzucać...

- Byłoby dobrze, gdyby...

Urwała. Rozumiałam, czego nie potrafi wyrazić. Nie wolno się o nic obrażać, wszystko trzeba przełknąć, każdy niesprawiedliwy gest Emerenc, każdy jej kaprys, bo nie tylko nie będzie mogła chodzić, ale pewnie też długo nie pożyje. A jakże, tere - fere! Będzie żyła wiecznie, nie boję się o nią. Teraz, kiedy piszę na maszynie te słowa, czuję, że wtedy po raz drugi i ostatecznie zdecydowałam o jej losie, bo to wtedy w duchu wypuściłam ze swojej ręki jej dłoń.

- W każdym razie, gdyby co, zatelefonuję.

- Nie, proszę się nie fatygować z dzwonieniem, nie będę potrzebna, ona mnie nie potrzebuje ani pod względem praktycznym, ani uczuciowym.

Powlokłam się do domu, mój mąż milczał, gdy zdawałam mu relację z tego, co zastałam. Długo nic nie mówił, potem natomiast usłyszałam od niego nie to, czego się spodziewałam. Westchnął i powiedział:

- Biedna Emerenc.

Biedna Emerenc! W tym momencie dobrze rozumiałam naszego pastora, z którym tak się żarłam z powodu Emerenc.

- Czasami jesteś zaskakująco niesprawiedliwa - stwierdził mój mąż. - Jak to możliwe, że nie rozumiesz czegoś, co jest takie proste? Wszyscy rozumieją, cała ulica i podpułkownik. Przecież z tego, co mi opowiedziałaś, to całkiem oczywiste.

Co jest oczywiste? Patrzyłam na niego jak Viola, kiedy polecenie jest dla niego niejasne i próbuje odczytać niezrozumiałe dla siebie sygnały. Co ja znów takiego zrobiłam, abstrahując od tamtego nieszczęsnego dnia? Od tamtego dnia moje życie składa się wyłącznie z wyrzutów sumienia, ani na chwilę nie potrafię zapomnieć, wręczanie nagród i bankiet upłynęły mi na podświadomym dygocie, Ateny były piekłem, albo spałam, albo myśli krążyły wokół mnie jak wilki.

- Emerenc wstydzi się przed tobą i przed ulicą, więc udaje, że nie pamięta, bo w ten sposób łatwiej jej znieść, że leżała przed nami w odchodach, ze zdruzgotaną godnością. Ja mam ciebie uczyć, czym jest wstyd, ciebie, która sprowadziłaś na nią nieszczęście, bo w końcu ta cała akcja to twoje dzieło? Wydałaś ją, tę najczystsza z czystych, wraz z jej tajemnicami, choć powinnaś była jej bronić za wszelką cenę, przecież jesteś jedyną osobą na świecie, na której słowo otworzyła drzwi. Jesteś jak Judasz, zdradziłaś ją.

Jeszcze i Judasz? Nie wystarczy, że jestem półżywa, że chcę odpocząć? Miałam już wszystkiego dość, pora też wydała mi się niestosowna na morały, chciałam się położyć. Sutu zapowiedziała się na szóstą, poprosiłam męża, żeby mnie

obudził, gdybym jeszcze spała, i położyłam się do łóżka, kryjąc się przed sobą i przed Emerenc. Myślałam, że zmoże mnie zmęczenie, ale w końcu nie potrafiłam się prawdziwie odprężyć i sama otworzyłam drzwi, kiedy szczekanie i drapanie uświadomiło mi, że przyprowadzono psa. Viola był chudy, ale szczęśliwy, po raz pierwszy w życiu naprawdę ucieszył się na nasz widok, jakby chciał nam dać do zrozumienia: znów jest w domu i przynajmniej nas w nim zastał, a to pozwala się spodziewać, że może kiedyś skończy się ten kataklizm i pojawi się także Emerenc. Podziękowałam Sutu za opiekę nad nim i zapytałam, co jestem winna, wymieniła rozsądną sumę, zapłaciłam. Ani jej się śniło odejść.

- Proszę pani - zaczęła. - Jest coś, o czym powinna pani wiedzieć, jeśli by nawet lekarz czy pielęgniarki pani nie powiedzieli. Emerenc wraca do zdrowia, ale w bardzo dziwny sposób, bo całkiem nie pamięta tego, co się wydarzyło. Ani siekiery, ani pogotowia, ani tego, że się broniła, pytała nas, jak ją przywieźli, powiedziałam jej, że to pani wszystko załatwiła. Najbardziej wypytywała, czy aby porządnie zamknięto drzwi mieszkania, odparłyśmy, że oczywiście i że pani ma klucz. Emerenc zna wersję, którą podsunął nam podpułkownik: pewnego dnia stukaliśmy do niej, nie odpowiadała", wtedy przestraszyłyśmy się i pobiegłyśmy do pani, na pani wołanie też nie odpowiadała, więc doszłyśmy do wniosku, że musi być bardzo chora, i pan doktor wyważył drzwi - doktorem nazywano na ulicy mojego męża i próbowałam go sobie wyobrazić z łomem w ręce, ale nie bardzo mi się to udawało - znaleźliśmy ją zemdloną w progu, majster - klepka wziął ją na ręce i zabraliśmy ją samochodem pana Brodaricsa do szpitala. Nie padło ani słowo o sanepidzie, ani o kotach, nikt jej nawet nie zdradził, że pani wyjechała do Aten. Ona myśli, że ma wszystko to, co miała, że pani od razu zamknęła mieszkanie, ale codziennie tam pani zachodzi i wszystkiego dogląda,

proszę o tym nie zapomnieć w rozmowie, jeszcze się zdąży dowiedzieć, że nie ma mebli i co za paskudztwa były w jej mieszkaniu. Wszyscy są wobec niej bardzo porządni, pan podpułkownik łże jak najęty, młody Szeredas również, tylko nie wiem, jak ona to przyjmie, kiedy się wszystko wyda.

Milczałam, choć czekała na pochwałę i zasługiwała na nią, ulica naprawdę zdała egzamin z przyzwoitości i taktu, milczałam jednak, bo ja naprawdę znałam Emerenc. Zrozumienie rozproszyło wreszcie gęsty mrok, znów zaczęłam się orientować. Amnezja Emerenc - co za absurd! Jak by ją można było zsynchronizować z zarzucanym na twarz ręcznikiem? Emerenc przez całe swoje życie była jak władca i regulowała swoją pamięć wedle własnej polityki. Nie zdziwiłam się tym, co do mnie wreszcie dotarło, lecz przeraziłam. Kiedy na pożegnanie uścisnęłyśmy sobie dłonie, Sutuu zauważyła, że mam zimne palce, i dodała, że to chyba nie jest początek jakiejś choroby.

Mój mąż doszedł do tego samego wniosku co ja, nie musieliśmy dyskutować. Rzuciłam się na fotel, miętosiłam kudły Violi i zastanawiałam się, co robić. Zadzwoiłam do podpułkownika, którego nie było, ale obiecano, że przekażą mu prośbę, żeby się do mnie odezwał, potem zatelefonowałam do bratanka i tego z kolei zastałam. Ulegał optymizmowi Sutuu, cóż to za cudowna łaska, powiedział, że ciotka nic nie pamięta, uda się ją chyba jakoś pocieszyć, kiedy wróci do świeżo pomalowanego, umeblowanego na nowo mieszkania i nowych drzwi.

Nie chodziło o to, że byłam mądrzejsza od lekarzy, tylko po prostu lepiej znałam Emerenc: widziałam, jak obeszła się z niepotrzebnie przygotowaną wystawną kolacją, i błądziłam z Emerenc po skomplikowanym labiryncie jej pamięci. Emerenc, która zapomniałaby o swoich kotach? Wykluczone, przecież nie pytałaby o mieszkanie, ona wszystko pamięta,

tylko nie ma odwagi otwarcie zapytać. Oszłomienie wywołane lekami mogło naprawdę z początku zamazać jej wspomnienia, ale w miarę upływu czasu obrazy widziane dotąd w mrocznych konturach coraz bardziej nabierają koloru i skoro poznaje Sutu oraz innych przyjaciół z ulicy, musi być także na swoim miejscu w jej świadomości cały dom z żyjącymi tam zwierzętami, nienapoczętą kaczką, zepsutą rybą, z tym wszystkim, co ją otaczało w ostatnim okresie, kiedy na jakiś czas została sparaliżowana, a co zataiła, bo miała nadzieję, że i z tego się wygrzebie, jak z dna wszystkich przepaści swego życia. Nieszczęsna Emerenc, której nie mówią i która nie ma odwagi zapytać, jak wygląda prawda, tylko sięga ręką ku cieniom! Co ja się tu nad sobą roztkliwiam, to nie pora, żeby się obrażać, jeśli w ogóle chory człowiek może kogoś obrazić. W drogę, do szpitala! W tej sztuce jest tylko jedna postać, i to nie ja nią jestem, lecz Emerenc. To jest monodram.

Nie była sama, odwiedziła ją profesorowa, Emerenc coś do niej wesoło mówiła, okazało się, że i ta kobieta wypytywała już o nią lekarzy, musieli się dziwić w tym szpitalu, że tak dużo ludzi interesuje się staruszką. Młoda ładna osóbką była niespodziewanym i zaszczytnym gościem, przy niej Emerenc nie ośmieliła się odegrać etiudy z zakrywaniem twarzy, ale ledwie tamta nas zostawiła, chwyciła za ręcznik. Nie myliłam się, gdzieżbym tam miała się mylić, jej mózg funkcjonował bezbłędnie, profesorowa jest niewinna, na pewno o niczym nawet nie wie, zatem nie należy się jej całun, mnie się należy, kiedy wchodzę, bierze go niczym duchowny stułę i odgradza się nim ode mnie i od hańby. Rozejrzałam się, na stoliku wśród szpitalnych akcesoriów wciąż jeszcze leżała tabliczka, którą, dopóki trwała walka o życie Emerenc, zawieszano na drzwiach: „Nie odwiedzać chorej”. Powiesiłam ją na klamce od strony korytarza, potem

zdarłam ręcznik z twarzy Emerenc i cisnęłam go na wolne łóżko. Nie mogła go wziąć z powrotem i musiała spojrzeć mi w twarz. W jej oczach płonęły wściekłość i nienawiść.

- Dajmy temu spokój - zaczęłam. - Skoro pani mnie tak bardzo nienawidzi za to, że nie pozwoliłam jej umrzeć, to zgoda, ale zamiast nakrywać twarz, proszę mi to otwarcie powiedzieć, bo mam już dość. Chciałam dobrze, wyszło inaczej, niż to sobie wyobrażałam, ale chciałam naprawdę dobrze, nawet jeśli mi pani nie wierzy.

Nie spuszczała ze mnie wzroku, była jak sędzia i policjant w jednej osobie, i nagle z jej oczu niespodziewanie trysnęły łzy. Wiedziałam, co oplakuje: tajemnicę, która nie jest już tajemnicą, swoje koty, o których los nie śmie nawet zapytać, straszliwą karykaturę swej zawsze godnej postawy, siekiere, śmierć legendy i moją zdradę. Nie powiedziała tego, a jednak zrozumiałam: Emerenc uwierzyłaby w to, że ją kocham, gdybym zaakceptowała fakt, że w swej bezsilności skazała się na śmierć, i gdybym nie odsłoniła jej poniżenia patrzącym na nią dotąd z szacunkiem oczom ulicy. Emerenc nie wierzyła w raj, Emerenc wierzyła w chwilę. Kiedy kazałam jej otworzyć drzwi, zawalił się świat i pogrzebał ją. Dlaczego to zrobiłam? Jak mogłam to zrobić? Z tego wszystkiego nie padło ani jedno słowo, ale były między nami niewypowiedziane zdania.

- Emerenc - zaczęłam znów. - Gdyby sytuacja była odwrotna, pozwoliłaby mi pani umrzeć?

- Oczywiście - odparła sucho. Już obeschły jej łzy. - I nie byłoby pani mnie żal?

- Nie.

- Ale przecież nie potrafiłabym pani przed niczym uchronić, i tak by się wszystko wydało. Ryba, koty, ekskrementy.

- I co z tego? Gdyby mi pani pozwoliła zdechnąć, to niechby się wydało. Co wie, co widzi, co czuje zmarły? To

tylko pani sobie wyobraża, że tam, na górze, na panią czekają i że Viola po śmierci też się tam znajdzie, i nawet mieszkanie, i wszystko będzie tak jak teraz, bo anioł zanieśie pani maszynę do pisania i komplet na biurko po pradziadku i ciąg dalszy nastąpi. Pani jest głupia! Zmarłemu już wszystko jedno, zmarły to zero. Jakim cudem sama pani jeszcze na to nie wpadła? Chyba jest pani dość dorosła.

Zatem nie tylko wstyd, lecz także gniew i nienawiść. W porządku, ale w takim razie niech się po mnie nie spodziewa pokuty, nie jestem Adelką.

- Więc po co krypta, Emerenc? Po co zabierać matkę, ojca i bliźniaki do tej bajkowej krypty? Przecież wystarczy ślaz na skraju rowu. Zielsko.

- Może pani starczy, nie mnie i moim zmarłym, niech sobie pani rodzina spoczywa pod ślazem. Zmarły nie odczuwa, ale spodziewa się szacunku i trzeba mu go dać, tylko że co pani wie o poszanowaniu? Myśli pani, że jak ciśnie mi z parlamentu kość szpikową, to położę dłoń na sercu i zacznę służyć jak Viola? Na to może sobie pani poczekać! Mówić to pani umie, ale zostać, kiedy było trzeba, żeby ukryć przed światem moje nieszczęście, skoro mnie pani wyrwała śmierci, na to już nie starczyło czasu! Niech pani stąd idzie i znów udzieli wywiadu. Miała pani czelność powiedzieć, że to mnie zawdzięcza nagrodę?

Wiedziała, co robi, kiedy mówiła mi to wszystko w twarz, znałyśmy się. Wstałam. Jeszcze nie wyszłam, kiedy odezwała się ponownie:

- Posprzątała pani przynajmniej? Karmi pani porządnie koty? Kazała pani wstawić jakieś drzwi?

Przez jedną krótką chwilę chciałam jej powiedzieć, że ma już tylko pół mieszkania, bez drzwi i bez kotów. Gdybym posłuchała tej myśli, pewnie nigdy nie przeboleiałabym tego wieczoru, ale na szczęście teraz nie popełniłam błędu.



Odparłam, że odkąd lekarz wyciągnął ją za próg, nikt poza mną nie wszedł do jej mieszkania, mój mąż z panem Brodaricsem założyli z powrotem drzwi, dziurę zabili stolnicą, i że kot tamtędy nie przejdzie. I że jeszcze tej samej nocy, kiedy ją tu przywieźli, wszystko zrobiłam, nazajutrz trzeba było już tylko wykończyć, miałam trochę problemów z szorowaniem, ale jakoś poszło, śmiecie zaś wyniosłam w wiadrze nie do jej śmietnika, tylko do kilku ulicznych pojemników, i to po drugiej stronie, żeby jej nikt nie podejrzewał. Łgałam jak z nut, zgrywałam się, jakbym czytała jakąś nowelę. Koty mają się dobrze, z wyjątkiem, rzecz jasna, tego jednego, którego pochowałam pod dziką różą. Jedzą głównie mięso, bo nie mam czasu gotować. Nawiasem mówiąc, spieszy mi się, bo my jeszcze dziś nie jedliśmy, tylko koty się nażarły i boję się też, że zaraz lunie.

Poszłam do drzwi, na dziś miałam zupełnie dość. Emerenc zatrzymała mnie. Powiedziała: Magduszka.

Rodzice mnie tak nazywali, nigdy nikt inny. Zastygłam i czekałam, co będzie dalej. Serce mi biło, czułam, jak ścierają się we mnie wstyd z powodu kłamstwa, nadzieja, poczucie winy i ulga. Uniosła nieco rękę, skinęła na mnie, bym podeszła do łóżka. Znów wymówiła moje imię i w tym dźwięku było coś innego, coś więcej, jakaś zagadka, tajemnicza vibracja, jakby elektryczność, ostry dźwięk, ale nie przykry, raczej jakby pękł delikatny pancerz czy zdzierano tapetę. Opadłam na skraj łóżka, a ona ujęła moją rękę. Drobiazgowo obmacywała moje palce i mówiła:

- Te wszystkie śmierdzące paskudztwa? Te brudne, gnijące świństwa? Tymi niezdarnymi rączkami? I sama, nocą, żeby nikt nie zobaczył?

Odwróciłam głowę, nie mogłam znieść jej spojrzenia. Był to najstraszniejszy, najbardziej wstrząsający moment mojego życia, kiedy niespodziewanie otworzyła usta i chwyciła moje

palce bezzębnymi dźwiałami. Gdyby nas ktoś zobaczył, pomyślałby, że jesteśmy zboczone lub obłąkane, ale ja wiedziałam, o co jej chodzi, i jak to jest, kiedy Viola już żadnym dźwiękiem nie potrafi nam czegoś wytłumaczyć, znałam to leciutkie przygryzienie, psią mowę wyrażającą zachwyty i bezgraniczne szczęście. Emerenc dziękowała mi, przyznała, że się myliła co do mnie, nie zdradziłam jej, naprawdę ją uratowałam, nie stała się przedmiotem kpin, ulica naprawdę o niczym nie wie, nikt nie widział nieczystości, zatem jej honor nie poniósł uszczerbku i można wracać do domu. Niewiele chwil mojego życia wspominam w ten sposób, że przeszywa mnie dreszcz, kiedy wyrzuca je na powrót czas. Tę właśnie tak. Nigdy przedtem ani potem nie odczuwałam tak wyraźnie ambiwalencji wstętu i zachwyty. Wszystko było już w porządku, dokoła nas goniły się koty Emerenc, żaluzje strzegły bezpiecznej ciemności, kanapki, całego dobytku, który dawno poszedł z dymem. Cofnęłam rękę, czułam, że to więcej, niż potrafię znieść. O tym, że płacze, dowiedziałam się stąd, że Emerenc macała mnie po twarzy, pytając, co mi się stało, przecież teraz już jasne, że może bez wstydu wrócić do domu, i obiecuje, że szybko wyzdrowieje. Doprowadziłam twarz do porządku, zanim wyszłam. Emerenc pozbierała herbatniki i tabliczki czekolady, mówiąc, żebym zaniósła te łakocie Violi.

Sutu

Rekonwalescencja postępowała, wokół pięknej w kształcie, gładkiej twarzy odrastały coraz dłuższe, ostrzyżone przy dezynfekcji, gęste włosy. Że z jakiegoś powodu spadł jej kamień z serca, spostrzegli wszyscy lekarze, sąsiedzi z ulicy i podpułkownik, ale w tym samym stopniu jak ona stawała się spokojna i pogodna, ja stawałam się coraz bardziej nerwowa, bo zaplątałam się w kłamstwie, którego nie można było uniknąć. Ponownie rozmawiałam z lekarzem prowadzącym, nie był zachwycony, że tak ułożyły się sprawy, ale i on nie potrafił udzielić mi innej rady, niż żebym możliwie jak najdłużej zwlekała z wyznaniem prawdy, przynajmniej do czasu, kiedy podpułkownik każe pomalować kuchnię, przyśle nowe meble i poleci wstawić nowe drzwi. Nawet nie próbowałam mu wytłumaczyć, że choćbyśmy urządzili mieszkanie Emerenc meblami z apartamentów angielskiego pałacu królewskiego, to i tak nie byłaby zadowolona, bo to, co kochała, jest nie do odtworzenia, gdyby kiedykolwiek chciała wymienić meble, dawno by to zrobiła, ale Bóg jeden wie, jakie wspomnienia wiążą się dla niej z tą kuchnią, w której nie było dwóch mebli od kompletu. Jest też inny problem, ona nie tylko zacznie wszystko kwestionować, ale znów może zapaść na zdrowiu, bo natychmiast się domyśli, że skoro zaszła potrzeba wstawienia nowych mebli, to coś się ze starymi stało, czyli że nakłamałam. Proszę zrozumieć, powiedziałam do lekarza, ta staruszka jest w tej chwili przekonana, że ustrzegłam jej tajemnicę, posprzątałam mieszkanie, zatem nie zhańbiła się przed ulicą, może spokojnie wracać do domu, gdzie nawet nie będzie sama, bo czekają na nią koty. Przeżyje, pocieszył mnie. Popatrzyłam na niego z beznadzieją - nie rozumiał. Emerenc też nie rozumiał.

Kotów, nawiasem mówiąc, żeby przynajmniej te odzyskała, poszukiwali wszyscy sąsiedzi. Nie potrafiłam ich,

niestety, opisać, bo przecież widziałam je tylko raz, wydawało mi się, że był wśród nich jeden czarno - biały i jeden pręgowany, znaleźliśmy nawet na jezdni szarego trupka, do którego się nikt nie przyznawał, i mógł to być jeden z podopiecznych Emerenc przejechany przez samochód, na ślad innych nie natrafiliśmy. Teraz już wszyscy baliśmy się tego, co prędzej czy później musiało nastąpić, sień Emerenc była znów zatłoczona i towarzystwo, które zajmowało się sprawą, przynosiło sobie stołeczki i taborety, żeby podyskutować o problemach Emerenc. Przewodniczyła tym zebraniom Sutu, do której przynoszono na przegląd bezpańskie koty, Adelka zaś z zapalem asystowała przy oględzinach, choć widziała zwierzęta tylko przez mgnienie oka. Jeden Viola nie chciał wejść do sieni, czuł obcy zapach dezynfekcji, i to go odstraszało. W tych dniach rozpoczął się u psa ten trwający miesiącami proces, który, na szczęście, nie zakończył się tragicznie, co zawdzięczaliśmy podpułkownikowi, bo ten listem okólnym zawierającym dokładny opis zwierzęcia powiadomił posterunki, pracowników zieleni i kompetentne organa władz miejskich, że w okolicy wałęsa się pies, reaguje na imię Viola i mieszka u mnie, niech więc odprowadzą go do domu. Viola mianowicie w kilka dni po naszym powrocie zaczął regularnie uciekać, szwendał się po ulicach, zapuszczał się aż pod las, szukał Emerenc. Kiedyś przybiegł po mnie, nawoływał mnie szczekaniem, wyraźnie chciał mi coś pokazać, był rozgorączkowany, podniecony, kazał mi przebiec dwie ulice, zaciągnął mnie do jakiegoś ogrodzenia, potem spojrzał w poczuciu winy, jakby prosił, żebym się nie gniewała, ale powód, dla którego wyrwał mnie z domu, jest już nieaktualny, jednak on naprawdę widział to, co widział. Natychmiast odgadłam, dlaczego mnie tu wezwał: zapewne spostrzegł w tym ogrodzie jednego z kotów Emerenc, który przed nim nie uciekł, bo przecież go znał, tylko że zanim tu

dotarliśmy, pobiegł już dalej. Później jeszcze jednego martwego kota podejrzewaliśmy o to, że wywodzi się ze zwierzyńca Emerenc, znalazły go kobiety nieopodal targu, był czarno - biały z gwiazdką na piersi i według wszelkiego prawdopodobieństwa zagryzł go pies, można było sobie wyobrazić, że tak właśnie skończą wszystkie koty Emerenc, bo przecież wbiła im do łbów, że nie wolno się bać odwiecznego wroga, pies kota nie skrzywdzi, a więc nie ma co uciekać. Reszta jakby zapadła się pod ziemię.

Już nie chodziłam codziennie do szpitala, nie miałam czasu i nie uważałam tego za konieczne, z początku próbowałam uciec od myśli i trosk, ale nie udawało mi się. Chciałam pisać, ale zdolność tworzenia to stan łaski i musi zaistnieć tyle różnych czynników, żeby coś wyszło z pisaniny: podniecenie i spokój, wewnętrzna cisza i rozpierający duszę poryw, który jest zarazem i słodki, i gorzki, mnie zaś brakowało tego wszystkiego. Kiedy myślałam o Emerenc, nie odczuwałam ulgi, że żyje, lecz bezsilny niepokój i nieprzemijający wstyd. Pewnego dnia przybiegła po mnie Adelka, żebym przyszła do sieni, bo zebrali się sąsiedzi i znów powinniśmy porozmawiać.

Sutu od razu przeszła do rzeczy, zapytała, czego moim zdaniem należy się spodziewać, co będzie właściwie z Emerenc, kiedy się już na tyle wzmocni, że będzie mogła wrócić do domu. Powiedziałam, co postanowiliśmy: na razie nie wolno jej pracować i dopóki nie wyzdrowieje, będzie mieszkała u nas. Głowa i ręka są już w zupełnym porządku, tylko chodzić jeszcze nie może bez podpory, ale lekarze zapewniają, że to kwestia czasu. Deklamowałam jak licha aktorka, która w lichej sztuce gra jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Na to Sutu omal nie machnęła ręką.

- Ale przecież ona już nigdy nie będzie zdolna do pracy, nie ma mowy, żeby całkowicie stanęła na nogi -

zakomunikowała niemal wesoło, jakby nas chciała przekonać o czymś wręcz przeciwnym. - Z Emerenc już koniec, droga pani, jeśli nie teraz, to za rok, a mieszkanie jest służbowe, trzeba się zająć domem i sprzątać schody i chodnik. Tu trzeba nowego dozorca, nie można aż do jej śmierci dzielić obowiązków między lokatorów i byłoby to niemożliwe nawet wtedy, gdyby wcześniej Emerenc nie pracowała za pięciu.

Żona majster - klepki zerwała się, jakby ją obrażono. To nie tak, zawołała, ona w imieniu lokatorów oświadcza, że nie opuszczą staruszki i właśnie w dalszym ciągu będą dzielić się obowiązkami, jak długo będzie trzeba, aż wyzdrowieje, dotąd tak robili i będą nadal. Co sobie Sutu wyobraża? Nie wyrzucą Emerenc na ulicę.

- Kto mówi o ulicy? - Sutu popatrzyła na nią: była teraz niczym Mojra, choć tak naprawdę była po prostu realistką, teraz już wiem, że spośród nas wszystkich jedynie Sutu przeanalizowała sytuację i tylko ona miała odwagę się zastanowić. - Nie może się znaleźć na ulicy, ale jeśli podpułkownik jej pomoże, przyjmą ją do hospicjum czy jakiegoś lepszego domu starców, albo weźmie ją do siebie bratanek, względnie pani pisarka, jeśli rzeczywiście tak myśli. A domem trzeba się zająć, odmiatać śnieg, i to nie tylko z tego chodnika, ale i sprzed innych domów, z którymi ma umowę. Pani też nie ma nikogo do pomocy i sama sobie nie poradzi, więc jak pani to sobie wyobraża?

Zapadła cisza, potem zaczęliśmy mówić wszyscy naraz i w końcu już zupełnie przestaliśmy się rozumieć. Ja wypowiedziałam się jako pierwsza, oczywiście, że Emerenc może u nas zamieszkać, przecież znajdzie się ktoś do prowadzenia gospodarstwa. Będzie jej z nami dobrze. Emerenc nas lubi. Sutu roześmiała się, ale to nie był wesoły śmiech.

- A idźże, pani! - powiedziała. - Chyba pani nie sądzi, że ona by się na to zgodziła? Emerenc pożyje tylko tak długo, jak długo będzie wierzyła, że ma własny dom. Może przede wszystkim należałoby się zastanowić, co będzie, kiedy się dowie prawdy, bo prawdy to ona jeszcze nie słyszała. Wszyscy tu jesteście dobrzy i dzielcie między siebie jej pracę. A uzgodniliście już z nią, czy ona sobie tego życzy? Pani ją weźmie do siebie. W porządku. Będzie ją pani utrzymywać. A czy jej spodoba się to rozwiązanie? Czy Emerenc chce, by ją utrzymywano? Zgodziła się?

Adelka ocierała oczy, pociągała nosem, reszta milczała. Ja również, bo od samego początku bałam się tego, co głośno wypowiedziała Sutu.

- W co się tu gra? - ciągnęła Sutu. - Przecież ją znacie, ona do nikogo nie pójdzie, nigdzie. Kiedy ją przywiozą do domu i tutaj się wszystkiego dowie, to się pilnujcie, ona ma już dość siły, i dobrze ukryjcie siekiere, bo skoro rzuciła się na tych z pogotowia, to teraz kolej na nas albo na lekarza, albo na panią pisarkę, albo na podpułkownika, który pozwolił spalić jej meble. Emerenc nie potrzebuje byle jakiego życia. Emerenc potrzebuje swojego życia, a tego już nie ma.

Spotkanie zakończyło się w ponurym nastroju, Adelka tak się wzruszyła, że nie zdołała nawet zaprotestować. Sutu zabrała się i poszła, ja też poszłam, choć nic nie uzgodniliśmy. Pani Brodaricsowa zatrzymała jeszcze lokatorów i razem z żoną majster - klepki sporządziły na liniowanym papierze plan zastępstw za Emerenc. Cały dzień byłam w złym humorze, nawet źle spałam, jakbym obawiała się jakiegoś niekorzystnego obrotu spraw. Spodziewałam się nowego kłopotu lub nowej odmiany starego - nie bezpodstawnie, bo w tydzień później zatelefonował pan Brodarics, wybrany na zebraniu lokatorów na administratora w zastępstwie Emerenc, i z niejakim zakłopotaniem poinformował mnie, że była u

niego Sutu, która oświadczyła, że gdyby kiedyś lokatorzy sobie tego zażyczyli, ona chętnie zostawi budkę, zwróci koncesję i z pełną odpowiedzialnością przejmie obowiązki Emerenc, wszystko, co wiąże się z tą posadą. Jak ja oceniam tę sprawę, i w ogóle co ja na to?

Noc w Getsemani analizowałam zawsze z punktu widzenia Chrystusa, po raz pierwszy w tej chwili zastanowiłam się, co mogli odczuwać na przykład Jan lub Filip, kiedy pojęli, że ten, kto towarzyszył im w każdej ich drodze, czyje możliwości znają lepiej niż inni, bo przecież widzieli zmartwychwstanie Łazarza i córki Jaira, ten, z którego do ostatniej chwili czerpali jakąś nieokreśloną siłę i zapewnienie wiecznego życia, został zdradzony. Co ja na to, pyta pan Brodarics? Nic. Wstyd i hańba. Odłożyłam słuchawkę. Sutu ma czelność się zgłaszać? Ona, która w ogóle nie miała żadnych szans, dopóki Emerenc przy pomocy podpułkownika nie załatwiła jej budki, Sutu, którą Emerenc karmiła i zaopatrywała w odzież, kiedy widziała, że w szafie ma pusto? Zatem już wszystko możliwe! Uczciwie mówiąc, nie tylko się oburzyłam, lecz także wpadłam w popłoch, wprawdzie pan Brodarics odrzucił na razie ofertę Sutu, ale gdy niezdolna do pracy Emerenc wróci do domu, lokatorzy prędzej czy później będą zmuszeni coś przedsięwziąć, przecież nie mogą zastępować Emerenc aż do jej śmierci ludzie, którzy mieszkają w tej willi, są albo bardzo starzy, albo mają rozliczne obowiązki, niemal każdy z nich ma drugą posadę, nie ma tam nikogo, kto zawsze byłby osiągalny, natomiast śnieg, pęknięcie rynny, listonosz czy kominiarz nie dostosują się do podziału czasu dyżurnego lokatora. Albo Emerenc całkiem wyzdrowieje i będzie robiła to, co dotychczas, albo musi wyprowadzić się z mieszkania i zostanie, powiedzmy, na zawsze u nas, przecież wraz z pracą utraci także mieszkanie. Panie Boże, co ja z nią pocznę, jeśli



nie będzie chodzić, biegać, załatwiać, kupować, gotować, przemykać się z wazą, co ja z nią pocznę, no co?

Kiedy nazajutrz przyszedłam do szpitala, powiedziano mi, że ordynator ma do mnie sprawę i prosił, bym do niego wpadła. Z góry wiedziałam, czego chce, nie musiał mówić. Był niczym przestrzegający niepisanych reguł gry w tym zawodzie krytyk, który ciska twórcy niezobowiązującą, łagodną pochwałę, a kiedy ten, jak stary pies, rzuca się na ochłap - strzela. Z promienną twarzą wychwalał zadziwiającą zdolność regeneracji organizmu Emerenc, siłę, z jaką po pierwotnej depresji zaczęła walczyć o swoje życie, pozytywne wyniki, kilogramy, których przybyło jej wychudzonemu ciału. Czy wiedziałam o tym, że zaczyna się jej tworzyć zaćma na oczach? Nie? Nie szkodzi, to starość, na razie jej nie przeszkadza, przecież i tak nie czyta, a telewizję może oglądać i z zaćmą. Czekałam na strzał i doczekałam się.

- Proszę ją zacząć przyzwyczajając do myśli, że musi stąd odejść, zresztą teraz już sama tego pragnie, wspomina dom, marzy się jej ogródek, mówi, że ominęło ją wczesne lato, jej ulubiona pora roku. Wiem, że państwo przemilczeli przed nią prawdę i mądrze zrobiliście, nigdy by nie wyzdrowiała, gdyby знаła ją od początku. Ale teraz już się wzmocniła, uważam, że zniesie prawdę, proszę powiedzieć panu podpułkownikowi, żeby doprowadził do porządku jej mieszkanie, bo mamy zamiar odesłać ją do domu.

- Jeszcze nie - rzekłam natychmiast. - To jeszcze niemożliwe. Jeszcze nie zdecydowaliśmy o jej przyszłości, mieszkanie wygląda tak, jak zostało po sanepidzie, jeszcze nic nie jest zrobione, musimy się zastanowić. Nie możemy zrobić tego, czego pan wymaga, to wykluczone.

- Jest to do tego stopnia niewykluczone - odparł - że nie ma sensu dyskutować. Zatrzymam ją tu jeszcze przez tydzień, a przez ten czas wszystko mogą państwo załatwić. Proszę się

liczyć z tym, że we wszystkim będzie jej potrzebna pomoc, chodzić natomiast, jeśli w ogóle można mówić na ten temat, jeszcze długo nie będzie mogła, ale nie zostawimy jej bez opieki socjalnej, uzgodniliśmy to już z radą miasta. Muszą państwo ustalić, kto będzie jej robił zakupy, kto gotował, bo ona nie wstanie z łóżka, trzeba jej też będzie podawać basen, ale na zastrzyki, kąpiel i zmianę pościeli będzie przychodziła pielęgniarka. Jeśli państwo nie mogą tego rozwiązać w rodzinnym czy też przyjacielskim gronie, pan podpułkownik z pewnością wynajdzie jej jakieś odpowiednie miejsce, ale z oznak powszechnej sympatii wywnioskowaliśmy, że znajdzie się ktoś, kto ją przygarnie. Jakbym słyszała Sutu.

- A co będzie, panie ordynatorze, jeśli Emerenc nie zechce z kimkolwiek zamieszkać? - zapytałam i ledwie wymówiłam te słowa, poczułam, że plotę bzdury. Nie chce, nie życzy sobie, nie będzie, zaprotestuje. W jaki sposób? Każdy wie, że odtąd Emerenc będzie już tylko zdana na różne rzeczy, od Emerenc nie zależy już nic poza śmiercią.

Ordynator popatrzył na mnie łagodnie i udał, że nie słyszy mego ostatniego, niezręcznego pytania. Wstał, serdecznie potrząsnął moją dłoń.

- Zatem rozumiemy się. Z nielekkim sercem ją stąd wypuszczam, bo wszyscy ją tu polubili, ja też; zarówno jej ciało, jak i duch to cud gerontologii, rzadki przypadek. Ale nie mogę dłużej odbierać miejsca komuś, kogo możemy postawić na nogi, staruszka niestety prawdopodobnie pozostanie sparaliżowana i nie możemy jej tu pielęgnować do śmierci. Proszę mi uwierzyć, że i tak zrobiliśmy dla niej więcej niż dla kogokolwiek innego. I jeszcze coś. To chyba najważniejsze.

Czekałam na drugi strzał, ochłap już wypadł z pyska, ale pies jeszcze żył. To było rzeczywiście najważniejsze.

- Proszę nie narażać jej na to, że pewnego dnia karetka odwiezie ją do nigdy niewidzianego, świeżo odmalowanego

mieszkania z nowymi meblami, a stamtąd, jako że nie może zostać sama, od razu gdzie indziej. Teraz już wytrzyma, więc proszę jej powiedzieć prawdę. O siekierze, dezynfekcji i wszystkim. Tutaj niech jej to pani powie, bo tu w każdej chwili mogę jej dać jakiś zastrzyk, a nie w domu, gdzie na próżno będzie szukała swoich mebli i swoich kotów. Rozmawiałem już o tym z sąsiadami, twierdzą, że to z panią jest najmocniej związana, więc niech pani jej powie, w końcu to pani uruchomiła lawinę. Zresztą, tak naprawdę to pani Emerenc może podziękować za życie, bo gdyby jej pani nie namówiła do otworzenia drzwi, nie przeżyłaby nawet czterdziestu ośmiu godzin.

Czy naprawdę powinna mi dziękować za to życie, jakie jej szykujemy? Koty, które rozpraszały jej samotność, teraz błąkały się gdzieś bądź pozdychały, jej ulubione meble poszły z dymem, szlachetna inicjatywa lokatorów co do podziału pracy jest na dłuższą metę niemożliwa do zrealizowania, Emerenc zaś nie pójdzie do zakładu opieki społecznej, za żadne skarby, ona pójdzie tylko do domu, ale gdzie jest ten dom? Jeśli nawet u mnie, to i tego nie polubi, jej potrzebny jest własny, a jak ja dostosuję do naszego życia sparaliżowaną, wymagającą opieki chorą, przecież znów tylko mełłam językiem, kiedy ja będę miała czas podawać basen, prac, gotować, chronić ją przed odleżynami, przecież pielęgniarka nie przyjdzie codziennie, i co ja zrobię, jeśli będę musiała wyjść z domu, i co zrobi mój mąż? A w ogóle: czy ona się zgodzi, jeśli jej to zaproponuję? Natychmiast odmówi, ale wówczas dokąd pójdzie, u innych nie ma miejsca, syn brata Józsiego jej nie weźmie, podpułkownik właśnie się drugi raz ożenił, czyli nie ma wyjścia, może zamieszkać tylko u nas.

Szłam do domu i po drodze zastanawiałam się, co zrobię, jeśli Emerenc odrzuci moje zaproszenie. Nawet do niej nie zajrzałam, było mi pilno porozmawiać z mężem. Na ulicy

przed willą był ruch, kręcili się ludzie, stała ciężarówka, weszłam więc, by zobaczyć, co się tam dzieje. Jak się okazało, sień Emerenc była już otynkowana, kuchnia pomalowana, deski poodrywane, a w miejscu wyłamanych drzwi widniały nowe. Nieznajome kobiety sprzątały, zapewne była to więzienna brygada od podpułkownika: ruszyła praca. Wróciłam do domu i zatelefonowałam, ale podpułkownik nie rozumiał, o co mi znów chodzi. Drzwi na swoim miejscu, malowanie skończone, podłoga wyszorowana, za parę dni będą meble, jest ciepło, jak to w lecie, więc wszystko zaraz wyschnie. W czym rzecz, czemu to jestem taka przygnębiona?

Któż wreszcie zrozumie, w czym rzecz? Opowiedziałam mu o zdradzie Sutu, zasepił się, ale zaraz mnie poinformował, że prawo chroni Emerenc, nie mogą jej wyrzucić z mieszkania ani nawet zmusić, żeby się wyniosła dobrowolnie, bo to tylko domniemanie, że już nigdy w życiu nie będzie zdolna do pracy. Dwa lata lokatorzy muszą poczekać w każdym razie, a przez dwa lata wszystko może się zdarzyć, może nawet biedaczka wyzdrowieć albo umrzeć, na razie niech lokatorzy zajmują się ulicą tak jak dotychczas, on się rozejrzy za opiekunką, więc po co ja się denerwuję, przecież wszystko w porządku. Stan krytyczny mamy za sobą, każdy ma prawo chorować, i jeszcze coś: on też mnie już teraz prosi, bym dokończyła, co zaczęłam, Emerenc pozostała przy życiu, bo umocniłam moim kredytem niewiarygodnie piękne kłamstwo ulicy, ale teraz już nie musimy kłamać, niechże więc ukoronuję moje dzieło i złą nowinę załagodzę dobrą, mówiąc, że to, co przepadło, przybrało nowy kształt i dawny, to znaczy nowy, to znaczy ten sam dom czeka na swoją panią.

On też nie rozumiał, pewnie nie mógł zrozumieć, bo mówiliśmy w tak różnych językach. W słowniku Emerenc stało: nieczystości, widowisko, skandal, uliczna komedia, hańba; w słowniku podpułkownika: prawo, porządek,

rozwiązanie, ludzka solidarność, skuteczne działanie; zawartość obu słowników była prawdziwa, tylko język się różnił. Przynajmniej niech zrobi tyle, że to on powie Emerenc, co się naprawdę zdarzyło, ja nawet tam nie byłam, pojechałam przecież do telewizji, w końcu on wie, kto został na miejscu.

- Ja się jej nie boję - rzekł podpułkownik - Emerenc to mądra kobieta, nie docenia jej pani, bojąc się powiedzieć, że uratowała ją pani nie na klęskę, lecz że jest to happy end, nawet jeśli dość swoisty. Powiem jej, jeszcze dziś po południu jej powiem. Z Sutu niech pani nie rozmawia, nie musi jej się pani nawet odkłaniać, opowiem Emerenc, jak to ją Sutu zdradziła, niech się pani nie boi, to ją bardziej zaktywizuje niż wszystkie leki, może ze złości od razu wyskoczy z łóżka, wyobrażam sobie, jak się Sutu dostanie, jeśli ośmieli się ją odwiedzić. Załatwię to, ale nie ukrywam, że się na pani zawiodłem. Szczęście, że dopiero teraz, w ostatniej fazie, straciła pani zimną krew.

## Final

Przeżywałam już takie godziny jak tego popołudnia: w takim samym napięciu mijał czas, gdy operowano mojego męża oraz w nocie poprzedzające pogrzeby moich rodziców. Teraz leżałam na łóżku mojej matki z nieruchomym Violą i było gdzieś koło szóstej, kiedy do drzwi zadzwoniła Adelka, która z zakłopotaną miną poinformowała mnie, że nie uwierzę, ale nie wpuścili jej do Emerenc, nie wie, co się stało. Na drzwiach wisi tabliczka, że nie wolno chorej odwiedzać, a kiedy poprosiła pielęgniarkę, by wzięła od niej zupe, ta kazała jej zabrać ją z powrotem, bo Emerenc niczego nie potrzebuje, a odwiedzać jej na razie nie wolno. Nie wpuszczono także żony majster - klepki, ona też odeszła z pełną torbą. Zatem miecz już opadł, pomyślałam, mogę iść. Pozbierałam się, na ulicy przed naszym domem - pewnie z własnej pilności - zamiatała sennie Sutu, na mój widok ukazało się na jej twarzy nie tyle poczucie winy, co zamyślenie, może dowiedziała się od Adelki o nowym zarządzeniu i teraz zastanawia się, jak wtedy gdy w sieni Emerenc wróżyła sąsiadkom z kart, czy to, co się stało, wyjdzie jej samej na dobre, czy też na złe.

Drogą prowadzącą do szpitala dreptały z powrotem dwie sąsiadki z pełnymi torbami. Były zatroskane, widocznie Emerenc poczuła się gorzej, niebo jest ciemne, ołowiane, nadszedł zimny front, wiatr szarpie gałęziami w alei, może to ten front tak na nią podziałał, że pielęgniarki zamknęły ją przed odwiedzającymi. Tak surowo nie pilnowali jej nawet wtedy, kiedy wydawało się, że biedaczka kona. Dobrze, że tam idę, może mnie powiedzą prawdę.

Weszłam na górę, zdjęłam tabliczkę zakazującą wstępu, na co pielęgniarka tylko skinęła głową, widocznie takie otrzymała polecenie. Wchodząc do pokoju, pomyślałam, że podpułkownik ma właściwie rację, to ja ingerowałam w jej życie i skoro śmiałam wytrącić nożyce z rąk Atropos,

powinnam też była mieć odwagę rozejrzeć się po warsztacie Parek. Emerenc leżała tyłem do drzwi, nie odwróciła głowy, ale równie dobrze jak Viola rozpoznawała moje kroki. Między jej wczorajszym a dzisiejszym wyglądem była taka różnica, że znów miała ręcznik na twarzy, ale ja wiedziałam, że ona wie: to ja tu jestem.

Milczałyśmy obydwie. Nigdy nie widziałam bardziej zagadkowej, niemej, nieprzeniknionej postaci niż ona tego popołudnia, kiedy narastał mrok i gałęzie drzew uderzały w zamknięte okna. Usiadłam przy niej, trzymając w ręku tabliczkę zakazującą wstępu.

- Ile kotów zostało? - odezwała się wreszcie spod ręcznika. Jej głos był równie nierealny jak niewidoczne były jej rysy.

Wtedy było mi już wszystko jedno.

- Ani jeden, Emerenc. Trzy, jak sądzimy, znaleźliśmy martwe, reszta przepadła.

- Niech pani szuka dalej. Te, które żyją, ukryły się w jakimś ogrodzie.

- Dobrze. Będziemy szukać.

Cisza. Za okiennymi szybami poruszają się gałęzie.

- Nakłamała mi pani o tym sprzątaniu.

- Nie było co sprzątać, Emerenc. Sanepid to zrobił. - I pani pozwoliła?

- Nie mogę walczyć z prawem. Podpułkownik też nie może. Zdarzyła się tragedia, nieszczęście.

- Tragedia! Powinna była pani interweniować, nawet w parlamencie, jeszcze tego samego dnia albo nazajutrz.

- Nawet gdybym była na miejscu, daremnie bym kogoś molestowała. Powtarzam, że działanie w takich przypadkach regulowane jest prawem i musi wkroczyć sanepid. Nie dałabym rady.

- Nie było pani na miejscu? A gdzie pani była?

- W Atenach, Emerenc. Był kongres, zapomniała pani, a przecież jeszcze w domu o tym mówiłyśmy. Byliśmy delegatami i musieliśmy pojechać.

- I wyjechała pani, nawet nie wiedząc, czy wyżyję?

Na to nie miałam odpowiedzi. Obserwowałam spływające z wolna po szybie krople. Tak było. Wyjechałam.

Gwałtownym ruchem zerwała z twarzy ręcznik i spojrzała na mnie. Była biała jak płótno.

- Co z was za ludzie? Z pani i podpułkownika? Jeszcze gospodarz jest najuczciwszy, bo on przynajmniej nigdy nie kłamał.

Na to znów nie miałam odpowiedzi. Mój mąż naprawdę nigdy nie kłamał, natomiast podpułkownik to jeden z najbardziej godnych szacunku ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam, to ja jestem taka. Taka. Wyjechałam do Aten, wyjechałabym nawet, gdyby to mój ojciec był w stanie krytycznym, bo grecki resort spraw zagranicznych nieprzybycie oficjalnej delegacji węgierskiej zinterpretowałby inaczej, bo delegacja po nagrodzie to gest, którego teraz nie wolno mi było Węgrom odmówić, bo jestem pisarką i nie mam życia prywatnego, podobnie jak aktor, który musi grać, nawet gdy w domu nieszczęście.

- No, niech pani stąd idzie - powiedziała cicho. - Nie kupiła pani domu, choć tak prosiłam i obiecywałam do niego skarby, nawet nie urodziła pani dziecka, choć obiecałam, że je wychowam. Niech pani zawiesi z powrotem tabliczkę na drzwiach, bo nie chcę widzieć nikogo, kto był świadkiem mojej hańby. Gdyby mi pani pozwoliła umrzeć, jak to sobie postanowiłam, gdy pojęłam, że już nigdy nie będę mogła naprawdę pracować, dbałabym o panią nawet z za grobu, ale teraz nie mogę już znieść pani obecności. Niech pani idzie.

Jednak wierzyła w życie pozagrobowe, drażniła się tylko z nami i pastorem.



- Odtąd niech pani robi, co chce. Nie potrafi pani kochać, a ja tak wierzyłam, że może jednak. Ratować mnie na to, co ma być? I jeszcze chciałyby mnie pani wziąć do siebie i utrzymywać? Idiotka!

- Emerenc!

- Niech pani idzie i wypowie się w telewizji, napisze powieść albo znów pojedzie do Aten. Niech nikt z was nie próbuje się do mnie zbliżyć, kiedy mnie już odstawią do domu, bo Adelka dała mi nożyczki i cisnę w każdego, kto wejdzie. Co się tak przejmujecie moim losem? Są na świecie domy opieki społecznej, a nasze państwo jest najlepsze ze wszystkich, zresztą mam prawo chorować w domu nawet i dwa lata. Pani przyjaciel mi to powiedział. No, do widzenia. Mam dużo spraw.

- Emerenc, u nas...

- U państwa! Pani jako gospodyni domowa, pani jako osoba prowadząca gospodarstwo! Pani i gospodarz! No, idź pani do diabła! U państwa jest tylko jeden człowiek zdrowy na umyśle, Viola.

Obok niej stała nietknięta kolacja, kiedy Emerenc poruszyła się rozdrażniona, omal nie strąciła talerza, nie śmiałam się do niej zbliżyć, naprawdę się bałam, żeby nie cisnęła we mnie nożyczkami. Położyła się na wznak i patrzyła w sufit, ledwie widziałam jej twarz, kiedy odchodziłam bez pożegnania. Biegłam w deszczu do domu i łamałam sobie głowę, co powinnam była sformułować inaczej, ale nic nie przychodziło mi na myśl.

Po godzinie trochę się uspokoiłam, mam wrażenie, że podświadomie byłam przygotowana na coś jeszcze gorszego, ale iluzja spokoju nie trwała długo, przestraszył mnie bowiem mój mąż. Spacerując tam i z powrotem po mieszkaniu, powiedział, że nie podoba mu się ta powściągliwość Emerenc, jej opanowanie, to dla niej nietypowe, bardziej naturalny

byłby prawdziwy, gwałtowny wybuch. Nie mogłam dłużej analizować duchowego obrazu Emerenc, bo nagle, w ścisłym tego słowa znaczeniu, oszalał nasz pies. Viola skowyczał, drapał, pozwijał wszystkie dywany, rzucał się na podłogę, piana toczyła mu się z pyska i był w takim stanie, że już myślałam: koniec z nim. Zatelefonowałam do weterynarza, żeby natychmiast przyszedł, no i zjawił się jak w tamten pierwszy, niezapomniany wieczór wigilijny, Viola uwielbiał go, zwykle demonstrował mu swoje sztuczki nawet wtedy, gdy tamten go szczepił. Teraz tylko leżał, nie podniósł się na dźwięk jego głosu. Lekarz przyklęknął przy nim i przemawiał do niego, podczas gdy jego wrażliwe palce przesuwwały się po psim ciele. Otrzepał spodnie i wzruszył ramionami: nic konkretnego, pies przeżył jakiś szok, coś strasznego, co naruszyło równowagę jego systemu nerwowego. Próbował wydać mu polecenie, ale Viola nie słuchał, nie siadał, nie chodził, a postawiony przez weterynarza, przewrócił się na bok jak sparaliżowany. Stało na tym, że nazajutrz lekarz ponownie go zbada, mam mu dać wieczorem cukru winnego i niemowlęcą dawkę środka uspokajającego. Nie wie, co dolega psu. Żebym go zabiła, nie wie. I poszedł.

Nakrywałam do kolacji. Viola wciąż leżał. Prosiłam, żeby mi pokazał, jak mnie kocha, ale nawet na mnie nie spojrzał, tylko leżał jak szmata, upuściłam wyładowaną tacę, kiedy nagle zawył jakimś nieprawdopodobnym głosem, zdrętwiałam i nie miałam odwagi zbliżyć się do niego, pomyślałam, że się wściekł i że mnie ugryzie. Nie chciałam uwierzyć jego wyciu, nie chciałam uwierzyć nawet wtedy, gdy mój mąż stał już przy mnie w kuchni nad szczątkami kolacji, spojrzał na zegarek i cicho powiedział: kwadrans po ósmej. Kwadrans po ósmej, powtórzyłam za nim. Kwadrans po ósmej, kwadrans po ósmej. Kiedy powiedziałam to po raz trzeci, mój mąż przyniósł mi płaszcz nieprzemakalny, wtedy oniemiałam, poczułam nagle,

że to wszystko, co dzieje się wokół mnie, nie jest normalne. Jak papuga trzykrotnie podaję czas.

Co ze mną? Zwariowałam? Okłamywałam się w ten sposób, jakby od tego zależało moje życie, okłamywałam się, żeby nie powiedzieć tego co Viola. A przecież wiedziałam i mój mąż także wiedział. Viola był pierwszy, to on nas oboje poinformował. Płakał jak dziecko.

Na szpitalnym korytarzu roilo się od lekarzy, z gabinetu dobiegał głos siostry przełożonej, która rozmawiała przez telefon. Nie musieliśmy pytać, powiedział nam lekarz prowadzący, ledwie mógł się doczekać, aby to mieć za sobą. Kiedy odeszłam, Emerenc z początku leżała cicho, miętosila chustkę, nie odpowiadała, gdy się do niej zwracano, i w tym nie było nic nadzwyczajnego, kiedy indziej również w ten sposób dawała do zrozumienia, żeby zostawiono ją w spokoju. Gdzieś po ósmej, kiedy zajrzała do niej pielęgniarka, żeby zgasić światło, zażądała, aby natychmiast, jeszcze tego wieczoru, odesłano ją do domu, musi się rozejrzeć po okolicznych domach i ogrodach, gdzie czekają na nią głodne i pozbawione opieki koty. Pielęgniarka odparła, że jest to z wielu względów niemożliwe, po pierwsze, już wieczór, nie wypisano jej ze szpitala, a poza tym nie ma się gdzie w swoim mieszkaniu położyć. Wtedy stała się ostra i kategoryczna, wykrzykiwała, że jak nie, to nie, ma jeszcze tyle siły, by zwalczyć tę niegodziwą słabość i pójść stąd, musi natychmiast iść, nie może tu zostać, potrzebują jej, i naprawdę próbowała wstać, wypadła z łóżka. Chodzić oczywiście nie mogła, stanąć także nie; w chwili gdy padała na podłogę, najpewniej skończył z nią kolejny, sprowokowany informacjami podpułkownika i moją wizytą, zator, który tym razem sparaliżował nie mózg, lecz serce. I jeszcze jedno - choć sama nigdy bym w to nie uwierzyła nawet w tej nierealnej chwili, w której powiedziano mi dokładnie to, o czym już wcześniej

doniosło mi nieartykułowane wycie Violi - udało mi się czegoś ją pozbawić, odebrałam jej ostatnią rzecz, którą mogłaby się słusznie chełpić: brawa należne finałowi godnej śmierci. Nikt się już więcej nie zajmował Emerenc, choć wciąż jeszcze leżała na łóżku, na które ją przeniesiono z podłogi, bo na jej widok osunęłam się na progu, jakby ktoś podciął mi nogi, i od tej chwili cały oddział zajmował się mną. Długo trwało, zanim zdołano przywrócić mi przytomność. Nie wypuszczono mnie do domu, zatrzymano na tydzień w szpitalu i odtąd ulica przychodziła do mnie z miskami i garnkami. Emerenc taktownie zniknęła z ekranu powszechnej uwagi. Położono mnie w pokoju, gdzie był telefon i telewizor, pielęgnowano mnie, pocieszano, uspokajano, leżałam opromieniona sympatią. Mój mąż przychodził do mnie codziennie dopiero po dziewiątej wieczorem, kiedy był pewny, że nie spotka nikogo obcego, wszyscy zbliżali się do mojego łóżka optymistycznie uśmiechnięci i tylko z jego twarzy nie zniknęły litość i nieodparty smutek.

## Spuścizna

Często przychodzi mi na myśl, że to wszystko właściwie bardzo zwyczajnie się potoczyło. Emerenc przestała absorbować swymi nierozwiązywalnymi problemami niewielką rodzinę i luźny krąg przyjaciół i niczym prawdziwie wielcy wodzowie imponującym gestem sama załatwiła własne sprawy. Skoro nie ma co ze sobą począć, skoro nic nie może ze sobą począć, to trzeba skończyć, bo już od dawien dawna ludzkość porusza się krokami gwiazdnymi i żyjącym w odległej przyszłości nie będzie się nawet śniło o tym barbarzyńskim przedszkolu, w którym za kubek kakao prowadziliśmy nasze nędzne publiczne i prywatne walki, ale i wtedy nie da się uratować losu takiego człowieka, dla którego nie ma miejsca w niczym życiu. Skoro my nie byliśmy dość odważni, by to sformułować, ona sama to sformułowała i taktownie odeszła. Nawet obce i łagodnie mówiąc, przeciążone pracą urzędy i instytucje tak jakoś się zachowywały, jakby otrzymały polecenie od Emerenc, żeby długo nie zwlekać. Podpułkownik załatwił, że bez jednego papierka podjęto się jej pogrzebu - książka meldunkowa skończyła na stosie wraz z innymi zabrudzonymi papierami - a szpital uznał za naturalne, że niespokojna pacjentka koło osiemdziesiątki umarła na paraliż serca, od razu więc wyznaczono dzień postępowania spadkowego i ostatniej posługi - obrządek kremacji liczył się tylko jako wstęp do właściwego pogrzebu, w myśl testamentu stałym miejscem spoczynku Emerenc miała być budowana krypta, syn brata Józsiego pokazywał mi kwit potwierdzający jej obstalunek, prosząc mnie jednocześnie, bym porozmawiała z przewielebnym o pogrzebie. Nie od razu powiedziałam: tak, właściwie chciałam się od tego wymigać, aby przynajmniej w tym jednym wiernie wypełnić wolę Emerenc, która nie życzyłaby sobie kościelnego obrządku, ale syn brata Józsiego

był zdania, że ulica się zgorszy i że go obgadają, bo co się należy, to się należy. Zdecydowaliśmy, że nie napiszemy nekrologu, tylko podamy w gazecie datę pogrzebu, bratanek listownie zawiadomił rodzinę w Csabadul, skąd nadeszła odpowiedź, że przykro im, niestety tryb ich życia uniemożliwia im osobisty udział w ceremonii, poza tym uważają za słuszne, że Emerenc zostawiła swój majątek bratankowi, bo oni jej w niczym nie pomagali - zresztą o to nie prosiła - a rodzinne więzy już dawno zostały zerwane. Jeśli syn brata Józsiego chce zabrać także zmarłych pochowanych w Nadori, to nie tylko nie wezmą mu tego za złe, lecz jeszcze podziękują.

Kiedy wyliczaliśmy, co zostało do zrobienia - konferencja odbywała się w miejscu, gdzie niegdyś obracał się dwór Emerenc, czyli w sieni Zakazanego Miasta, całkowicie obojętny Viola leżał przy naszych nogach, teraz już spokojnie mogłam go zabierać do dawnego domu staruszki, zachowywał się tak, jakby tam nigdy przedtem nie był. Mój mąż przez trzy dni słuchał jego skowytu, który potem przeobraził się w jęk i umilkł, Viola podniósł się z pozy ścierki do podłogi, przeciągnął się, spojrzął na mojego męża, jakby właśnie zbudził się ze snu, i odtąd już nie wydał żadnego dźwięku, i to w ścisłym tego słowa znaczeniu: Viola już nigdy niczego nam nie zasygnalizował. Nie poszczekiwał, kiedy się cieszył, nie skarżył się, najwyżej warczał, gdy zachorował i trzeba go było leczyć, ale do końca życia już nigdy nie zaszczekał.

Postępowanie spadkowe podpułkownik kazał wyznaczyć na ten sam dzień co pogrzeb, o dziewiątej poszliśmy do rady miasta, syn brata Józsiego, podpułkownik i ja, wizji lokalnej nie było, tylko podpułkownik przedstawił protokół sanepidu i oświadczył, że w jednym pokoju pozostały ruchomości, które on swojego czasu oglądał, są to piękne, stare meble, ale nic poza tym nie ma, kuchnia w znacznej części uległa

zniszczeniu, choć zmarła posiadała wszystko to, co widuje się w dobrze wyposażonym gospodarstwie, jeśli rada sobie życzy, niech przyśle kogoś, by sprawdził, ale rada nie życzyła sobie niczego sprawdzać. Syn brata Józsiego oświadczył, że ciotka ciepłą ręką dała mu pieniądze, a ruchomości należą się mnie, skończyliśmy w dziesięć minut. Młoda kobieta, która prowadziła sprawę, prosiła z uśmiechem, że gdyby jednak okazało się, iż zmarła przechowywała jakieś skarby, żebym to zgłosiła, gdyż wówczas wyliczy mi podatek; obiecałam, że tak zrobię. To było szybkie postępowanie, uprzejme, poczęstowano nas nawet kawą, bratanek i ja byliśmy w czerni, podpułkownik w mundurze, w którym zwykł witać różnych dostojników. Pojechaliśmy jego samochodem na Farkasret i dowiedzieliśmy się od syna brata Józsiego, że prawdziwy dom Emerenc będzie gotowy na świętego Stefana, wtedy też odbędzie się na cmentarzu w Nadori ekshumacja i 25 sierpnia spotkamy się ponownie, ale już przy krypcie, gdzie ostatecznie spocznie urna z prochami Emerenc.

Na placyku przed kostnicą czerniał tłum. Nie zwróciłam na to uwagi i dopiero później mi powiedziano, że zamknięto wszystkie prywatne zakłady w naszej okolicy, warsztat szewski, budkę Sutu, wytwórnię wody sodowej, repasację pończoch, wypiek wafli, gabinet pedikiurzystki i pracownię kuśnierską. Na sklepach widniały kartki takiej treści: „Zamknięte do drugiej z powodów rodzinnych”. „Jestem na pogrzebie”. Najbardziej lakoniczny okazał się szewc, napisał bowiem na kartce informującej o jego czasie pracy tylko tyle: „Emerenc”. Z daleka dochodziła smętna muzyka, a urna obrzucona była dokoła masą małych bukietów, nie mogłam na to patrzeć, syn brata Józsiego zaprowadził mnie i podpułkownika na miejsce dla rodziny. Zastanawiałam się, czy pastor naprawdę przyjdzie, bo spędziliśmy pół godziny na męczącej rozmowie, która nadawałaby się do biuletynu

teologicznego i była jak dialog prowadzony w czasach ojców Kościoła na temat aktualnych problemów: pastor pytał, po co kościelny pogrzeb komuś, kto na każdym kroku dawał do zrozumienia, że odwrócił się od Boga, nigdy nie wchodził do domu Bożego i swoimi wypowiedziami ustawicznie gorszył wiernych; kiedy próbowałam mu wytłumaczyć, jakim człowiekiem była Emerenc, spojrzał na mnie lodowato i odparł, że on musi brać pod uwagę prawa boskie i kościelne i nie rozumie, jakim prawem życzy sobie kościelnej posługi osoba, która nie oddawała się praktykom religijnym, siała zgorszenie w gminie kościelnej swoim nieuporządkowanym, niegodnym członka Kościoła życiem i nigdy nie przystępowała do Stołu Pańskiego. Nie ona sobie tego życzy - powiedziałam na to - tylko ja i wszyscy uczciwi ludzie. Należy się jej tyle poszanowania, bo wśród jego pobożnych wiernych niewiele znam chrześcijan tak prawdziwych jak ta staruszka, która wygadywała niestworzone rzeczy o Kościele jako instytucji, a w związku z predestynacją twierdziła, że nie wierzy, aby Bóg postępował inaczej niż ona, która zawsze w przypadku jakichś psich grzechów bierze pod uwagę, że Viola to nie człowiek, i dlatego nie skazuje go na wieczne potępienie, jakże więc Bóg mógłby być tak niesprawiedliwy, żeby ją skazać na potępienie, zanim jeszcze zważyłby jej życie. Ta kobieta praktykowała swoją wiarę nie w święto między dziewiątą a dziesiątą w zborze, lecz przez całe życie we własnym otoczeniu z tak czystą miłością bliźniego jak postaci biblijne, i jeśli pastor mi nie wierzy, jest ślepy, przecież chyba ją widywał wędrującą po okolicy z jedzeniem dla chorych. Wykształcony, surowy młody mężczyzna nie powiedział ani tak, ani nie, zapytał, kiedy ma być pogrzeb, uprzejmie, ale bez najmniejszych oznak osobistej sympatii, odprowadził mnie do drzwi i dał mi przy tym do zrozumienia,



że niestety Emerenc nie dała mu okazji, aby mógł poznać jej zalety.

Wzruszyłam się, kiedy jednak ujrzałam jego sylwetkę w długiej szacie liturgicznej. Wygłosił kryształowo logiczną, mądrą mowę, w której docenił pracę ludzkich rąk, ale przestrzegł zebranych, by nie myśleli tylko o chlebie, którym żyją, i nie wyobrażali sobie, że religia to prywatna sprawa między nimi a Bogiem i można praktykować wiarę w cztery oczy z pominięciem Kościoła. Pożegnał Emerenc zimnym, poprawnym, efektownym przemówieniem, a jego słowa były do tego stopnia wyprane ze wszelkiego uczucia i do tego stopnia nie można z nich było zrekonstruować prawdziwej Emerenc, że podziały na mnie jak chloroform, dopóki ich słuchałam, czułam raczej tępe odrętwienie zamiast tego pierwotnego, dotkliwego bólu, który zazwyczaj nas przeszywa, gdy stoimy naprzeciwko człowieka, którego kochaliśmy, a który teraz znajduje się w tym małym naczyniu, obrócony w proch, i wprost trudno uwierzyć, że jeszcze tak niedawno śmiał się do nas. Tłum żałobników był tak gęsty, jakby Emerenc miała dwanaścioro dzieci i odpowiednią do tego liczbę wnucząt, a także stałe miejsce pracy, na przykład jakąś fabrykę, główna aleja i odchodzące od niej ścieżki czerniały od „jej ludzi”. Ci, którzy stali bliżej pastora, koili swój smutek jego poprawnym, znieczulającym przemówieniem, ci, którzy stanęli dalej, mieli więcej szczęścia i nawet płakali. Podeszłam do kolumbarium i położyłam przy urnie mały bukiet kwiatów z ogrodu Emerenc. jeszcze zabrzmiała modlitwa, potem zacementowano płytkę. Sutu spazmatycznie łkała, Adelka patrzyła na nią nieruchomo, przez cały czas patrzyła na Sutu, a nie na Emerenc w urnie.

Człowiek nie od razu pada, kiedy wbijają mu w serce bardzo ostry nóż. Wszyscy wiedzieliśmy, że utratę Emerenc odczujemy w pełni jeszcze nie teraz, świadomość tej straty

dotknie nas później, później padniemy na ziemię, i to nie tutaj, gdzie, choć w tak niezwyklej jak urna formie, ale jednak Emerenc nadal istnieje, lecz na ulicy, której ona już nigdy nie pozamiata, lub w ogrodzie, gdzie daremnie będą się skradać zranione, aksamitnostope koty czy bezdomne psy, bo nikt już nie rzuci im strawy. Emerenc zabrała nam wszystkim po kawałku życia, podpułkownik do końca obrządku stał, jakby oddelegowano go w poczet warty honorowej, syn brata Józsiego z żoną serdecznie płakali, ja zaś nie potrafię płakać, gdy na mnie patrzą, zresztą czułam, że to jeszcze nie pora na łzy, że to jeszcze przede mną, tak tanio się nie wykupię.

Kiedy uroczystość pogrzebowa się skończyła, większość żałobników została jeszcze razem. Adelka - która od śmierci Emerenc była głośniejsza i jakoś bardziej stanowcza, jakby silna osobowość Emerenc hamowała ją dotychczas, spychała na dalszy plan - podchodziła do ludzi i chyba organizowała jakąś stypę, bo nie ruszali się z miejsc i rozmawiali. Sutu stała samotnie i wkrótce odeszła, odkąd wystąpiła ze swoją propozycją, znalazła się na czarnej liście.

Wracaliśmy do domu. Podpułkownik zapytał syna brata Józsiego, czy chce być obecny przy tym, jak on będzie otwierał dla mnie pokój, bo po południu ma przyjść brygada, żeby opróżnić mieszkanie, i chciałby też mieć z głowy te oględziny, które obiecał sanepidowi. Syn brata Józsiego wolał pojechać do domu, powiedział, że zgodnie z testamentem to już do niego nie należy, powinniśmy zwrócić mieszkanie komitetowi lokatorskiemu, mam sobie zabrać to wszystko, co mi się może przydać, a resztę mogę komuś podarować. Jego żona miała wprawdzie ochotę przynajmniej zobaczyć, co odziedziczyłam, ale mąż zwrócił jej uwagę, żeby nie była za ciekawa, gdyby było tam coś dla nich, Emerenc wspomniałaby o tym w testamencie, ale wystarczy im to, co dostali, i tak są winni staruszce dozgonną wdzięczność.

Pojechali do domu swoim samochodem, a nas, tak jak w tę stronę, zabrał podpułkownik. Mój mąż wrócił do domu, a my we dwoje poszliśmy do mieszkania Emerenc. Na ulicy było pusto. Miałam nosa, Adelka musiała urządzić jakąś stypę w pobliżu cmentarza.

W rogu sieni, oparta o ścianę, stała siekiera i podpułkownik odbił nią deski, którymi zabite były drzwi prowadzące do pokoju. Zapytał, czy ma ze mną wejść, a ja poprosiłam, żeby to zrobił. Emerenc była postacią mitologiczną, moja spuścizna mogła być czymkolwiek, wszystkim. Tu nie było pastora, którego trzeźwe słowa mogły rozładować we mnie napięcie.

- Czego się pani boi? - zapytał podpułkownik. - Emerenc panią kochała i nic złego nie może pani od niej spotkać. Kiedyś wszedłem do tego pokoju, wszystko przykryte było prześcieradłami. Odziedziczyła pani komplet mebli i jakieś piękne lustro. Chodźmy!

Weszliśmy jednocześnie i zrazu nic nie widzieliśmy, w pokoju bowiem panowały kompletne ciemności. Oczywiście: okiennice. Podpułkownik macał ścianę, przez szpary w drzwiach wdarła się do pokoju woń środków chemicznych i rozkaszeleliśmy się w ich duszących oparach połączonych z ciężkim powietrzem niewietrzonego od Bóg wie kiedy pomieszczenia. Wreszcie wymacał wyłącznik, przekręcił i w tym momencie energicznie wyciągnął mnie z powrotem do kuchni, bo kiedy zapalił światło, zobaczył, że walczę ze słabością, jak zatruta gazem. Wpuścił mnie do pokoju dopiero wtedy, kiedy już pootwierał okna, i zobaczyłam to, co powinnam była zobaczyć zgodnie z wolą Emerenc. Oparłam się o ścianę.

Coś takiego widuje się na ekranie, ale i wtedy trudno uwierzyć w pokrywającą meble grubą warstwę kurzu i tkaninę pajęczyn wionącą aktorom w twarz i we włosy przy każdym

ruchu. Jeśli przykryła meble prześcieradłami, musiała je pozdejmować zaraz po wyjściu policjantów, bo teraz ich nie było. Stałam w najładniej umeblowanym pokoju, jaki widziałam w życiu. Przesunęłam kantem dłoni po berżerze, ze złoconej ramy rokokowego mebla błysnął blad różowy aksamit: widniał przede mną salon z końca XVIII wieku, zapewne arcydzieło niegdysiejszego mistrza stolarskiego, muzealny skarb. Na porcelanowym blacie salonowego stołu do mego nigdy niekupionego domu pastuszkowie gonili owieczki, a złoczone nóżki małej kanapki były tak cienkie, jak łapki młodych kotków. Kiedy trzepnęłam dłonią w kanapkę, w powietrze uniosła się chmura kurzu, potem opadła, ale pod lekkim uderzeniem obicie pękło, jakby skonało przez ten mój brak delikatności. Lustro konsolki sięgało sufitu, na stoliczku stały dwie porcelanowe figurki, a między nimi wreszcie coś żywego, wieczny zegar ze słońcem, księżycem i gwiazdami; wciąż chodził. Chciałam go wytrzeć z kurzu, ale podpułkownik rzekł:

- Niech pani tu niczego nie dotyka - ostrzegł mnie. - To niebezpieczne. Umarło obicie, umarły meble, wszystko tu umarło, tylko ten zegar żyje. Podam go pani.

Miałam jednak ochotę wziąć do ręki przynajmniej figurki, zobaczyć, co jest w szufladach konsolki, i nie posłuchałam go. Ujęłam gałkę szuflady, ale ta się nie otworzyła, więc zaczęłam próbować, bo a nuż udałoby mi się dojść do tego, pod wpływem jakiegoś to, znanego tylko rodzinie ruchu puści zamek. Nastąpiło jednak coś innego: wszystko wokół mnie stało się nagle jak wizja Kafki, jak horror. Zawaliła się konsolka. Nie z brutalną gwałtownością, lecz powoli i spokojnie, zaczęła się rozpadać, zostały z niej złote trociny, pospadały figurki i spadł także zegar, lustro z konsolką po prostu przestało istnieć, nawet szuflady i nóżki rozsypały się w proch.

- Korniki - rzekł podpułkownik. - Nic nie może pani stąd zabrać, to wszystko stracone. Emerenc, odkąd wpuściła tu policję, nie otwierała drzwi. Zatem to była nagroda za uratowanie Ewy Grossmann. Gdyby przetrwało, byłoby warte fortunę, ale teraz nawet patrzeć przykro. Proszę spojrzeć.

Uderzył dłonią w krzesło i ono także się rozpadło. Skojarzenie było niedorzeczne, ale - sama nie wiem dlaczego - przypomniała mi się w tamtej chwili bitwa czołgów na Hortobagy; kiedy tak patrzyłam na walące się krzesła, których aksamitne obicia pękały i zwijały się w drewnianych ramach, nogi zaś na naszych oczach zaczynały się kruszyć, jakby jakiś tajemniczy środek konserwujący utrzymywał je przy życiu, tylko dopóki ponownie nie ujrzy ich człowiek, nagle w pamięci ożyła scena widziana w młodości: stado rozstrzelane z broni maszynowej przez Niemców, na widlastych rogach była jakby zawisło niebo, i tak jak rozkład strawił tamto padłe stado, tak teraz strawił obicia mebli.

- Nie ma tu nic, co nadawałoby się do użytku - powiedział podpułkownik. - Każę tu posprzątać. Weźmie pani zegar? Jeszcze chodzi. Niestety figurki się potłukły.

Nie chciałam zegara, został na podłodze, niczego nie chciałam. Nawet nie obejrzałam się, wychodząc z domu Emerenc. Wciąż jeszcze brakowało mi łez. Podpułkownik pożegnał się, nie zamknął za sobą drzwi. Adelka opowiadała, że kiedy one tam zajrzały już przy sprzątaczkach, nie było w mieszkaniu ani potłuczonej porcelany, ani niczego, tylko meble, które przestały istnieć. Nie obeszło mnie to.

## Rozwiązanie

W domu Viola zachowywał się biernie, niemal obojętnie. Wyprowadziłam go na spacer, przeszedł przed domem Emerenc, gdzie dyżurna lokatorka zamykała właśnie chodnik, wymieniliśmy pozdrowienia, widziałam też Sutę, siedziała znów w swojej budce i nie robiła wcale wrażenia załamanej czy smutnej z racji tego, że nikt u niej nie kupował, jadła własne owoce i powiedziała mi uprzejmie dzień dobry. Na ulicy panowała cisza, nie było chyba domu, gdzie włączono by telewizor. Nie wiedziałam, co z sobą począć, poszłam więc do zboru, żeby zapłacić za pogrzeb. W kancelarii nie było nikogo, pastor czytał w ogrodzie, ale jednak przyjął pieniądze. Podziękowałam mu za uprzejmość, ale sztywno zaprotestował: to był jego obowiązek, poinformował mnie. Teraz byliśmy bliżej siebie niż kiedykolwiek w życiu, patrzył na mnie, jakby nagle zauważył coś takiego, co aż do dziś uchodziło jego uwagi.

- Prawie nigdzie nie gra telewizor - powiedział.

- Żałoba - odparłam. - Tu jest dużo ludzi z prowincji i ta cisza to prowincjonalny obyczaj. W dzień pogrzebu, podobnie jak w Wielki Piątek, nie wypada słuchać muzyki.

- Ale przecież ona miała tylko jednego krewnego, a on tu nie mieszka. Kto ją oplakuje?

- Wszyscy - powiedziałam. - Katolicy. Żydzi. Wszyscy są jej dłużnikami.

Nie spodziewałam się tego po nim, ale odprowadził mnie aż do rogu, skąd było widać dom Emerenc: inżynierowa w milczeniu zamykała ulicę. Popatrzył na mnie, ale teraz już o nic nie zapytał. Następnej niedzieli po pogrzebie poszłam do zboru, zawsze bywało w święta dużo ludzi, ale nigdy tyle co wtedy. Zjawili się nawet ci, którzy nigdy tam nie przychodzili, był ubrany na czarno Elemer ze sklepiku spożywczego, który wciąż tylko bluźnił, był lekarz ewangelik, profesor katolik,

Żyd z pralni chemicznej, krawiec unita, to nabożeństwo było jak ekumeniczne rekwiem, którego nie wypadało opuścić. Brakowało tylko majster - klepki, który normalnie uczęszczał nawet na ewangelizację, ale akurat wypadł mu dyżur i zamiatał ulicę, bo nocą zerwał się wiatr i wszędzie wałały się liście. Pastor spojrział mi w oczy, podając kawałek chleba, a ja, zamiast spuścić wzrok na moje trzy palce symbolizujące Trójcę Świętą, odpowiedziałam mu spojrzeniem, ale on wtedy dobrze już wiedział, że odsalutowuję mu za ten gest, którym on oddał honory ulicy na pogrzebie Emerenc.

Jednej osoby brakowało w zborze: Sutu. My rozeszliśmy się do domów w poczuciu naszej niewinności i choć nikt o tym nie mówił, mieliśmy wrażenie, żeśmy ją przechytrzyli, proszę, nikt jej nie potrzebuje, a i ona wreszcie pojęła, że lokatorzy sami sobie poradzą, ulica jest solidarna, nawet ja kiedyś zamiatałam, ale szło mi to tak niezdarnie, że Adelka odebrała mi miotłę, uciekłam od niej, było mi wstyd, że do niczego się nie nadaję, może również do tego, na czym się znam. We wspólnej pracy nie uczestniczyła jedynie Sutu, rzadko ją widywaliśmy, zamknęła budkę i nikt nie wiedział, z czego żyje, przypuszczałam, że siedzi w domu i na coś czeka, teraz nic nie mogło świadczyć o jej obecności czy nieobecności, było lato i nie mogliśmy widzieć dymu unoszącego się z komina jej domku. Później okazało się, na co czekała.

Wiadomość przyniósł po paru tygodniach majster - klepka, stary przyjaciel Violi w zakłopotaniu miętosił psie uszy. Zaczął od tego, że pan Brodarics chciałby mi coś przekazać, a mianowicie, że dom nie radzi sobie jednak bez Emerenc. Na razie jakoś to jeszcze idzie, bo ładna pogoda, ale kiedy przyjdzie jesień i zaczną opadać liście, nie poradzą sobie, u nich jest mało młodych, a ci, co są, harują od świtu do nocy.

- Może pan nie mówić dalej - powiedziałam. - Pan Brodarics chce mi przekazać, że willa nie może zostać bez pełnoetatowego dozorczy, a więc kogoś się przyjmie bądź już się przyjęło. Czy to ktoś z ogłoszenia?

- Właściwie nie.

Nie patrzył na mnie, w zakłopotaniu drżały mu rzęsy. Viola poruszył się, nie chciałam zadać mu bólu, ale bezwiednie, ze zdenerwowania, ścisnęłam go za szyję.

- Proszę posłuchać - rzekł majster - klepka. - Znamy ją tysiąc lat: jest czysta, porządna i pracowita, a poza tym nie tylko nie pije, ale jest też za stara na chłopaków. Kiedy Sutu do nas przyszła, jakoś to wszystko było jeszcze za świeże i się oburzyliśmy. Ale potem wszyscy otrzeźwieli i zaczęli się zastanawiać. W końcu doszliśmy do porozumienia.

- Z Sutu - powiedziałam z goryczą.

- Skądże, nie z Sutu. Z Adelką. Pan Brodarics pomyślał, że trzeba pani powiedzieć, żeby się pani nie czuła zaskoczona.

Mnie już nic nie potrafiło zaskoczyć. Po wyjściu majster - klepki stanęłam na balkonie, skąd widać było sień Emerenc. Adelka siedziała przy pięknie nakrytym, jak to lubiła Emerenc, stole i nie była sama, pochylały się nad półmiskiem z żoną szewca, widocznie miały coś do omówienia. Wtedy już nikt obcy na mnie nie patrzył, mogłam się rozplakać. Mój mąż nie uspokajał mnie, chociaż jego oczy pełne były współczucia.

- Ani dom, ani ulica nie mogą istnieć bez Emerenc - usłyszałam. - Adelka nie jest zła i wszyscy ją znają. Była mądra, że odczekała. Sutu się pospieszyła. Co teraz oplakujesz? Nie możesz oplakiwać Emerenc, bo zmarły zawsze wygrywa. Tylko żywi tracą.

- Nas oplakuję - odparłam. - Wszyscy zdradzili.

- Nie zdradzili. Mają dużo na głowie.

Wstał, pies natychmiast dźwignął się z miejsca, podszedł do niego i przytulił łeb do jego kolan. Odkąd Emerenc nie



żyła, jej miejsce zajął mój mąż, znów nie ja. Każdy cud Emerenc był skrzywiony.

- Tylko się denerwujesz i znów nie piszesz, nie dotrzymujesz żadnych terminów. Dlaczego nie usiądziesz do maszyny?

- Bo nie potrafię - odparłam. - jestem zmęczona. Jestem smutna. Wszystkich nienawidzę. Nienawidzę Adelki.

- Jesteś zmęczona, bo gotujesz, sprzątasz, robisz zakupy i nie udaje ci się znaleźć nikogo takiego, kto byłby dla ciebie do przyjęcia, bo ty nie szukasz byle kogo, lecz tej jednej jedynej, która już nigdy więcej do ciebie nie przyjdzie. Zrozum już wreszcie, że nie ma Emerenc, a ty jesteś związana umowami, musisz pracować, i gdybyś nie była taka śmiertelnie zmęczona, dawno wiedziałabyś, co zrobić. Wszyscy na ulicy to zrozumieli, Brodaricsowie, majster - klepka, tylko ty jedna nie. Zrób to, na litość boską, przecież ci z willi już ci to poradzili na swój sposób.

Zatkałam uszy, żeby go nie słyszeć. Zaczekał, aż się trochę uspokoję, potem zdjął z wieszaka smycz Violi.

- Majster - klepka przyszedł tu dlatego, że oni wszyscy cię lubią i chcieliby ci ułatwić to, co już sama postanowiłaś, ale nie masz odwagi tego zrobić. Jak długo będziesz się wahać? To takie niedorzeczne! Nauczyłaś Emerenc, że twórczość nie ma rywalki, dlaczego krępujesz się jej następczyni? Ona też się nauczy.

Viola stał obojętnie przy zapinaniu obroży. Nie cieszył się, nie protestował, był gotowy do wyjścia.

- Weź psa, przejdźcie się kawałek i umów się z nią, zanim się inni połapią.

- Nie umówię się, nie potrzebuję jej. Emerenc też jej naprawdę nie potrzebowała, ona się tylko litowała nad Adelką.

- Kto tu mówi o Adelce? Adelka jest sentymentalna, słaba i głupia. Chodzi o Sutu. Kiedy byliśmy w Atenach, doskonale

dawała sobie radę. Sutu jest prosta, śmiała, nie rozczuła się, nie waha, a jeśli chodzi o pracę, jest równie bezlitosna jak ty.

- Emerenc - wymówiłam jej imię z taką siłą, jakbym wiedziała, że więcej już do nikogo nie wykrzyknę tego imienia.

- Emerenc umarła, Sutu żyje i nie kocha ani ciebie, ani nikogo innego, ona nie potrafi kochać, ale ma za to dużo innych dobrych cech. Sutu, jeśli ją uszanujesz, będzie ci służyła do śmierci, bo nigdy nie zdołasz jej zagrozić. Nie ma ani tajemnicy, ani drzwi, a gdyby nawet były, to nie istnieje taki syreni śpiew, na dźwięk którego Sutu otworzyłaby je przed kimkolwiek.

## Drzwi

Moje sny to dokładnie takie same powracające wizje, ja zawsze śnię o jednym i tym samym. Stoję w naszej bramie, u podnóża schodów, przed drzwiami z nietłukącą się szybą (zbrojoną drucianą siatką) w żelaznej ramie i próbuję je otworzyć. Przed domem, na ulicy, karetka pogotowia, iryzujące przez szkło sylwetki pielęgniarzy są nienaturalnie duże, ich obrzmiałe twarze mają wokół świetlne kręgi, jak księżyc.

Klucz się obraca.

Ale daremnie się zmagam.